**Paweł**Szumił

KARAWANA UMARŁYCH

Tom IX cyklu

**SŁOWO O SMOKU**

Tłumaczył z rosyjskiego

**JACEK IZWORSKI**

Tytuł oryginału: КАPABAH MEPTBEЦОВ

*Daj mi siły naprawić to, co mogę zmienić,*

 *daj mi odwagę godzenia się z tym, czego nie mam siły zmienić,*

 *i daj mi rozum, żebym mogła odróżnić jedno od drugiego.*

**RYNEK**

 Ci dwaj od razu jej się nie spodobali, nawet nie bardzo wiedziała, dlaczego. Nie byli tacy jak wszyscy. Trochę inaczej ubrani, trochę inaczej rozglądali się. Jak zachowują się mężczyźni na targu niewolnic? Niektórzy śpieszą się w swoich sprawach, ci wiedzą gdzie iść i prawie się nie rozglądają. Inni przychodzą po zakupy. Dokładnymi spojrzeniami taksują kobiece ciała, długo stoją przy każdym pomoście. Jeszcze inni przyszli po prostu z ciekawości. Ale ci zazwyczaj nie zatrzymują się w tej części rynku, idą tam, gdzie handlują niewolni­cami pościeli. Ci dwaj patrzyli na wszystko. Na daszki nad pomostami, na same pomosty, na mężczyzn, wybierających towar, na pierścienie w podłodze, do których za łydki były przy­kute kobiety i przede wszystkim na same kobiety. W ciągu dwu dni na pomoście Dora zorientowała się w odwiedzających rynek i teraz ze strachem obserwowała dziwną parę. Zresztą dziwną tylko dla jej skrupulatneg ospojrzenia, sprzedawcy widzieli w nich tylko klientów. Niezwykli wojownicy zrobili już dwa koła po rynku, co świadczyło, że nie mają zamiaru odchodzić bez zakupu. Dora z obawą obserwowała jak wojownicy prawie nie zatrzymując się przechodzili obok niewolnic pościeli na prawo od niej, jak uważnie oglądali każdą niewolnicę od czarnej roboty na pomostach z lewej. Te odpowiadały im ponurymi spojrzeniami. Dla nich czas spę­dzony na rynku był odpoczynkiem. Gdy wojownicy zatrzymali się naprzeciw niej, Dora za­drżała i odwróciła spojrzenie. Im na pewno potrzebna była niewolnica czarnej roboty, a dla Dory było to gorsze od śmierci. Przewleką jej przez pierś ciężki żelazny pierścień i będą za­mykali na noc w śmierdzącym baraku. Ją, przyzwyczajoną spać w każdą pogodę pod otwar­tym niebem, od dziesięciu lat w karawanach handlowych! Co noc będzie na łańcuchu z in­nymi. I to po tym, jak omal nie otrzymała obroży wolnej kobiety!

 – Spójrz na nią. Nieźle opalona. I twarz ma suchą od wiatru.

 „Karawano umarłych! Co to ma znaczyć? Krążą jak sępy!” – Dora z nienawiścią spojrzała na mężczyzn i znów wpatrzyła się w przestrzeń. Jeszcze dwa-trzy dni, i gospodarz rozmy­śliłby się, co do jej sprzedaży. Przecież to ona ocaliła to, co pozostało z rozgrabionej kara­wany: dwa wierzchowce i jednego jucznego konaka. Siedziała przy rannym gospodarzu dniami i nocami, póki jego stan się nie poprawił, zwłaszcza nocami. Starała się, jak mogła i wszystko szło tak dobrze! Tak, mężczyzna nie daje dwu obroży. Takie jest prawo, ale nie dla karawaniarzy. O tym nie mówi się głośno, ale każdy bogaty karawaniarz ma w każdym du­żym mieście dom, a w nim wolną kobietę, która prowadzi mu gospodarstwo. Nie ma w tym nic złego, wszystkim dobrze. Życie karawaniarza to wędrówka, a miasta to tylko krótki od­poczynek w drodze. Czy mężczyzna nie może pozwolić sobie na kobietę na czas odpo­czynku? Czy ona, Dora, nie dowiodła swojego oddania i wierności? Czy nie jest godna ob­roży? Ale akurat w tym przeklętym mieście gospodarz ma długi i postanowił sprzedać to, bez czego może się obejść, czyli ją. Dlaczego nie napadli na nich koło Hurifa, gdzie gospo­darz ma wielu przyjaciół, albo koło Bahana, gdzie każdy bankier chętnie daje kredyt kara­waniarzowi z Yorku? Cóż, czego nie ma, tego nie ma, ale jeszcze dwie noce sam na sam, a obudziłaby jego serce. Już tej nocy pa­trzył na nią tym długim, pieszczotliwym spojrzeniem, po którym na szyi dziewczyny wkłada się zimną metalową obrożę. Ona wie, jak mu się od­dać, wszystko dla niego zrobi. Przecież drugiej okazji nie będzie, ma już prawie trzydzieści lat. Albo obroża wolnej kobiety, albo na zawsze do baraków. Trzecie się nie zdarza. Z na­miotu wyszedł sprzedawca.

 – Czym ta się zajmowała? – zapytał jeden z wojowników z nieznanym jej akcentem.

 – O, ona wszystko umie – z chęcią odrzekł sprzedawca. – Będziecie zadowoleni. Chodziła z karawaną, a w stepie trzeba wszystko umieć. Diabeł nie wymyślił jeszcze takiej pracy, z którą nie poradzi sobie niewolnica karawany. Zobaczcie, jakie ma silne ręce i nogi. Żelazne mięśnie, bez krzty tłuszczu. I bardzo wytrzymała. Może cały dzień biec trzymając się strzemienia. Może nie jeść przez cały tydzień.

 – Chodziła z karawaną, mówisz? Wiele widziała? – Jeden z wojowników wziął ją za podbródek, podniósł jej twarz, uważnie spojrzał w oczy. – Byłaś w Bahanie?

 Dora skinęła twierdząco, cały czas patrząc wojownikowi wprost w oczy. Była to jedyna broń, jaka jej została. Za bezczelne słowo można dostać biczem po żebrach, za zuchwałe spojrzenie, co najwyżej policzek. Ale zuchwała niewolnica może nie spodobać się kupującemu. Wtedy przed nią będzie jeszcze jedna noc z gospodarzem, jeszcze jedna szansa.

 – Od oceanu do oceanu nie ma miasta, w którym by nie była, szlachetni cudzoziemcy. Nie ma szlaku karawanowego, którego by nie znała.

 – Co ty umiesz? – zapytał drugi wojownik.

 – Zajmować się jucznymi końmi, ładować na nie tyle towaru, ile dany koń może unieść. Nie umiem prowadzić gospodarstwa domowego.

 – Widzicie,jaka szczera? – Podchwycił sprzedawca, by poprawić wrażenie. – Nie trzeba jej rozkazywać, wystarczy raz objaśnić. Możecie powierzyć jej każdy skarb. Jeśli postawicie przed nią dzban wody, umrze z pragnienia, ale nie tknie jej bez waszego pozwolenia.

 – Umrzesz? – zapytał z ciekawością wojownik.

 – Wypiję wszystko, co do kropli. Jaki pożytek pan może mieć z martwej niewolnicy?

 – Widzicie! Gdzie jeszcze szlachetni cudzoziemcy znajdą taką szczerość i rozsądek?! – zawołał sprzedawca. Wojownicy wymienili spojrzenia i uśmiechy. – Nie wierzycie? Sprawdź­cie ją. Ja bez wahania powierzałem jej swój kuferek z pieniędzmi.

 – Dobrze, stary, ile chcesz za tą kupę zalet?

 – Szczęśliwym trafem pan tej niewolnicy jest akurat w moim namiocie. Możecie z nim ustalić cenę. – Sprzedawca znikł za zasłoną, a po sekundzie z namiotu wyszedł Telim. Dora żałośnie ściągnęła brwi, rozchyliła usta i nie spuszczała z jego twarzy żałosnego i zarazem osądzającego spojrzenia.

 – Dwadzieścia pięć złotych – powiedział twardo Telim.

 Jeden z wojowników aż gwizdnął, sprzedawca spuścił na oczy turban, jęknął i zniknął w namiocie, a usta Dory zaokrągliły się ze zdumienia. „Widocznie gospodarz się rozmyślił” – pomyślała. – „Nie chce mnie sprzedawać i wysoką ceną próbuje odstraszyć nabywców”. Uklękła, złapała jego rękę i przycisnęła do warg. Telim szarpnął się, jakby go ukąsiła żmija.

 – Dwadzieścia-a pięć mone-et? – zapytał przeciągle drugi wojownik, obszedł Dorę do­okoła, przesunął palcem po szramach od bicza na plecach. – Za takie pieniądze mógłbym kupić tuzin tamtych. – Wskazał głową w kierunku niewolnic czarnej roboty.

 – Ona jest warta tuzina takich – odrzekł Telim.

 – Pięć złotych – zaproponował wojownik.

 – Ostatnim razem sprzedano mnie za trzy – włączyła się do rozmowy Dora.

 – Tak, siedem lat temu kosztowała trzy. Ale teraz kosztuje dwadzieścia pięć i ja nie będę się targował.

 – Szlachetni wojownicy, ja nie jestem tyle warta – znowu wtrąciła Dora i poczuła, jak ręka Telima legła na jej karku. Przygotowała się na to, że Telim podniesie ją za włosy i rzuci twarzą w dół na pomost, ale on tylko pieszczotliwie przetrzepał jej włosy.

 – Czegoś tu nie rozumiem. Co w niej tak cennego? Dobra w pościeli? Nie. Zbyt chuda, ażkości wystają. Nie umie prowadzić gospodarstwa domowego. Skąd dwadzieścia pięć monet?

 – Drugiej takiej nie ma – odrzekł Telim.

 – To już argument – roześmiał się pierwszy wojownik. – Choć to samo można byłoby powiedzieć o każdej. Kupmy ją, dobrze, Kris? Chcę zobaczyć te wszystkie zalety, ukryte pod tą niepozorną skórką.

 – Zwariowałeś? Dwadzieścia pięć złotych! Ona nie jest warta nawet połowy tej sumy.

 – A ile wczoraj przegrałeś w kości?

 – Nie w kości, tylko w karty. Zresztą co tobie do tego? Miałem przyjemność.

 – A dzisiaj ja chcę mieć przyjemność. Gospodarzu, bierzemy to twoje na wpół gołe cudo. Ale jeśli ona nie jest taka, jak mówisz, to przysięgam, że wyślę ją do baraków.

 Telim w milczeniu przyjął pieniądze i, nie przeliczając, wsypał do sakwy. Dorze zrobiło się zimno. Jednak ją kupili! Za ogromną, wręcz niewyobrażalną sumę. Wszystko przepadło. Cudzoziemscy wojownicy kupili ją dla rozrywki jako osobliwość. Nawet nie czuła, jak sprzedawca otworzył bransoletę na jej nodze i jak nowy gospodarz ściągnął ją za rękę z pomostu. Cały czas oglądała się na Telima. Co ją czeka? Kilka dni u nowych gospodarzy, dopóki się im nie sprzykrzy, potem znowu rynek – i baraki. Nie uciekniesz przed losem…

 – Jestem starym, bezmózgim kozłem – półgłosem żalił się Telimowi sprzedawca. – Oduczyłem się zarabiać pieniądze. Sprzedałeś tą suszoną plotkę za dwadzieścia pięć złotych, podczas gdy jej właściwa cena – dwie. Jak to było możliwe? Czym ich zaczarowałeś?

 – Jeśli znowu zobaczysz ją na bazarze, odkup mi ją nawet za dziesięć złotych – powiedział Telim, patrząc w ślad za odchodzącymi.

 Dora prawie nie orientowała się, gdzie ją prowadzą. Wstrząs był zbyt silny. W ciągu dwunastu lat już pięć razy zmieniała właściciela, ale wcześniej miała chociaż nadzieję. Najpierw była młoda i piękna, potem kupowali ją do określonej pracy. Teraz kupili ją skuszeni wy­soką ceną. Ciągnięta za rękę brnęła potykając się za nowymi właścicielami, aż uderzyła się w nogę o kamień. Wyszła z transu, zasyczała z bólu i zaczęła skakać na jednej nodze, co zmusiło mężczyzn do zatrzymania się. Ciągnący puścił jej rękę i w zamyśleniu potarł pod­bródek.

 – Trzeba jej kupić sandały – powiedział.

 – Po co? Wyjdziemy z miasta, ubierze mokasyny – odrzekł drugi.

 Mokasyny to drogie obuwie, ale Dora nie miała tu złudzeń. Kepteni karawan zawsze troszczą się o ludzi i konaki, żeby w drodze nie było zatrzymań, a ci dwaj byli bogaci. Potrząsnęła głową i sklęła siebie w myśli. Teraz ważył się jej los. Będzie tak, jak ustawi siebie od samego początku. Nie wyszło z Telimem, trudno, to już za nią, trzeba zaczynać od początku. Postanowiwszy to sobie, Dora spróbowała uśmiechnąć się i, nieco kulejąc, poszła szybko za nowym gospodarzem. Postanowiła za niego uważać tego, który nazywał się Kris i który na początku trzymał ją za rękę. Teraz puścił, ale Dora wiedziała, że to próba i uśmiechnęła się do siebie. Ci dwaj zdawali się nie wiedzieć, że niewolnica karawany ma znacznie więcej swobody niż pozostałe. Nikt jej nie zatrzymywał, jeśli wieczorem wychodziła z obozu. Każdy ma swoją pracę, która musi być wykonana. Jeśli nie, poproś o pomoc; najważniejsze, żeby nie zatrzymywać karawany. Jeśli niewolnica znikała, kepten mógł zatrzymać karawanę nawet na dziesięć dni, poszukując zaginionej. Dalej wszystko zależało od przewinienia. Kara za ucieczkę była bardzo surowa, ale jeśli to było nieumyślne, niewolnicy mogli w ogóle nie karać.

 Dora zatrzymała karawanę dwukrotnie. Za pierwszym razem uciekła, gdy karawana przechodziła niedaleko jej ojczystego fortu. Wszystko dobrze obmyślała i zaplanowała. Poszła niby to po jagody, przechodząc przez bystrą rzeczkę źle stanęła na śliskich kamieniach i dała się ponieść prądowi. Wyszła z wody dwa kilometry niżej w miejscu, gdzie na otoczakach nie widać śladów i bezsensownie krążyła całą noc po lesie, myląc tropy. Następnego dnia zygzakami skierowała się ku ojczystemu fortowi. Po kolejnej nocy na drzewie zrozu­miała, że nie ma po co tam wracać. Komu ona tam potrzebna? Jej rówieśnicy na pewno mają już żony, a młodsi znajdą sobie dziewczyny odpowiadające im wiekowo. Brat jej z domu nie wygoni, ale każe jej pracować od świtu do zmroku. Pole, podwórze, ziemia, nawóz, podwó­rze, pole. Wolna, ale gorzej niż niewolnica. A w karawanie – niewolnica, ale ileż widziała! Step i selwę, morza i pustynię, śnieżnobiałe szczyty gór, ponure labirynty czarnych skał, błota, przez które można było przejść tylko w zimie, grząskie piaski, olbrzymie pola czer­wonych maków na zboczach gór… Myła się i zimną, kryształową wodą górskich źródeł, i ciepłą, nieco mętną rzeczną, i słoną morską, i nawet piaskiem pustyni, jak umieją tylko sta­rzy karawaniarze.

 Rano, z pierwszymi promieniami słońca, Dora zaczęła iść najkrótszą drogą w kierunku szlaku karawan. Po drodze łamała gałązki krzaków, znacząc swoją drogę. Znalazłszy szlak, narysowała na wydeptanej ziemi strzałkę i pobiegła miarowym biegiem. Po godzinie prze­szła na marsz, potem znów na bieg, i tak, na przemian, to biegiem, to szybkim marszem, poruszała się do południa. Droga zaczęła przecinać wzgórza i wspiąwszy się na kolejne, Dora położyła się w cieniu pod drzewem, pogrążając się prawie całkowicie w chłodnym mchu. Zdrzemnęła się. Obudziła się, kiedy cień się przesunął i gorące promienie słońca do­tknęły jej skóry. Przeciągnęła się, usiadła i zamarła. Na szczycie sąsiedniego wzgórza uj­rzała wyraźne sylwetki jeźdźców. Poznała ich, to byli tropiciele karawany. Wszystkie jej tricki i pętle jednak ich nie zatrzymały. Dora złapała kamień, wydrapała nim na ziemi jesz­cze jedną strzałkę w kierunku obozu i pobiegła jak mogła najszybciej. Do obozu było pięt­naście kilometrów, ale Dora się nie oszczędzała. Trudno człowiekowi konkurować z konakiem, idącym lekkim kłusem, ale od szybkości zależało teraz jej życie. Z krzykiem „Obcy!” wpa­dła do obozu, gdzie od razu upadła na ziemię, wijąc się i łapiąc ustami powietrze. Karawana natychmiast ożyła i w ciągu minuty obóz zrobił się pusty. Tylko ona, kilka konaków i uło­żony w stosy ładunek. Ale zza każdego drzewa i krzaka na ścieżkę wycelowany był nacią­gnięty łuk. Po niespełna dziesięciu minutach rozległ się tętent, zza zakrętu ścieżki ukazali się tropiciele i ludzie powrócili do obozu, sypiąc żartami i wesołymi przekleństwami. Dora obejrzała konaki, za które odpowiadała. Wydawały się wypoczęte, były syte, napojone, ale nieczyszczone. Rozejrzała się, wyglądało na to, że nikt nie zwraca na nią uwagi. Tropiciele rozsiodłali konaki i zniknęli w namiocie keptena. Dora chwyciła szczotkę i zaczęła czyścić konaka, gryząc wargi i ciągle spoglądając w kierunku namiotu. Po chwili nie wytrzymała, zakręciła się i ze szczotką w ręce pobiegła pod namiot. Na jej nieszczęście wejście okazało się otwarte, nic nie udało się podsłuchać i od razu ją zobaczyli. W namiocie była cała star­szyzna karawany.

 – Chodź no tu, ptaszyno – rozkazał kepten. Dora weszła do namiotu i padła na kolana, przyciskając do piersi kłującą szczotkę.

 – Zatrzymałam karawanę na dwa dni. Ukażcie mnie, tylko nie sprzedawajcie.

 – To się samo przez się rozumie. Ukarzemy – pocieszył ją kepten. – Ukarzemy. A wy co powiecie, chłopcy?

 Tropiciele spojrzeli jeden na drugiego.

 – Trudno powiedzieć, ojcze – zaczął Trojan. – Dzisiaj szukała karawany. Im bliżej obozu, tym szybciej biegła. Rano szła, potem to szła, to biegła, a pod koniec tak pędziła, jakby za nią goniło stado szakali. I zostawiała znaki.

 – To znaczy, że chciała wrócić.

 – Tak, dzisiaj chciała. Ale w pierwszą noc plątała ślady.

 – To znaczy, że chciała uciec.

 – Nie wiem, ojcze. Ucieka się dokądś, w określonym kierunku. A ona cały dzień miotała się. To w prawo, to w lewo. Godzinę tu, godzinę tam.

 – Synu, ja nie szedłem po śladach. Ty decydujesz.

 – A o czym tu decydować? Zatrzymała karawanę na dwa dni. W najbliższym forcie sprzedać dziewkę w baraki, a z baraków wziąć do karawany nową.

 – A ty, ptaszyno, co powiesz?

 Dora zapłakała i zaczęła nieskładną opowieść, w której bez sensu przeplatało się wszystko. I nieczyszczone konie, i ojczysty fort ze znajomymi okolicami, i błaganie o zabicie, ale nie sprzedawanie do baraków, i urywki przygotowanego opowiadania o tym, jak zabłądziła i bała się, że karawana odjedzie bez niej, i pola czerwonych maków, i kurz dalekich dróg.

 – Uciekła, po czym wróciła – wywnioskował kepten. – Wybierz sobie karę. Ja bym ci wybaczył, ale oprócz ciebie są w karawanie inne ptaszyny i one muszą zapamiętać lekcję.

 Dorze kazali dokończyć czyszczenia konaków, po czym powiesili za ręce między dwoma drzewami i wychłostali po plecach. Potem karawana stała jeszcze dwie doby: dwie niewol­nice leczyły Dorę, smarując jej plecy potwornie drogim balsamem. Kepten nie chciał jej tracić. Szramy na plecach utworzyły geometryczny wzór z rombów. Karawaniarze cenili piękno we wszystkim, nawet w tym.

 O dziwo, autorytet Dory w karawanie po tym wydarzeniu wzrósł. Kepten darzył ją jawną sympatią i pozwalał jej słuchać narad starszyzny. Komenderowała już czterema kobietami i niedługo zostałaby matką karawany. A po tym, jak uratowała karawanę, poważnie liczyła nawet na obrożę. Ale kepten umarł i karawana rozpadła się na trzy, a Dorę los przydzielił Telimowi. Gorzej trafić nie mogła. Karawana Telima była najmniejsza, niewolnice uważał za mówiącą odmianę konaków, a swoich planów nie omawiał z nikim. Życie w jego karawanie było syte, spokojne i nudne. Dora popadła w rutynę i zaczęła zapominać o ambitnych marzeniach.

 Przed nimi rozległ się rozpaczliwy kobiecy krzyk. Wojownicy właśnie tam szli. Dora jęknęła i rozejrzała się jak zaszczute zwierzę. Uciekać? Dokąd tu uciekniesz? Miasto. W mieście bez pieniędzy… Może się zlitują, przecież zapłacili za nią dwadzieścia pięć złotych monet Właśnie! Chcą ją postraszyć, żeby znała swoje miejsce.

 Wojownicy zatrzymali się przed pomostem z cegły. Dora zamarła za ich plecami. Pięć wycieńczonych kobiet skutych za nogi jednym łańcuchem stało za pomostem, szósta, młoda, ale brzydka, leżała w środku na plecach. Jej szyja, ręce i nogi były zaciśnięte dybami. Kowal odciągnął jej chudą pierś i przebił ostrym, rozżarzonym do czerwoności prętem. Dziewczyna znów krzyknęła i rzuciła się. Jedna z czekających na swoją kolej padła nieprzytomna. Nikt nie zwrócił na nią uwagi. Kowal położył pręt na żarach i wyjął szczypcami z kadzi z wrzącą wodą jeszcze niezamknięte żelazne ogniwo. Zanurzył w drugiej kadzi, napełnionej balsa­mem leczniczym, potrzymał chwilę, żeby wystygło, wyjął, poczekał, aż ściekną złociste krople, i przewlókł przez przekłutą pierś. Dziewczyna piszczała i wiła się. Dora wyobraziła sobie, jak balsam piecze okaleczoną pierś i zagryzła wargę do krwi. Tymczasem kowal już przewlekał ogniwo przez drugą pierś. Pracował miarowo i obojętnie. Zdjął dyby, trącił nogą w żebra.

 – Idź, poczekaj przy kowadle. Ale nie dotykaj piersi rękami, bo dostaniesz zarazy. A wy dawajcie tą na wpół zdechłą.

 Baby podtaszczyły nieprzytomną, kowal zamknął jej ręce i nogi w dybach. Kobieta ock­nęła się, rzuciła się i krzyknęła. Kowal uspokoił ją policzkiem. Z przybudówki wyszli wła­ściciel kobiet i dwaj pomocnicy kowala, którzy zajęli się jęczącą przy kowadle dziewczyną. Jeden ścisnął szczypcami ogniwo tak, że końce się zeszły, drugi wstawił rozpalony do czer­woności nit i rozklepał go kilkoma uderzeniami. Równie szybko zaklepali drugi pierścień.

 – W porządku – ocenił zadowolony młotnik i pogłaskał dziewczynę po policzku. – Tak się bałaś, a to trwało minutę.

 Dziewczyna jęczała, skulona pod jego nogami. Piskliwie krzyknęła następna, której kowal właśnie w tym momencie przebił pierś.

 – Wszystko musi mieć swój sens – powiedział gospodarz Dory, pocierając policzek. – Przecież oni tego nie robią dla upiększenia!

 – Jesteśmy cudzoziemcami, mamy prawo nie znać miejscowych zwyczajów – niezupełnie zrozumiale odrzekł drugi wojownik.

 – Jeśli gospodarz pozwoli mi powiedzieć… – odezwała się Dora. Obaj wojownicy odwrócili się do niej. Na pomoście znów dziko krzyknęła kobieta. Wojownik zwany Krisem zmarszczył czoło i powiedział:

 – Chodźmy już stąd. Co chciałaś powiedzieć?

 – Im przewlekli pierścienie przez piersi, żeby w nocy sadzać na łańcuch.

 – Nie zrozumiałem? – Szczerze zdziwił się Kris.

 – W nocy przez pierścienie przewlekają łańcuch, ciągnący się wzdłuż całego baraku. Jeden koniec jest wmurowany w ścianę, a drugi przy przeciwległej ścianie zamykany na kłódkę. Tylko jedna kłódka, a wszystkie niewolnice na łańcuch, żadna nie może uciec.

 – Znakomicie pomyślane! – Zachwycił się wojownik, którego imienia Dora nie znała. – A jeśli od takiej operacji zacznie się gangrena?

 – Wypalą pierś. Ale to rzadko się zdarza. Przed tym kobiety ponad miesiąc bardzo mało karmią, każą im głodować, żeby piersi opadły. Potem dwa dni karmią do syta i prowadzą tutaj. Po takiej głodówce rany bardzo szybko zaczynają się goić. Panie, czy Dora może jeszcze coś powiedzieć?

 – Mów.

 – Dora dziesięć lat chodziła z karawanami. W karawanach nie przykuwają niewolnic na noc. Tych, które trzeba przykuwać, w karawanach nie trzymają.

 – Chcesz przez to powiedzieć, że nie trzeba ci pierścienia w piersi?

 – Tak, gospodarzu.

 – A co ty o tym mylisz, Greb?

 – Przestań się wygłupiać.

 Kris zatrzymał się przed szerokim namiotem. Dwie niewolnice w wąskich przepaskach biodrowych krążyły w powolnym tańcu. Ich ciała pokrywały wielobarwne wzory tatuaży. W głębi namiotu leżał na stole goły do pasa mężczyzna i flegmatycznie coś żuł, podczas gdy dwóch czeladników nanosiło rysunek na jego plecy. Trzeci wykłuwał na ramieniu niewol­nicy imię i adres jej właściciela. Mistrz wyszedł i obejrzał Dorę krytycznie.

 – Nie ma sensu – orzekł. – Stara, skóra przewietrzona, pierś płaska, plecy w szramach. Gębą też nie podchodzi.

 – Jestem warta dwadzieścia pięć złotych – wypaliła gniewnie Dora opamiętała się i schowała się za plecy Krisa.

 – A do tego jeszcze głupia i niepojętna – dokończył mistrz. – Jest cena i jest wartość. Znasz chociaż różnicę między nimi?

 – Znam. Od dziesięciu lat chodzę z karawaną. – Dora wsunęła rękę w stwardniałą łapę Krisa i niby przypadkiem przycisnęła pierś do jego ramienia.

 – No?

 – Cena – to za ile mnie sprzedali. A wartość – to za ile mnie kupili.

 Mężczyźni zamyślili się nad tym określeniem.

 – Coś w tym jest – zgodził się Greb. – Choć idea odwrócona rakiem. Doszłaś do tego sama?

 – Sama. – Dora poczerwieniała.

 – To widać. – Wszyscy się roześmieli. Mistrz jeszcze raz krytycznie obejrzał dziewczynę.

 – Mogę zrobić rysunek z boku po biodrze do kolana i niżej, do stawu skokowego. Na górze od ramienia do łokcia. Poniżej łokcia dwa pasy wzorów. Z zewnętrznej strony z wyjściem na tylną stronę dłoni, aż do samych palców, z wewnętrznej od łokcia do nadgarstka. Tak skromnie, zwykłe czterokolorowe zawijasy. Twarz, pierś i plecy lepiej nie ruszać. Nie ten materiał.

 – Chcesz stać się piękną? – zapytał Kris.

 – Jak gospodarz sobie zażyczy – odrzekła Dora, gorączkowo ważąc w myśli wszystkie „za” i „przeciw”. „Tatuaż jest bardzo bolesny. Zbiegłą niewolnicę łatwo znaleźć po tatuażu. Ale jeśli spodobam się gospodarzowi? Ból można przecierpieć. Głupia! Staniesz się zabaw­nym zwierzątkiem. Kto włoży obrożę na zabawne zwierzątko? Widziałaś choć jedną tatuow­aną w obroży?” Zadrżała całym ciałem, aż Kris spojrzał na nią ze zdumieniem.

 – Gospodarzu, można powiedzieć?

 – O co ci chodzi tym razem?

 – Nie będę piękniejsza, gospodarzu. Będę śmieszna. Mistrz ma rację. Z moją przewie­trzoną twarzą i czerwonym nosem nie ma co marzyć o piękności.

 – Mądre kobiety to dla mnie ruina. – Mistrz rozłożył ręce.

**DOM**

 Dora rześko kroczyła, zadarłszy do góry swój oblazły czerwony nosek i trzymając Krisa za rękę. Trzymała go, a on nie miał nic przeciwko temu. To był sukces, mówiący o jej wyso­kim statusie. Szczegół, prawie niezauważalny dla wolnej kobiety, ale zrozumiały dla każdej niewolnicy. Niechby niewolnica czarnej roboty spróbowała dotknąć ręki gospodarza! Co prawda niewolnice pościeli często tak robiły, ale wystarczyło spojrzeć na jej twarz, żeby zrozumieć, że ona do nich nie należy. Czyli jej pozycja w domu gospodarza jest stała i zna­cząca. W ogóle Dora była z siebie zadowolona. Zdołała prawidłowo się ustawić, obroniła pierś, uniknęła tatuażu. Tylko po staremu nie rozumiała i bała się swoich gospodarzy i nie wiedziała, co ją czeka.

 – Tu mieszkamy. – Uśmiechnął się do niej Kris i zdumiała się po raz kolejny.

 Wysoki mur ogradzał duże podwórze i piętrowy dom. Prosto ubrani cudzoziemscy wojownicy wynajmowali dom, za który trzeba było płacić co najmniej złotą dziennie! Do tego trzeba być przebogatym! Ale tacy bogacze nie wybierają osobiście niewolnic na rynku, nie chodzą piechotą. Dora znów się przelękła. Wszystko tu było nie tak, nawet zbroje. Każdy z osobna detal: skóra, płytki pancerza, pierścienie, był stary, ale niedopasowany do innych, a szczeliny nie zdążyły nabrać kurzu. To nie były prawidłowe zbroje. Dziewczyna zrozumiała, że gospo­darze tylko udają prostych wojowników. Kimże więc są? I co z nią zrobią?

 – Miri! Przybywają myśliwi ze zdobyczą, spotkaj ich! – wykrzyknął wesoło Kris i mrugnął porozumiewawczo do Dory. Z domu wybiegła młoda dziewczyna. Bez obroży. Niewolnica.

 – Patrz i podziwiaj. Karawaniarka. Dziesięć lat nieprzerwanego stażu. Zna cały kontynent od oceanu do oceanu. Pamięta wszystkie konaki, z którymi miała do czynienia – wychwalał nowy nabytek Kris. – Ale gotować nie umie. Oczywiście, jeśli nie kłamie.

 Dziewczyna parsknęła śmiechem. Dora poczerwieniała.

 – Zgadnij, ile Greb za nią zapłacił? Nigdy nie uwierzysz. Dwadzieścia pięć złotych monet!

 – Zwariowaliście!Za takie pieniądze można kupić cały tabun. Poznajcie nas. – Zmieszani mężczyźni spojrzeli po sobie i podrapali się w karki. – Nie wiecie. To cali wy. Pytali, gdzie była, co robiła, a zapomnieli zapytać o imię. Jak się nazywasz? – zwróciła się do Dory.

 – Jak wam będzie wygodnie, gospodarze. W karawanie nazywałam się Dora.

 – A ja jestem Miriam. Możesz nazywać mnie Miri. – Wytarła ręce w fartuch, objęła Dorę za ramiona i powiodła do domu. – Zaraz dobierzemy ci jakieś ubranie. Na pewno ci zimno w samej minispódniczce.

 Dora powlokła się posłusznie za zuchwałą niewolnicą. Nie, ona nigdy nie będzie komenderowała kobietami w tym domu. Strachy ogarnęły ją z nową siłą. Ta dziewczyna miała takie ciało, taką pierś! I zachowywała się pewnie, spokojnie, nawet nieco bezczelnie.

 „Gdybym ja miała taką pierś” – pomyślała Dora – „tobym… Tobym teraz leżała przywiązana do stołu, a czeladnicy wycinaliby na mnie czterokolorowe wzory. Jasne, że Miriam to niewolnica pościeli, a ja będę od całej reszty. Nie na darmo oni tak się przyglądali niewolnicom czarnej roboty. Przekleństwo! Karawano umarłych! A Telim, łajdak, pies-włóczęga, nawet nie próbował sprzedać mnie karawaniarzom. Nie przeżyję bez karawany”.

 Suknia, którą wybrała dla niej Miriam, była jeszcze zupełnie nowe, z mocnego materiału, nierzucającego się w oczy koloru. Kończyła się nieco powyżej kolana. Wprawdzie na piersi trochę wisiała jak worek, ale i tak Dora nie pamiętała, kiedy ostatni raz miała na sobie coś tak dobrego.

 – Więc tak. Najpierw zjemy obiad, potem cię wykąpiemy, potem dobierzemy ci pokój i resztę ubrania O sprawie porozmawiamy później.

 Jedli w dużym pokoju koło kuchni na parterze. Miriam nakryła do stołu, usiadła wraz z gospodarzami i kazała Dorze usiąść. W karawanach obyczaje są swobodne, ale nawet tam nie­wolnice starają się nie jeść z panami. W mieście na coś takiego mogła sobie pozwolić tylko niewolnica pościeli, a i to wyłącznie za przyzwolenie gospodarza. Z obawą spoglądając na mężczyzn, Dora usiadła na skraju krzesła, postawiła tale­rzyk sobie na kolana, dwa razy zaczerpnęła łyżką. I dopiero wtedy zauważyła, że talerze po­zostałych stoją na stole. Ostrożnie postawiła swój na miejsce, przyjrzała się, jak jedzą gospo­darze, wzięła do lewej ręki połówkę placka ryżowego. Nikt na nią nie zwracał uwagi. Męż­czyźni rozmawiali o swoich sprawach, a Miriam przez otwarte drzwi wciąż spoglądała do kuchni, gdzie na płycie coś skwierczało.

 – Wiesz tu jest taki zwyczaj, że gdy wojownik kupuje niewolnicę, prowadzi ją do domu, rozbiera, związuje ręce i nogi i pozbawia ją niewinności – mówił basem Greb.

 Kris z ciekawością spojrzał na Dorę.

 – Jeśli gospodarz sobie życzy, Dora przyjdzie do niego dziś w nocy. Gospodarz będzie zadowolony – odrzekła Dora, nie wiadomo, czemu mówiąc o sobie w trzeciej osobie.

 – A czy u was naprawdę jest taki zwyczaj?

 – Tak. Ale kiedy wojownik porywa dziewczynę i zdejmuje z niej skórzaną obrożę.

 – A gdy kupuje ją na bazarze?

 – Na bazarze nie sprzedaje się wolnych. – Dora nie dodała, że, kiedy kupił ją drugi gospodarz, zaprowadził do domu i porządnie przejechał biczem po jej plecach. Tak po prostu, pro­filaktycznie, żeby znała swoje miejsce. Taki był rytuał z niewolnicami.

 Na drugie danie było mięso. Dorze podano taki sam kawałek jak wszystkim. W karawanie często się zdarzało, że wszyscy objadali się mięsem. Mięso nie może być długo przechowywane, a nikt go nie wyrzuci. Ale tak smacznego Dora nie jadła nigdy w życiu. Co jak co, a głodować w tym domu nie będzie. Na trzecie był zimny słodki napój o śmiesznej nazwie: kompot. Miriam zebrała naczynia ze stołu i zaniosła do kuchni. Dora rzuciła się jej poma­gać. To, co pozostało, przyniósł do kuchni Greb, a Kris tymczasem wytarł stół ścierką. Uj­rzawszy to, Dora pobladła i zrobiło się jej zimno w żołądku. Ludzie tak nie robią, czyli kupili ją nielu­dzie. Może w nocy przegryzą jej gardło i wypiją całą krew? Albo zakopią żywcem w ziemi? Przecież Greb przysięgał, że, jeśli mu się nie spodoba, ześle ją do baraków. Zaczęła pomagać Miriam z podwójną energią. Umyły naczynia, po czym nalały wody do wielkiej beczki na podwórzu, dolały cztery wiadra wrzątku, Miriam kazała Dorze rozebrać się, zagoniła do beczki i długo tarła miękką szczotką. Przyniosła gliniany dzbaneczek, plusnęła sobie na dłoń trochę oleju i zaczęła wcierać we włosy Dory. Nie, to nie był olej, pienił się jak mydło. Skoń­czywszy z myciem, rozczesała włosy grzebieniem z brązowej kości. Ta­kich Dora nie wi­działa, ale przestała się już dziwić. Miriam przyniosła nożyczki i podcięła jej włosy tak, że wszystkie kończyły się na tej samej wysokości nieco poniżej łopatek. W karawanie niewolni­com nie wolno było mieć włosów krótszych niż do pasa. Zdarzało się, że z owych włosów oraz ogonów i grzyw konaków pleciono sznury. A czasem za jakieś przewinienie zamiast kolacji niewolnicę podwieszano za włosy na drzewie. Wszyscy jedzą – ona wisi. Zresztą, jak zauważyła Dora, tego, co pozostało na jej głowie, zupełnie wystarczyło, żeby namotać na męską rękę.

 Miriam zaprowadziła Dorę na piętro.

 – To będzie twoja sypialnia. – Wskazała jej drzwi.

 – A tam?

 – Na prawo – sypialnia Krisa, dalej Greba, naprzeciw moja. Na lewo pracownia. Niczego tam nie ruszaj, Greb nie lubi, kiedy ruszają jego rzeczy. Chodź, wybierzemy ci pościel.

 – Ty tu śpisz? – Zdumiała się Dora.

 – Czasami, kiedy Greba nie ma w domu. – Uśmiechnęła się Miriam.

 Domysł Dory siępotwierdził: Miriam była niewolnicą pościeli. Ale nie zadzierała nosa, jak niektóre inne. Cóż, nie wybierała, kim ma być, a pościel zawsze lepsza niż baraki. Dora doszła do wniosku, że ogólnie Miriam nie jest zła. Nagle ujrzała lustro i zdumiała się po raz kolejny. Orientowała się w lustrach, raz, kiedy konak spadł z urwiska, uszkodził sobie nogę i rozbił ładunek, miała nawet swoje własne lusterko – trójkątny kawałek wielkości dłoni – ale nawet nie wyobrażała sobie, że lustro może być tak wielkie i gładkie. W dodatku od razu trzy sztuki! Podbiegła do nich i zaczęła oglądać siebie. W trzech lustrach widać było nawet plecy, ale… lepiej by ich nie widziała. Cała opalona, prawie brązowa – a blizny białe. Rom­bki. Jak wzór na dywanie. Obok stanęła Miriam i nastrój Dory jeszcze się pogorszył. Jak oset obok róży… No i którą z nich wybiorą mężczyźni? Nawet nie ma sensu pytać…

 – Miri, skończyło się jedzenie. Chodzić na bazar to kobieca czynność – rozległ się zza drzwi głos Krisa.

 – Trudno bez lodówki – odrzekła Miriam. – Zaraz pójdę.

 Pochyliła się, z szuflady pod lustrem wyjęła obrożę, zapięła na szyi, pomizdrzyła się przed lustrem i skierowała się do drzwi. Dora jak kot rzuciła się za nią, przewróciła na podłogę.

 – Zdejmij! Zgłupiałaś czy co? Idiotka! Zobaczą cię i zabiją!

 Miriam zatrzepotała pod nią, chcąc się obrócić, ale Dora przycisnęła ją do podłogi.

 – Obetną ci uszy, wyrwą język i paznokcie, sprzedadzą cię do baraków – szeptała gorąco – Przepadniesz przez własną głupotę. Zdejmij natychmiast!

 – Puść mnie, głupia! – Rozzłościła się Miriam. – Ja mogę.

 – Co tam u was za hałasy? Przewróciłyście szafę czy co? – zapytał zza drzwi Kris.

 – Dora wzięła mnie za niewolnicę i wymaga, żebym zdjęła obrożę.

 – A-a.

 Serce jej zamarło, dusza poszła w pięty. Napadła na wolną kobietę! Przewróciła ją na podłogę, obraziła złym słowem. Za to minimalna kara – baraki. A mogą nawet wysłać na powolną śmierć. O Boże, jak głupio!

 Cofając się oparła się o stół, namacała nożyczki, schowała do kieszeni sukienki. Miriam nie zauważyła. Oblizała palec i gładziła nim zadrapanie na kolanie. Dora padła jej do stóp.

 – Wybacz mi, pani. Daj mi lekką śmieć. Nie chciałam ci źle, tylko jak najlepiej.

 – Jesteś jakaś szalona. Najpierw zbijasz mnie z nóg, potem prosisz o przebaczenie. Natychmiast wstań! – Miriam rozgniewała się i wyszła z pokoju.Trzasnęły drzwi na dole. Poszła na bazar. Dora wyciągnęła się na deskach podłogi, położyła twarz na łokciu.

 – Durna, beznadziejnie durna! – szeptała. – Wziąć wolną kobietę za zuchwałą niewolnicę! Karawano zaurów! Skończona idiotko! Przecież ślepy by spostrzegł, że ona jest wolna!

 Łzy ściekały po jej ręce na podłogę. Nawet nie pamiętała, kiedy płakała po raz ostatni. Od wiatru – to się nie liczy. Ale ostatnio zbyt wiele nieszczęść zwaliło się na jej głowę i nerwy się rozstroiły. Dora opłakiwała swój zły los. Za każdym razem, gdy wszystko mogło zmienić się na lepsze, w ostatniej chwili coś nawalało i robiło się jeszcze gorzej. Ale dotychczas to wszystko działo się nie z jejwiny. A teraz… Obrazić, przewrócić na podłogę wolną kobietę! Dobrą, życzliwą, pracowitą… Dora namacała w kieszeni nożyczki.

 „Może samodzielnie, a nie czekać, aż po mnie przyjdą?” – pomyślała. – „Nie, każdy karawaniarz plunąłby mi w twarz. Nie poddam się, dopóki jest nadzieja! Ależ mnie zbili, kiedyzatrzymałam karawanę. Ale przecież nie umarłam! Ukarali mnie i wybaczyli. Nie mam szczęścia w życiu. Ona ze mną jak z równą, a ja… Jestem ostatnia suka!”.

 Dora nie słyszała, jak wróciła Miriam. Leżała na szorstkiej podłodze pogrążona w czarnej rozpaczy i chciała tylko jednego – umrzeć. Gdy Miriam zobaczyła ją w tym stanie na podłodze, przeraziła się nie na żarty, wzięła ją na ręce i przeniosła na łóżko. Okazało się, że jest bardzo silna. Wysłuchała urywanej, chaotycznej spowiedzi, po czym długo pocieszała Dorę jak małą dziewczynkę. Od jej słów Dorze chwilami robiło się jeszcze gorzej.

 – Jesteś przecież mądrą dziewczynką. Wszystko rozumiem, chciałaś jak najlepiej. Trochę się pomyliłaś, każdemu może się to zdarzyć, nie gniewam się na ciebie. To będzie nasza tajemnica, nic mężczyznom nie powiemy. – pocieszała ją Miriam.

 Całowała Dorę w czoło, głaskała po głowie i wreszcie uspokoiła. Dora wytarła łzy, przestała pociągać nosem, ale strach przed tym niepojętym domem został. Okazało się, że Miriam jest od Dory starsza o cztery lata, mimo, że wygląda o dziesięć lat młodziej.

 – Teraz pośpij do kolacji, a ja zajmę się domem – powiedziała Miriam.

 – Jak tak można? Niech pani pokaże, a ja wszystko zrobię. Pani będzie zadowolona.

 W korytarzu wpadły na Krisa, wychodzącego z gabinetu.

 – Dlaczego macie czerwone oczy? – Zdziwił się.

 – Mamy ostry okres adaptacyjny – odrzekła Miriam, obejmując Dorę za ramiona.

 Kris coś mruknął, Dora nic z tego nie rozumiała.We dwójkę umyły podłogę, wytarły kurz z mebli. Widocznie nowi właściciele wprowadzili się tu dopiero dwa-trzy dni temu, gdyż do połowy pokojów nikt nie zaglądał od pół roku. Wszędzie leżała gruba warstwa kurzu, poza tym Miriam nie wiedziała o istnieniu piwnicy. Luk do piwnicy odkryła Dora, odsunąwszy chodnik. Po sprzątaniu zajęły się kuchnią, gdyż zbliżała się pora kolacji. Wydawałoby się, prosta czynność: umycie naczyń, ale w tym domu wszystko robiło się inaczej niż w karawanie. A Dorą targały straszne wątpliwości. W końcu nie wytrzymała i zapytała szeptem:

 – Miriam, byłaś dla mnie taka dobra. Jeśli możesz, powiedz mi prawdę. Jesteś człowiekiem?

 Ręce dziewczyny zastygły nad misą z brudnymi naczyniami. Ramiona obwisły. Dobrą minutę stała tak nieruchomo.

 – Greb! – zawołała w końcu Miriam. – Dora pyta, czy ja jestem człowiekiem.

 Dorze ze strachu aż zadzwoniły zęby. Dopiero co Miriam była wesoła i pełna radości życia – i nagle cała zwiędła jak kwiatek.

 Wojownicy się zakrzątnęli, Kris pobiegł na piętro, a Greb stanął w drzwiach kuchni.

 – Skąd to wzięłaś, że Miriam nie jest człowiekiem? – zapytał.

 – Wa-wa-wa-a-a… – tylko tyle zdołała wyjąkać Dora.

 – No?

 Dora cofała się, aż oparła się łopatkami o ścianę. Rozejrzała się jak zaszczute zwierzę. Wyskoczyć oknem i niech się dzieje, co chce? Rama za mocna, nie da się wybić. Nagle bardzo zachciało się jej żyć, nawet na łańcuchu w barakach, bylenie umrzeć w tym strasznymdomu.

 – Słucham was, nic złego nie zrobiłam, tylko zapytałam – trajkotała, przesuwając się bokiem wzdłuż ściany, dopóki nie znalazła się w rogu.

 Do kuchni wszedł Kris z czarnym pudełeczkiem w ręce i skierował się wprost w jej kierunku. Dora pisnęła, chwyciła taboret i wystawiła nóżkami naprzód, zasłaniając się jak tarczą.

 – Co to ma znaczyć? – Kris zatrzymał się zdumiony. Na pudełeczko w jego ręce świeciły się dwa zielone ogniki i żółty pas – jak oczy dzikiego kota w ciemności, ale o wiele jaśniej.

 – Och Boże ty mój, no czego się tak wystraszyłaś, głuptasko? Nikt w tym domu ciebie nie skrzywdzi – Miriam wyjęła z osłabłych palców Dory taboret i posadziła dziewczynę na nim.

 Dora wyszarpnęła z kieszeni nożyczki i chciała wbić je sobie pod lewą pierś, ale Miriam wybiła je z jej ręki nieprawdopodobnie szybkim ruchem. Nożyczki z brzękiem odbiły się od ściany i poleciały pod stół. Dora wpadła w prostrację. Zrozumiała, że już po niej. Pierwszego dnia napaść na gospodynię, zbić ją z nóg, potem na gospodarza z taboretem… Teraz pozostało już tylko czekać na swój los. Kris podszedł do niej i przyłożył jej do czoła czarne pudełko.

 – Patrz mi w oczy – powiedział surowo. – Okno. – Dora kątem oka spojrzała na okno. – Nie rozpraszaj się. Patrz mi w oczy. Stół. Sufit. Dom. – Potem powiedział kilka słów w niezrozumiałym języku. Dora ze strachem patrzyła mu w oczy, a pudełeczko chłodziło jej czoło.

 – Zero – powiedział do Greba i włożył pudełeczko do kieszeni spodni.

 – Zdjąłeś medalion?

 – Tak. Zostawiłem na górze.

 – No to już nic nie rozumiem. – Greb postawił krzesło naprzeciw Dory i usiadł na nim. – Co ci się nie podobało w Miriam?

 – Miriam jest dobra. Ja tylko pytałam. Nie wiedziałam, że nie można. Już więcej nie będę.

 – A niechże cię! Dlaczego pytałaś?

 Dora spojrzała z lękiem na Miriam. Ta zrozumiała, usiadła koło niej w kucki i pogłaskała ją po kolanie.

 – Powiedz, proszę cię. Dla mnie to bardzo ważne.

 – Macie nieprawidłowy dom, wszystko tu nieprawdziwe.

 – Mów, mów. – Zachęcił ją Kris.

 – Wszystko robicie nie tak jak ludzie, nie mówicie tak samo.

 – Nie możesz jaśniej? – zapytał zniecierpliwiony Greb.

 – Poczekaj, Greb, nie rycz. Nie widzisz, że ona się ciebie boi? – Wmieszała się Miriam – A ty, miła, nie bój się. Daję ci słowo, że w tym domu nikt ciebie nie obrazi. Wierzysz mi?

 Dora pokręciła przecząco głową. Pozostała trójka się roześmiała.

 – Więc co w naszym domu nie tak? – powtórzył Kris.

 – A choćby wasze zbroje. Są nieprawdziwe.

 – Jak to: nieprawdziwe? – Zdziwił się Kris – Skopiowane jeden do jednego.

 – Wyglądają jak stare, a naprawdę są nowe.

 – Ależ ty masz oko! – powiedział z uznaniem Kris.

 – A co, myślałeś, że za byle G wyłożę dwadzieścia pięć monet? – Uśmiechnął się Greb.

 Dora nie wierzyła swojemu szczęściu, ale wyglądało na to, że już po strachu. Przeżyła. Trzeba zaryzykować, póki gospodarze są z niej zadowoleni, później takiej okazji nie będzie.

 – Gospodarzu, powiedz, czyście ludzie? Umiem zachować sekret, chodziłam z karawaną.

 – Aleś ty natarczywa! Ludzie, ludzie. A że cudzoziemcy, to nie żadna tajemnica.

 – Z drugiego kontynentu?

 – Dalej. Ale to już jest tajemnica.

 – Jesteście stąd, skąd przybyli nasi przodkowie?

 – Patrzcie ją! Wszystko wie! – Zachwycił się Kris. – Nie, Dora, ale prawie zgadłaś. Mieszkamy jeszcze dalej. Przyjechaliśmy tu, żeby znaleźć pewnego człowieka. Wasz system znamy kiepsko. A coś ty o nas pomyślała?

 – Że w nocy mnie zabijecie, wypijecie krew, ale nie oddacie Czarnemu Ptakowi. I że ja, martwa, będę musiała na was pracować do końca wieku.

 – Czyli zrobimy z ciebie zombie. A widziałaś coś takiego? – Dora z powagą skinęła głową.

 Wyciągnęła się pod prześcieradłem i wsłuchała w siebie. Pod kocem było jej za gorąco i powiesiła go na oparciu krzesła. Dziwny dom. Dziwny i straszny. Nie biją… Już lepiej by bili. Całą godzinę wypytywali, czym różnią się od miejscowych. A jak tu wyjaśnić, kiedy na jednym brzegu są takie zwyczaje, na drugim inne, a w fortach jeszcze inne? Sekon jest wielki. A oni słuchają, jakby od tego zależało ich życie. Zaury karawaną! Greb kazał jej no­sić drogi medalion. Nie podarował, tylko włożył jej na szyję i zakazał zdejmować. Powie­dział, że, jeśli zdejmie, sprzeda ją do baraków. Dora chciała zdjąć. Lepiej już do baraków, tam wszystko jasne. Miriam jej odradziła. Powiedziała Grebowi, że nie ma racji i że nie wolno zastraszać niewolnicy. A kogo wolno, jeśli nie ją? Jak dobrze było w karawanie… Wszystko jasne, sami swoi. Pomyliłeś się, karawaniarz pociągnie parę razy batem i przeba­czy. I już po strachu. Tak jest w karawanie. A tu nic nie jest jasne. Ni to wybaczyli, ni to nie wybaczyli.

 Nagle Dora przypomniała sobie, o czym mówiono przy obiedzie. Kris czekał na nią! Obiecała, że przyjdzie – i zapomniała! O mój Boże! Trzecie przewinienie w ciągu jednego dnia!

 Zwinnie wyśliznęła się z łóżka i wyskoczyła na korytarz. Ale gdzie jest jego sypialnia: na prawo czy na lewo? Uchyliła jedne drzwi: ma poduszce dwie głowy. Uchyliła drugie: jedna. Cichutko zanurkowała pod koc, przesunęła ręką po męskiej piersi. Kris obudził się od razu.

 – Tavi?

 – To Dora, gospodarzu.

 – Co ty tu robisz?

 – Gospodarz chciał widzieć Dorę, więc Dora przyszła.

 – Ale z ciebie głuptaska!

 – Dora obiecała i przyszła. Jeśli Dora nie jest potrzebna panu, odejdzie – odrzekła urażona.

 Dłoń legła na jej ramię, spełzła na jej pierś, potem jeszcze niżej.

 – Poczekaj chwilę. – Kris wygiął się przez nią, pomacał w szafce nocnej. – Zjedz tabletkę.

 Włożył w jej palce twarde ziarenko groszku. Dora posłusznie zaczęła je żuć.

 – Strasznie gorzkie – poskarżyła się.

 – Nie trzeba jej żuć. Połknij – wyjaśnił Kris. Jego ręka znowu legła na pierś Dory.

 – Nic nie umiesz. Komu potrzebne twoje udawanie? – Kris odsunął jej obwisłą pierś.

 Dora wtuliła twarz w poduszkę, naciągnęła na głowę koc i rozpłakała się na całego. Już po raz drugi tego dnia lała łzy strumieniami. Kris zaniepokoił się.

 – Słuchaj, ja ciebie nie wzywałem. Po co przyszłaś, jeśli nie chcesz?

 – Nie wiedziałeś, kogo kupujesz. Jeśli to moja wina, zbij mnie. Starałam się ze wszystkich sił. Cóż, nie nadaję się do pościeli, nie uczono mnie. Po co kupowałeś, po co kazałeś przyjść?

 – Kazałem ci przyjść? Kiedy?

 – Przy obiedzie.

 Ponad minutę Kris milczał. Nagle jego ręka stała się miękka i czuła.

 – Posłuchaj, głuptasko, przy obiedzie często gadamy przeróżne bzdury. Nie trzeba wszystkiego traktować dosłownie.

 – Staram się, jak mogę. Z tego, co teraz powiedziałeś, połowy nie zrozumiałam. Sprzedaj mnie, panie. Sprzedaj gdzie chcesz, byle jak najdalej od tego domu!

 Kris boleśnie ścisnął jej sutek. Dora krzyknęła i umilkła. Jego wargi zakryły jej oczy. Jego ogromne, czułe ręce wydawały się być wszędzie. Ożyły jej piersi, napełniły się sokami. A potem wszedł w nią. I po raz pierwszy jej ciało odpowiedziało, załomotało, zatrzepotało.

 Dora obudziła się od męskiej pieszczoty. Słońce świeciło w okno. Kris długo przygotowywał ją, aż pieszczoty zrobiły się nie do zniesienia, ciało wygięło się w łuk, biodra rozsunęły się szeroko. I wtedy ją wziął. Krzyczała głośno i wiła się w ekstazie. To było zupełnie niepo­równywalne z tym, co było wczoraj. Oto prawdziwe życie, oto szczęście! Jeszcze minuta, a potem choćby na zawsze w zero! Kris wyzuty z sił, leżał koło niej. Dora otworzyła oczy i uśmiechnęła się. Ale nagle jej nastrój znowu opadł.

 – Kto to jest Tavi?

 – Moja była żona. Ona zginęła. Odeszła w zero na zawsze.

 Kris podniósł się, włożył śmieszne krótkie i obcisłe spodenki i wyszedł z pokoju. Dora przypomniała sobie, że cała odzież została w jej sypialni. Owinęła się kocem, ale w drzwiach wpadła na Krisa i Miriam. Kris zabrał Dorze koc, rzucił go na łóżko. Spróbowała zakryć się dłońmi, ale on odsunął jej ręce i położył prawą pierś na dłoni ze słowami:

 – Zobacz. Można coś z tym zrobić? Przecież to nie są piersi, tylko uszy spaniela.

 – Myślisz, że ja tak od razu dam ci gotową odpowiedź? Tak, można. Można wstawić implanty, można zastosować preparaty hormonalne. A może wystarczy zwykłe dobre jedzenie? Konkretnie powiem po analizie genetycznej. Dora, jaką miałaś wcześniej pierś?

 Dora zrobiła się czerwona jak burak.

 – Nigdy nie miałam takiej jak ty, pani. Najpierw stała słupkami, potem dostałam się gospodarzowi, zdjął mi skórzaną obrożę, zaczął źle karmić, no i…

 – Korekta hormonalna – wywnioskowała Miriam.

 – Czy to będzie długo trwało? – zapytał Kris.

 – Szybko mnożą się tylko karaluchy. Jeśli wsadzę jej całą dozę w ciągu tygodnia, będą efekty uboczne. A czy to jej potrzebne?

 – Miri, ja cię nie poganiam, ja tylko pytam.

 – Dwa miesiące.

 – Co chcecie ze mną zrobić? – zapytała Dora, nabrawszy śmiałości.

 – Chcesz mieć taką pierś jak ja?

 – A będę mogła strzelać z łuku?

 – Sami zróbcie z tym porządek – rozzłościła się Miriam, odepchnęła Krisa i wyszła z sypialni. Kris zmierzył Dorę długim spojrzeniem i zaczął się ubierać.

 – Panie, ja tylko zapytałam. Będzie, jak ty powiesz. – Dora trochę się obraziła. Położyła swoje piersi na dłoniach i oglądała je, jakby widziała po raz pierwszy. – A kto to jest spa­niel?

 – Dora, chodź do mnie na górę - rozkazał po śniadaniu Greb.

 Przestąpiła próg gabinetu z obawą.

 – Umiesz czytać?

 – Znam litery.

 – Przeczytaj. – Dotknął palcem dużego, niezrozumiałego rysunku, rozłożonego na stole.

 Dora przyjrzała się. Po bokach rysunku były dwa nierówne niebieskie pasy. Między nimi zielone, żółte, brązowe. Dużo cienkich linii, napisów, znaczków. Litery wyglądały obco. Dora zrozumiała, że patrzy na nie do góry nogami. Obeszła stół, starając się niczego nie dotykać.

 – H-a-rif – przedukała i nagle zrozumiała, co ma przed sobą.

 Niebieskie pasy na bokach – to oceany. Ciemnozielone – lasy. Jasnozielone – sawanny i stepy. Żółte – pustynie. Brązowe… koło pustyni… Ależ to góry! Harif stoi nad rzeką… Tak, to ta niebieska nitka. To jakby widok z bardzo wysokiej góry, od razu widać wszystko. Każdy karawaniarz za taki rysunek odda prawą rękę. Dora wpatrzyła się w szczegóły. Ten czerwony krążek, otoczony czarną linią – to Bahan. Czarna linia – to mury wokół miasta. Wszystko się zgadza: leży prawie na brzegu oceanu. A Harif?

 – Tu źle narysowano – oburzyła się. – Harif nie jest okrągły, tylko rozciągnięty wzdłuż rzeki. Stare miasto było okrągłe. Ale po ataku mieszkańców stepu nikt nie odbudował mu­rów.

 – Gdzie nieprawidłowo? – Zdziwił się Greb – A-a, ten krążek wskazuje, ilu mieszkańców liczy Harif. Zaglądamy do legendy i widzimy: ponad sto tysięcy.

 – To o każdym mieście można się dowiedzieć, ilu liczy mieszkańców? Wtedy od razu ja­sne, ile gdzie wieźć towaru. Gospodarzu, ten rysunek jest bezcenny! Naucz mnie, jak ryso­wać, a ja go przerysuję i sprzedam keptenom za sto złotych. Wydałeś na mnie dwadzieścia pięć, a ja ci przyniosę cztery razy więcej.

 – Pieniądze mamy, a czasu mało. Ten rysunek to mapa. Czytasz kiepsko, ale to łatwo poprawić. Ważne, że głowa pracuje. Nanieś na tej mapie wszystkie szlaki karawan, jakie znasz.

 – Gospodarzu, Dora nie zrozumiała, co trzeba zrobić.

 – Narysuj, gdzie chodziłaś z karawanami.

 – Nie potrafię…

 Greb rozzłościł się, ale wziął się w garść. Zaczął mówić jak do małej dziewczynki:

 – To jest ołówek, a to gumka do ścierania. Jeśli źle poprowadzisz linię, zetrzyj ją gumką. O tak. – Pokazał. – Weź czysty arkusz papieru, potrenuj na nim.

 Pół godziny później Dora, z przegryzionym z nadgorliwości koniuszkiem języka, kreśliła na mapie linie. Marszcząc czoło przypominała sobie, ile dni trwa przejście tego czy innego szlaku, zaginała palce, poruszała wargami i rozbijała linie na kreseczki. Greb wyszedł, żeby jej nie przeszkadzać, zajrzała Miriam, uśmiechnęła się do niej i też wyszła. Po obiedzie wszyscy zebrali się przy mapie, Dora wodziła po niej ołówkiem, opowiadała wszystko, co pamiętała o każdej marszrucie. Greb i Kris robili notatki na kartkach papieru, zadawali pytania. Ile widziała mijanych karawan, ile w danym mieście karawanserajów, jakiej pojemno­ści, skąd i dokąd jakie towary wożą, gdzie są studnie, gdzie w której porze roku nie da się przejść. Dora odpowiadała dokładnie i w skrytości ducha była z siebie dumna. Jasne, na naradach karawaniarzy tylko patrzyła i słuchała, a tu wolni udzie łowią każde jej słowo! Nie wiedziała, że do jedzenia dosypano jej porządną dawkę stymulatorów pamięci.

 Wieczorem pomogła Miriam w gospodarstwie i czuła się tak zmęczona, jakby przeszła całodzienny odcinek karawany. Ale jej serce wypełniała radość. Co prawda Kris, który cały ranek spędził w mieście, a cały wieczór rąbał drwa, w łóżku tylko objął ją, pocałował w czoło i zaraz zasnął, ale Dora nie miała do niego pretensji. Zachwycała się jego profilem z garbatym nosem i marzyła o obroży jak czternastolatka. Rabusie, Telim, bazar – wszystko to odeszło daleko w przeszłości, znowu była tą samą energiczną, śmiałą, przedsiębiorczą Dorą – jak w tych złotych miesiącach, kiedy szykowała się do zostania matką karawany.

 Rano było pochmurno, silny wiatr pędził po ulicach tumany kurzu, ale serce Dory śpie­wało. Przed śniadaniem Greb wezwał ją do gabinetu.

 – Dzisiaj pójdziesz z Krisem do miasta kupić wszystko, co potrzebne. Żeby nikt się ciebie nie czepiał, włożysz obrożę. – Położył przed nią prawdziwą żelazną obrożę.

 – Jestem wolna?!

 – Na wolność trzeba zapracować. Powtarzam: włożysz obrożę, by nikt się ciebie nie cze­piał.

 – Jeśli niewolnica włoży obrożę wolnej, zabijają ją. Długo zabijają.

 – Nie chcesz zakładać obroży?

 – Dora żyje zgodnie z prawem. Ale jeśli gospodarz sam włoży na Dorę obrożę, Dora bę­dzie ją nosiła. Gospodarz może robić z niewolnicą wszystko, co zechce.

 – Chytruska. – Uśmiechnął się Greb. – Nie zapomnij wpaść do mnie nim wyjdziesz z domu.

 – Gospodarzu, a może Kris włoży na mnie obrożę?

 – Nawet Miriam. – Greb już znów pogrążył się w swoich papierach. – Stój! Wróć!

 – Tak, gospodarzu?

 – Pamiętaj, że z obrożą czy bez obroży ciągle jesteś niewolnicą. Przekaż naszą rozmowę Krisowi, zanim on włoży na ciebie obrożę.

 – Gospodarzu, ja nie jestem niewolnicą.

 – Tak, tak… No to kim w takim razie jesteś?

 – Jestem najlepszą, najmądrzejszą i najdroższą niewolnicą w całej okolicy.

 – Idź stąd, ty mała diablico! – Greb obrócił ją za ramiona i skierował ku drzwiom klapsem poniżej pleców. Wyfrunęła z gabinetu z radosnym śmiechem.

**KARAWANA**

 – Siodła, uzdeczki, sprawdzić podkowy, co jeszcze? – mamrotał Kris.

 – Gospodarzu, nie przejmuj się. Wszystko, co dotyczy konaków, biorę na siebie. – Dora pochyliła głowę, żeby poczuć na szyi żelazny pas obroży i mocniej ścisnęła dłoń Krisa.

 Miała na sobie skórzane szorty, króciutki skórzany bezrękawnik, zakrywający tylko piesi, pas z kindżałem i wspaniałe, mocne, niezawodne buty. Jasne, wypalone na słońcu prawie do białości swobodnie spływały na jej piersi i ramiona. Na wiorstę było widać, że to karawaniarka, a zarazem wolna kobieta, idąca razem ze swoim mężczyzną. Właśnie do takiego wniosku dochodzili wszyscy sklepikarze, na wyścigi zapraszający ich do swoich sklepów. Towary odbierała Dora, targowała się także ona. Sklepikarze czuli w niej doświadczenie i znajomość dziedziny, więc nie windowali za bardzo cen. Dora objaśniała kupcom, gdzie dostarczyć towary, a Kris płacił, sumował zakupy i stawiał kolejne ptaszki. Wyglądało to bardzo solidnie. Zapraszali ich do ponownych wizyt, proponowali otworzyć kredyt, kusili zniżkami. Radosne podniecenie nie opuszczało Dory. Nagle usłyszała krzyk:

 – E-e! E-e!

 Obejrzała się. Nie od razu rozpoznała niewolnicę, prowadzoną przez mieszczanina na sznurku, a kiedy rozpoznała, krzyknęła i zatkała sobie usta ręką.

 – Co oni z tobą zrobili, Norik?! – wyszeptała. – Gospodarzu, nieszczęście, pomóż! Prowadzą moją koleżankę.

 Kris okazał się najlepszym, najwspanialszym z mężczyzn. Położył rękę na ramieniu Dory, zawrócił i oboje, jakby nigdy nic, poszli za Norik i jej panem. Dora miała łzy w oczach. Dwa-trzy dni temu przewleczono Norik pierścienie przez piersi i zbito jej całe plecy batem. Teraz gospodarz prowadził ją na sznurku, z rękami skrępowanymi w nadgarstkach i łok­ciach.

 – Gospodarzu, ta niewolnica to Norik. Jest z naszej karawany. Gdy napadnięto na karawanę, porwano ją i sam widzisz, co teraz z nią zrobiono.

 – Jak się nazywa przywódca waszej karawany i gdzie on teraz jest

 – Kepten Telim. Znasz go. Kupiłeś mnie od niego. Wynajmuje pół domu na ulicy Siodlarzy.

 – To dobrze. Nie bój się, zaraz będę rozmawiał z Grebem. Mam czarodziejski medalion.

 Kris wyciągnął zza pazuchy medalion na łańcuszku i schował go w dłoni, po czym krótko i węzłowato opisał sytuację, udając, że szepcze coś Dore na ucho.

 – Działaj zgodnie z warunkami. Potrzebna ci pomoc? – Dora usłyszała cichy, ale wyraźny głos Greba.

 – Nie, sami sobie poradzimy.

 Norik obejrzała się kilka razy, Dora podniosła rękę i zrobiła umowny znak karawaniarzy „czekaj”. Kris schował medalion za pazuchę i zapoznał Dorę ze swoim planem. Tymczasem mieszczanin skręcił w cichą, mało ruchliwą uliczkę.

 – Stój! – zawołał Kris, podbiegł do mieszczanina, obrócił go i popchnął, aż ten oparł się o mur. – Szukamy ciebie piąty dzień! Wpadłeś, złodzieju! Dora, wezwij patrol.

 – Pomyliliście mnie z kimś innym – oburzył się mieszczanin.

 – Pomyliłem? Dora, gdzie ten patrol? Jak mogłem pomylić, jeśli to Norik, niewolnica skradziona mojemu przyjacielowi Telimowi. Albo zaraz pójdziesz z nami do miejskiego sądu, albo utnę ci głowę.

 – Ta niewolnica nazywa się Muna. Dopiero co ją kupiłem. Próbowała uciec poprzedniemu właścicielowi, więc została ukarana.

 – Norik, jak się nazywasz?- zapytał Kris. Dziewczyna otworzyła usta i wszyscy zobaczyli, że ma obcięty język. Dora zapłakała i przytuliła do siebie biedaczkę ze słowami:

 – Norik pięć lat była ze mną w karawanie. Nie było dziewczyny cichszej i bardziej sumiennej od niej.

 – Zapłacisz za to! – Kris podniósł mieszczanina za klapy, aż jego nogi zawisły w powie­trzu.

 – Mówię wam, że kupiłem ją uczciwie za złotą monetę, sprzedawca może potwierdzić.

 – Kris, nie widziałam go wśród rabusiów. Jeśli nie kłamie, trzeba szukać sprzedawcy.

 Kris udał, że się namyśla.

 – Kupuję ją od ciebie za złotą. I wystąpisz jako świadek w sądzie.

 – Nie mam zamiaru jej sprzedawać.

 – Słuchaj, ta niewolnica jest kradziona. Złapaliśmy cię na gorącym uczynku. Albo sam odpowiesz za kradzież, albo wskażesz sprzedawcę – wyjaśniał cierpliwie Kris mieszczaninowi. – Ale jeśli będziesz się upierał, zaprowadzimy cię do sądu. Sprzedawca wyrzeknie się ciebie, powie, że nie widział cię na oczy. Wylądujesz w jamie, a on ucieknie z miasta. Więc bądź rozumny Weź złotą i nie upieraj się. Banda ukradła dziś niewolnicę nam, jutro ukrad­nie tobie.

 Mieszczanin chwilę pomyślał i zgodził się. Dora rozcięła Norik sznurki, zaczęła rozcierać jej ręce, a Kris kazał mu zapisać na arkuszu papieru, gdzie i za ile kupił niewolnicę, za ile sprzedał i że nie ma pretensji, a poniżej podać swój adres i podpisać. Potem go puścił wolno.

 Kris i Dora zaprowadzili dziewczynę do domu.

 – Chcecie wszystkie niewolnice miasta zebrać w tym domu? – zapytał ponuro Greb.

 – Przestań. Przecież to szczególny przypadek – Wystąpiła w ich obronie Miriam.

 – Te szczególne przypadkibędą mnożyły się jak króliki. Dzisiaj jeden, jutro dwa, pojutrze cztery, za dziesięć dni – tysiąc dwadzieścia cztery. Jesteśmy tu, żeby biegać za spódnicz­kami?

 Miriam podeszła do niego i zatkała mu usta ręką.

 – Przestań. Bo zaraz powiesz coś takiego, że jutro będzie nam wszystkim wstyd.

 Norik aż mocno zmrużyła oczy.

 – Nie bój się – szepnęła jej Dora – Ona jest wolna. Nie nosi obroży, bo cudzoziemka.

 – Dora, wymyśl do rana, gdzie ją umieścić– rozkazał Greb. – Macie tu żeńskie klasztory?

 – Gospodarzu, ja zwrócę Norik do karawany Telima.

 Norik skinęła głową. Jak Dora pierwszego dnia, tak i ona bała się już tego domu.

 – Dobrze. Ale gdzie jedna skradziona niewolnica, tam mogą być i pozostałe.

 Norik znów skinęła głową. Dora spojrzała na Krisa, na Greba, po czym uklękła i przycisnęła ręce do piersi.

 – Nie dajcie zginąć…

 – Chodźmy do jadalni, tam wszystko omówimy.

 Poszli. Greb odłączył się i po chwili przyniósł skądś cylinderek koloru kości słoniowej, podobny do rączki noża i przyłożył go do krtani Norik.

 – Mów.

 – Ależ bym chciała! Oj, mamusiu! To nie ja, to ta rzecz za mnie mówi! – rozległ się z cylinderka wysoki piskliwy głos. Norik przeraziła się nie na żarty.

 – Nie bój się. – Uspokoiła ją Dora, choć sama też porządnie się przestraszyła. – Za ocea­nem takie czarodziejskie sztuczki to normalka. Wiem.

 – Mogę znowu mówić?

 – W tym domu tak, poza nim nie – wyjaśnił jej Greb. – Sama trzymaj i mocno przyciskaj do gardła. Opowiadaj, co się stało z karawaną i ludźmi.

 Opowiadanie nie było długie. Napastnicy pojmali wszystkie kobiety oprócz Dory i jeszcze jednej. Jedną przypadkowa strzała trafiła w brzuch i ta szybko umarła. Znaleźli i sprowadzili prawie wszystkie konie, które rozgoniły Dora i matka. Trzech karawaniarzy Nora widziała zabitych, o losie pozostałych nic nie wiedziała. Matka karawany schowała nóż i, wybrawszy odpowiednią chwilę, zabiła dwóch napastników, po czym rzuciła się z nożem na miecze. Za taką odwagę zabili ją lekką śmiercią: powiesili za lewą rękę na drzewie i ostrzelali z łuków. Dora przemilczała, że ona też zabiła dwóch napastników: jednego nożem w plecy, drugiego z łuku zabitego, także w plecy. Gospodarzy ma dobrych, ale lepiej, żeby nie wiedzieli, że dotykała broni bez pozwolenia.

 Jak opowiadała Norik, całą piątkę kobiet zbili, obcięli im języki i włosy, po czym wysłali na sprzedaż do Elisetu. Razem z nimi powiedli też dwanaście jucznych konaków z towarami na grzbietach. W mieście sprzedawcom na rynku wyjaśnili, że kobiety zorganizowały ma­sową ucieczkę. Wszystkim wstawili w piersi pierścienie i wystawili na pomost. Chcieli sprzedać je bardzo tanio, ale inni sprzedawcy się zbuntowali. A kiedy cenę podnieśli, nikt nie chciał kupić niewolnic z tak złą reputacją i dlatego w ciągu trzech dni sprzedali tylko Norik.

 Gdy opowieść się skończyła, Miriam wzięła Norik do siebie, a Dora błagalnie spojrzała na mężczyzn i ścisnęła pod stołem rękę Krisa. Ten także spojrzał pytająco na Greba.

 – Daję wam dobę – powiedział Greb. – Działajcie ściśle w granicach prawa.

 – Obco, ale spróbować można – mruknął Kris. – Jesteś gotowa, Dora?

 Dopełnił sakiewkę i poszedł w kierunku drzwi. Dora rzuciła się za nim.

 – Stójcie! – krzyknął Greb. – To poważna sprawa. Pójdziemy wszyscy. Słyszysz, Miri?

 – Słyszę - dobiegło z piętra. – Jestem teraz zajęta. Idźcie, a ja znajdę was pelengatorem.

 – Prawa i sprawiedliwości! – wykrzyknął Kris, gdy tylko zobaczył patrol. Żołnierze patrolu zatrzymali się bardzo niechętnie, ale musieli.

 – O co chodzi?

 – Prawa i sprawiedliwości! Mojego przyjaciela, karawaniarza Telima...

 – Keptena Telima –poprawiła Dora.

 – Keptena Telima raniono i ograbiono niedaleko murów tego miasta…

 – Ale już za murami, więc nas to nie dotyczy.

 – Tak, ale to, co zagrabili, sprzedają w mieście. Prawa i sprawiedliwości!

 Trzy złote monety znikły w kieszeniach członków patrolu.

 – Kepten Telim… Niedawno słyszałem to imię. Czy to nie on sprzedał straszną jak grzech śmiertelny niewolnicę za dwadzieścia pięć złotych monet?

 – Jestem straszna jak grzech śmiertelny?! Oczy ci wydrapię! – Oburzyła się Dora – On oddał mnie przyjacielowi za pół ceny, żeby ten włożył na mnie obrożę.

 – To ty? – Zdumiał się dowódca patrolu. – Ciebie za dwadzieścia pięć? Za pół ceny?!

 – Mnie, a kogoż by innego? Ochrony i sprawiedliwości! Tam nasze niewolnice bezczel­nie, prawie na naszych oczach sprzedają! Języki im obcięli, żeby nie powiedziały prawdy!

 – W takim razie jak mamy je przesłuchać?

 – Zadając pytania, na które odpowiada się „tak” albo „nie”. Nic prostszego – poradził Greb.

 – Trzeba wezwać wzmocnienie – postanowił dowódca patrolu, wszyscy trzej zawrócili, i, brzęcząc zbrojami, pobiegli do koszar. Greb, Kris i Dora puścili się za nimi. Niedługo dogoniła ich Miriam, biegnąca lekko i swobodnie, z mieczem w pochwie w rękach.

 – Oddychaj głębiej – rzucił jej Greb. Miriam skinęła głową i od razu zaczęła wyglądać na zmęczoną. Dora zapamiętała to sobie i postanowiła później wypytać.

 – Oczyściłam rany Norik. Niedługo się zabliźnią – zakomunikowała Miriam Dorze.

 W koszarach zaalarmowali dyżurujący oddział. Żołnierze wsiedli na konaki – niektórzy po dwóch na jednego – i pokłusowali w kierunku rynku niewolniczego. Greb, Kris, Dora i Miriam też wsiedli za żołnierzy. Na rynku oddział rozdzielił się na dwa i z obu stron równocze­śnie wpadł między pomosty niewolnic czarnej roboty. Sprzedawca nawet nie zorientował się, o co chodzi, a już go związali i włożyli do wora. Zobaczywszy Dorę, dziewczyny bardzo się ucieszyły, stłoczyły się wokół niej, każda chciała ją dotknąć, pomacać obrożę, pocałować w ramię.

 – Dziewczynki, będą was wypytywali, mówcie prawdę. Ukradli was z karawany, wasi gospodarze to Telim i ja – instruowała kobiety Dora. One otwierały usta, pokazywały obcięte języki. – Przecież wiem! Norik już jest w moim domu, wszystko opowiedziała. Na przesłuchaniu mówcie prawdę i tylko prawdę. Wasi gospodarze to Telim i ja.

 Kobiety uwolniono z łańcuchów, ktoś zaproponował, żeby związać im ręce, ale Dora nakrzyczała na niego. Żołnierze wsiedli na konaki, a niewolnice uchwyciły się strzemion i pobiegły koło nich, podtrzymując wolną ręką pierścienie w okaleczonych piersiach. W budynku sądu kanceliści zapisali zeznania dowódcy patrolu i Krisa, przyjaciela biednego, rannego, poszkodowanego Telima. Potem po jednej wzywano niewolnice i przesłuchiwano je według systemu, zaproponowanego przez Greba. Zapisano dane osobowe żołnierzy, by włączyć ich na listę nagrodzonych. Podczas gdy kanceliści skrzypieli piórami, żołnierze grupami po trzech-czterech podchodzili do Dory, oglądali ją i oceniali jej zalety. Zgodzili się, że nie jest szkaradna, ale i nie piękna. Sympatyczna, ale zbyt płaska i nie warta dwudziestu pięciu monet. Na piękną Miriam, siedzącą obok, nikt nie zwracał uwagi. Z każdą minutą Dora zadzierała swój czerwony nosek coraz wyżej. Niewolnice po przesłuchaniu siadały koło jej nóg i patrzyły z oddaniem w jej oczy. Stała się dla nich bóstwem w glorii sławy. Ona, wolna i piękna, przyprowadziła cały oddział wojowników, żeby je uratować przed ba­rakami.

 Czy to sprawa była aż tak jasna, czy wszyscy rozumieli, że przez zwłokę reszta szajki ucieknie, czy podziałały złote Greba, dość, że machina sądowa zadziałała szybko i sprawnie. Pozostawało tylko wyjaśnić, gdzie zatrzymali się przestępcy i zabrać im cały niesprzedany towar. Napad na karawanę miał miejsce poza miastem i za to nie można było sądzić. Ale sprzedaż kradzionego w mieście jest zabroniona, więc odebrać kradzione i zwrócić właścicielowi było zgodne z prawem. I okradzeni mają prawo ukarać złodziei, ale w granicach prawa. Pod naciskiem nieodpartych argumentów Dory i jeszcze bardziej nieodpartych okrą­glutkich, złociutkich, dzwoniących argumentów Greba, zgodzili się z tym wszyscy: i sędzia, i patrol. Sędzia, kat, kanceliści i wszyscy ciekawscy zeszli do podziemi, gdzie zaczęli prze­słuchiwać sprzedawcę. Ale ten mężnie milczał. Może myślał, że sędzia niczego nie dowie­dział się od kobiet, a może doszedł do słusznego wniosku, że dopóki milczy, żyje. Za paser­stwo karano śmiercią – ciężej, niż za samą kradzież. Czas mijał, a on milczał. W końcu Greb poprosił:

 – Szanowny sędzio, proszę zostawić nas samych. W cztery oczy on mi wszystko opowie.

 – Czemu nie? – zgodził się sędzia, ziewając. Sprawa przyniosła mu już dochód, o jakim nawet nie marzył, i teraz śpieszył się do domu.

 Greb spędził sam na sam ze sprzedawcą około dziesięciu minut i wyszedł zadowolony. Dora zauważyła, że chowa do kieszeni znajome czarne pudełko.

 – Przyznał się. Zaułek Kryształowy, piętrowy wynajmowany dom za drewnianym płotem. Połowę domu gospodarze podnajmują, a w drugiej mieszkają sami.

 – To nie człowiek! To diabeł! Ukarzcie go! – krzyczał w sali przesłuchań sprzedawca.

 Sędzia szerokim gestem wskazał na drzwi jednemu z członków patrolu. Ten ukłonił się i zniknął w sali przesłuchań. Po chwili wrócił, trzymając w jednej ręce za ucho odrąbaną głowę, a drugą troskliwie podtrzymując pod nią miskę, by krew nie kapała na podłogę. Nie zatrzymując się pobiegł na plac, gdzie wbije ją na pal do ogólnego oglądu. Inny powiedział:

 – Znam tą ruderę. Tam na noc wypuszczają na podwórze dwa psy.

 Oddział znowu wsiadł na konaki i, strasząc rzadkich wieczornych przechodniów, pomknął do Zaułku Kryształowego. Żołnierze okrążyli cały kwartał, wchodząc na sąsiednie podwórza i dachy domów. Niedługo dowódca otrzymał sygnał, że dom jest zablokowany. Chciał już wysłać ludzi na podwórze, ale Greb go powstrzymał. Wszystkim, kto był w pobliżu, rozdał znane już Dorze okrągłe twarde groszki i kazał je zjeść. Dora połknęła swój nie żując, ale Greb wydał jej drugi i kazał rozżuć. Miriam pobiegła karmić groszkami pozostałych żołnierzy.

 – Po co to? – Zdziwił się dowódca.

 – Nie słyszałeś o sennym mchu, czcigodny? To obrona przed nim.

 Greb podszedł do płotu. Psy na podwórzu zaniosły się szczekaniem. Greb przerzucił ciemny kamyczek przez płot, rozległo się niezbyt głośne klaśnięcie i psy umilkły. Greb z Krisem zaczęli rzucać kamyczki na podwórze. Przybiegła Miriam.

 – Widzisz to uchylone okno, tam na piętrze? – zapytał Greb.

Miriam wzięła od niego kamyczek i trafiła nim w cel. Dora roześmiała się cicho. Dowódca patrolu spojrzał na nią i również się uśmiechnął.

 – Teraz poczekamy pięć minut i weźmiemy wszystkich uśpionych. – Kris położył rękę na ramieniu Dory, a ta nakryła jego dłoń swoją.

 – Jak wy to robicie? – zapytał dowódca patrolu.

 – Bardzo łatwo. – Kris podał mu czarną kulkę. – Ściskasz palcami, żeby wewnątrz coś chrupnęło, i rzucasz, zanim pęknie ci w ręce.

 – Co tam jest w środku?

 – To tajemnica – odrzekł Kris, a kiedy dowódca spochmurniał, roześmiał się – Źle mnie zrozumiałeś, czcigodny. Oddałbym sto złotych, żeby dowiedzieć się, jak leśni ludzie to ro­bią. Zbierają senny mech, suszą go – a co potem, nikt nie wie. Te kulki sprzedają bardzo tanio, a te, które jedliśmy – bardzo drogo.

 Dowódca skinął głową, z ciekawością oglądając kulkę. Dora nie uwierzyła ani jednemu słowu swojego pana. Chodziła dużo z karawanami, ale o leśnych ludziach usłyszała po raz pierwszy. W lasach żyją zaury, a nie leśni ludzie.

 Greb zrobił znak i żołnierze weszli do domu. Jak przewidział Kris, wewnątrz wszyscy spali, i ludzie, i psy, i konaki. Żołnierze zaczęli znosić wszystkich ludzi do wielkiego pokoju na parterze. Sprowadzili sąsiadów, uprzednio podając im słodko-kwaśne groszki. Dora i niewolnice rozpoznały sześciu rabusiów, przetaszczono ich pod jedną ze ścian. Sąsiedzi rozpoznali właściciela domu, jego dzieci i dwie nałożnice, odtaszczono ich w drugą stronę. Po­zostały cztery wolne kobiety, w tym jedna w ciąży. Sąsiedzi powiedzieli, że to żony karawa­niarzy.

 – To nie karawaniarze! – zaprzeczyła Dora. – Ograbili naszą karawanę! Uprowadzili konie, zabili matkę, okaleczyli kobiety. Kogo wyznaczę nową matką, jeśli im powyrywali języki?

 Niewolnice zgodnie pokiwały głowami. Zajęto się konakami. Kris rozcierał groszki czubkiem noża, wsypywał proszek do pysków zwierząt i zalewał wodą z butelki. Konaki szybko się budziły. Dwanaście należało do karawany, jeden, stary i kulawy, do gospodarza. Tego Dora odprowadziła na bok, a na pozostałe kazała niewolnicom ładować juki z towarami, zwalone na stos w jednym z pokoi. Sama wróciła do wielkiego pokoju, gdzie czekali na nią Greb i dowódca patrolu.

 – Przepadło wiele dobytku? – zapytał Greb.

 – Dwa tuziny konaków, prawie wszystkie towary. Te trzy – Dora wskazała śpiące kobiety – wezmę jako niewolnice. Dwie niewolnice mi poległy, trzecią stracono. Ciężarna niech pozostanie wolna. Nosi w łonie wolnego człowieka.

 – To zgodne z prawem i sprawiedliwością – zgodził się dowódca. Sąsiedzi też nie mieli nic przeciwko temu.

 – A co z nimi? – zapytała Miriam.

 – Złodziejom obcina się rękę. A za to, co oni zrobili z moimi dziewczynami, obetnę im jajka. – Dora z nienawiścią kopnęła najbliższego w żebra.

 – To też sprawiedliwe – zgodził się dowódca.

 Dora wyjęła z pochwy kindżał, ale Kris ją powstrzymał.

 – Nie pchaj się. Miriam to lepiej zrobi.

 Dora włożyła kindżał z powrotem i przylgnęła czołem do zimnych płytek zbroi na piersi swojego mężczyzny. Dostała silnych dreszczy. Tak wczuła się w rolę wolnej kobiety, że omal nie popełniła przestępstwa! Dobrze, że Kris ją powstrzymał.

 Ręka Krisa legła jej na włosy, druga objęła za talię. Bryłka dławiącej czułości podeszła do Gardła. Dora nie wytrzymała i sięgnęła wargami do ust Krisa. Za plecami usłyszała śmie­szek dowódcy. Ale wargi Krisa już jej odpowiedziały i Dora kiwnęła dowódcy ręką, żeby ten jej nie przeszkadzał…

 Miriam skończyła opatrywać ostatni kikut, zdjęła opaskę uciskającą znad łokcia, wyprostowała plecy i rozejrzała się. Kris i Dora skończyli pocałunki, żołnierze nudzili się siedząc pod ścianami. Niewolnice załadowały konaki, jedna została z nimi, reszta siedziała u nóg Dory.

 – Od góry – koniec – powiedziała Miriam. – Może od dołu nie trzeba?

 – Trzeba! – Dora ze złością błysnęła oczami.

 Miriam z dezaprobatą pokręciła głową i ściągnęła spodnie pierwszemu rabusiowi. Dora pobiegła do kuchni, skąd przyniosła stertę glinianych misek. Operacje były proste, Miriam pracowała szybko. Niewolnice okrążyły ją i bacznie śledziły jej ruchy, kwitując każdy błysk noża radosnym piskiem. Ukrywanie zastrzyków środka przeciwbólowego było niemożliwe, więc Miriam wszystko robiła otwarcie. Wątpliwe, czy niewolnice zorientują się, o co tu chodzi, a nawet gdyby, to i tak nikomu tego nie opowiedzą. Przy każdym z mężczyzn Dora postawiła miskę, do której włożyła amputowaną dłoń, a do dłoni jądra. Na ścianie naryso­wała węglem znak karawany.

 – Co macie zamiar teraz robić? – zapytał Greba dowódca.

 – Dzisiaj już późno, więc karawana przenocuje u mnie. A jutro Dora przekaże go Teli­mowi. Za trzy-cztery dni wyjeżdżamy, więc wszystkie pytania kierujcie do niego.

 – Przekażę to sędziemu. – Skinął głową dowódca.

 Dora opuściła podwórze na czele karawany. Była keptenem! Jechała na koniu, w ręce trzymała pochodnię, na szyi miała obrożę, u pasa kindżał, na nogach buty. Za jej plecami szeregiem szły juczne konie, obładowane towarami, co drugi prowadzony za uzdę przez dziewczynę. Przez jej dziewczyny, z którymi niejeden rok zbierała kurz z tras karawano­wych. Za karawaną jechał oddział żołnierzy, a między nimi jej mężczyzna. To było spełnie­nie jej marzeń i była szczęśliwa jak nigdy w życiu. Na niedługo, ale szczęście nigdy nie trwa długo. Szkoda, że stary kepten tego nie widzi, byłby z niej dumny. Wdychała zapachy noc­nego miasta pełną piersią, kręciła głową, zapamiętując każdy szczegół. Przecież to się już nigdy nie powtórzy!

 Dora zaśmiała się cicho i pogłaskała konaka po ciepłej szyi. Odpowiedział jej rżeniem wdzięczności. Zastał się w stajni i teraz też cieszył się z przejażdżki.

 Gdy podjechali pod dom, Dora z żalem opuściła siodło i otworzyła wrota. Niewolnice wprowadziły konaki na podwórze. Z domu wybiegła Norik, wszyscy razem szybko rozładowali, rozsiodłali i napoili konaki. Związane śpiące kobiety zaniesiono do domu, Miriam przyniosła dziwne, bardzo ostre nożyce i rozcięła im obroże. W całym domu zapłonęły światła, Miriam wezwała wszystkich na kolację. W jadalni dwa stoły były zsunięte razem, na nich stały talerze z rozgotowaną, parującą potatą z dużymi kawałkami mięsa, a obok nich kufle z lekkim winem. Dora zawołała Greba i Krisa na bok.

 – Gospodarzu, dziewczyny nie mogą siedzieć z wami przy jednym stole. W karawanie tak się nie robi.

 – To nie jest karawana.

 – Gospodarzu, ale one nie usiądą do stołu! Nic im nie przejdzie przez gardło.

 – Dobrze, uznajmy, że ja z Krisem już zjedliśmy. – Uśmiechnął się Greb, poklepał ją po ramieniu i udał się na piętro, a Kris mrugnął do niej porozumiewawczo i poszedł za nim.

 Dora zastygła z otwartymi ustami. Omal się nie rozpłakała ze wstydu: zostawiła gospoda­rzy bez kolacji! Ale Miriam znalazła bardzo proste wyjście: wzięła na górę dwa talerze. Dora podreptała za nią z kuflami w rękach. Greb pocałował Miriam w policzek, a Kris przy­ciągnął Dorę do siebie, klepnął ją po tyłku i też pocałował.

 Gdy wróciły, kobiety już rozsiadły się wokół stołu, radośnie się trącając, uśmiechając się i połykając ślinkę. Czekały na komendę, a kiedy Dora ją dała, talerze bardzo szybko opustoszały. Wszyscy chcieli jeszcze, ale Miriam powiedziała, że po długim niedojadaniu nie można i zajęła się ranami dziewczyn. Kris przyszedł z brudnymi naczyniami i jakiś czas obserwował.

 – Co im wkłuwasz? – zapytał. – Regenerat?

 – Nie. Antyseptykę, środki anestezyjne i coś na przyśpieszenie gojenia ran.

 Tymczasem Dora przygotowywała miejsca do spania. Dwóm pościeliła na podłodze w swojej sypialni, dwóm na podłodze sypialni Miriam, reszcie w pustych pokojach. W osob­nym położyła trzy śpiące kobiety, związawszy im nogi i ręce za plecami i, po namyśle, kne­blując je, żeby po przebudzeniu nie krzyczały, bo mogą obudzić gospodarzy. Norik wzięła do siebie. Wierna, niezawodna Norik trochę popłakała jej w ramię i zasnęła, trzymając za rękę.

 Dziewczyny wstały z pierwszymi promieniami słońca, jak wypada niewolnicom karawany. Trącając się wesoło, od razu pobiegły czyścić konie. Dora pozwoliła sobie na kilka minut rozkoszy w pościeli. Obmacała swoje piersi. Według Miriam, powinne rosnąć już od dwu dni, ale na razie nie było widać. Dora jeszcze raz przeciągnęła się i sprężyście wyskoczyła z pościeli. Szybko się ubrała i pobiegła pomagać dziewczynom. Te wspólnie wyczyściły już trzy konaki gospodarzy i zabierały się do czyszczenia konaków karawany. Powitały Dorę machaniem rąk i słabą próbą odebrania jej szczotki. Dora roześmiała się, zdjęła obrożę, położyła na pniu i wylała na dziewczyny wiadro zimnej wody. Konaków nikt nie czyścił chyba od tygodnia. Rozbiwszy się na pary, dziewczyny tarły je i skrobały. Nagle Dora palnęła się w czoło, szybko zapięła z powrotem obrożę, chwyciła wiszący na ścianie bicz i krzyknęła:

 – Stójcie! Zapomniałam o nowych! Norik za mną!

 Związane kobiety cicho pojękiwały. Jedna z nich zdążyła uwolnić się od knebla i teraz próbowała przegryźć sznury obu pozostałych.

 – Norik, rozwiąż im nogi – rozkazała Dora. – A wy słuchajcie mnie. Jesteście teraz niewolnicami karawany. Mojej karawany. – Niedbale kręciła obrożę na ręce, bojąc się ją włożyć bez pozwolenia Krisa. – Jesteście młodszymi niewolnicami, macie słuchać wszystkich.

 – Mój mąż cię wyśle do baraków – wysyczała ta, która wypluła knebel.

 – Twojemu mężowi jesteś już niepotrzebna. – Dora podniosła za włosy jej przód z podłogi. – Kazałam mu, i jeszcze pięciu, obciąć jajka. A za rozgrabienie mojej karawany kazałam odrąbać złodziejom prawe ręce. Zapomnij o nim. Skończyłaś, Norik? Pędź je na podwórze.

 Jęcząc i roniąc łzy, kobiety zaczęły się ruszać. Ścierpnięte nogi nie chciały ich słuchać. Dora wyjęła im kneble z ust.

 – Cierpieć w milczeniu! W domu śpią mężczyźni – rozkazała.

 Dwie umilkły, trzecia zlekceważyła rozkaz. Dora kazała Norik wepchnąć jej w usta knebel i porządnie wysmagała biczem. Na nieposłusznych nogach kobiety pokuśtykały na podwó­rze.

 – Rozebrać je – rozkazała Dora – i ubrać tak, jak przyjęto w karawanach.

 Kobietom rozwiązano ręce, zdjęto z nich suknie, Sin-Sin potargała jedną z nich za fałdę tłuszczu na brzuchu i skrzywiła się z niezadowoleniem. Dora roześmiała się.

 – Ty byłaś nie lepsza. Słuchajcie wszyscy! Nowe są teraz młodszymi niewolnicami karawany. Jeśli kogoś obraziły, ukarzcie je teraz, żeby w drodze nie było żadnych tarć.

 Wydra wytoczyła nową z kneblem w ustach, związała jej dopiero co rozwiązane ręce długim sznurem. Pozostałe z entuzjazmem rzuciły się jej pomagać: przerzuciły koniec sznura przez sęk i zgodnie pociągnęły, aż nogi kobiety oderwały się od ziemi, umocowały koniec.

 – Tylko nie więcej, niż po dwa uderzenia – poprosiła Dora, widząc taką jednomyślność.

 Wydra skinęła z uśmiechem, zamoczyła bicz w beczce. Pozostałe dziewczyny ustawiły się w kolejce jak po jedzenie. Norik była ostatnia, uderzyła tylko raz, ale porządnie i starannie. Ona wszystko tak robiła. Dwie pozostałe nowicjuszki rozcierały dłonie i obserwowały egzekucję dość obojętnie. Dora doszła do wniosku, że i one były niewolnicami dłuższy czas. Gdy Norik zwróciła bicz, młodsza uklękła przed Dorą i wyciągnęła rękę. Dora dała bicz i jej, w duchu już żałując tej, co wisiała na drzewie. Ale kobieta podała bicz swojej towarzyszce i uklękła przed nią. Ta udała, że ją uderzyła i zwróciła bicz Dorze. Dora od razu awansowała obie z młodszych niewolnic na zwykłe, gwizdnęła sygnał „wszystkie do mnie” i ogłosiła:

 – Zabito matkę, a bez matki się nie da. Dlatego nową matką karawany wyznaczam Norik.

 Norik przestraszyła się i zamachała rękami, ale jej koleżanki przyjęły to z aplauzem.

 – Wy wszystkie – mówiła dalej Dora – jesteście starszymi niewolnicami, te nowe są niewolnicami, a ta przejrzała tykwa na drzewie to młodsza niewolnica. Wy trzy – wskazała – nauczycie nowe czyścić konie, pozostałe z sukni nowych uszyją prawdziwe ubrania. – Pobiegła na górę po igły, nici i nożyczki.

 Na parapecie siedziała Miriam i z ciekawością patrzyła w dół.

 – Co to za obnażone fotomodelki? – zapytała.

 Dora wyjrzała z okna. Gołe nowicjuszki czyściły konaki, dwie pracowały dobrze, a trzecią, tą zbitą, nadzorowała Sin-Sin z biczem w ręku.

 – Pani, Dora nie zrozumiała, co pani powiedziała.

 – Obnażona fotomodelka to znaczy ładna goła dziewczyna.

 – A-a… My je uczymy, jak się pracuje w karawanie. Dwie są dobre, a trzecią Telim pew­nie sprzeda. Pani, włóż na mnie obrożę, proszę.

 – Zrób to sama.

 – Nie wolno mi. Boję się.

 – Po co w takim razie zdejmowałaś? – Miriam zapięła żelazny pierścień na szyi dziewczyny. – Dora, jestem bardzo niezadowolona z twojego wczorajszego zachowania.

 – Zaraz przyniosę bicz. Tylko nie karz mnie na oczach dziewczyn.

 – Stój. Nawet nie zapytałaś, w czym zawiniłaś.

 Dora zmarszczyła czoło i zaczęła zginać palce. Gdy palców jej zabrakło, schowała rękę za plecy i spojrzała żałośnie na Miriam. Ta nie wytrzymała i uśmiechnęła się.

 – Nie jestem zadowolona z tego, co zrobiłaś z mężczyznami. Dobrze, biegnij w swoich sprawach, ty produkcie epoki wandalizmu.

 Na parterze dziewczyny już obeszły się bez nożyczek. Nożem kuchennym rozcięły każdą sukienkę na krótki bezrękawnik, minispódniczkę, jak to nazywała Miriam, i resztę. Reszta była spora, gdyż sukienki sięgały połowy łydki, więc dziewczyny z tego drogiego materiału wykrawywały sobie kamizelki. Dora położyła przyniesione przybory na stole i pobiegła do kuchni robić śniadanie. Po chwili z góry przyszła Miriam. Powęszyła, zmarszczyła twarz i zamknęła okno. Dora też powęszyła. Pachniało karawaną, odrobinę, dla niej nawet przyjemnie. Ale mieszkańcy miast mają inne gusta. Dora wybiegła do jadalni i rozkazała

 – Norik, konaki całą noc spędziły na podwórzu. Każ Zgniłej Tykwie usunąć wszystkie ich odchody. W mieście tego nie lubią. Ale sama rękami nic nie ruszaj! Jesteś matką. Jeśli zobaczę, że sama sprzątasz, zbiję cię.

 Norik pośpieszyła na podwórze, a Dora do kuchni, gdzie Miriam piekła ryżowe placki. Dora aż zamrugała. Przed chwilą ciasta nie było! Zresztą w tym domu wszystko było moż­liwe. Pracując, Dora czasem spoglądała w okno. Oczywiście Norik nie wytrzymała i poma­gała nowej nosić wiadro.

 Greb z Krisem przynieśli z piętra jeszcze jeden stół. Gospodarze i niewolnice jedli przy różnych stołach, ale w jednym pokoju i to samo. Dora miała trochę wątpliwości, czy karmić Zgniłą Tykwę, ale w karawanie nie karze się dwa razy za to samo przewinienie.

 Po śniadaniu Dora kazała zbierać karawanę. Gdy konaki były już objuczone i wszystko gotowe, Greb kazał czekać na patrol, gdyż sędzia kazał żołnierzom upewnić się, czy wszystko wykonano tak, jak zapowiedziano. Niewolnice dalej szyły, a Miriam zaprowadziła Dorę na piętro, wzięła nożyczki i grzebień i zrobiła jej prostą grzywkę do środka czoła. Dora spojrzała na siebie w lustro – i zaklaskała i zapiszczała z radości: teraz wyglądała dziesięć lat młodziej, prawie jak dziewczynka, i naprawdę atrakcyjnie. Stoczyła się po schodach w dół, chwyciła za rękę Norik i pociągnęła na górę. Miriam zrobiła Norik taką samą grzywkę, uczesała ją i wyrównała obcięte byle jak przez bandytów włosy. Teraz Norik wyglądała nie gorzej niż niewolnica pościeli. Na dole powitano je z zachwytem. Ale do Sin-Sin kolejka nie doszła. Przyjechał patrol i karawana ruszyła w drogę. Na pierwszego konia Dora posadziła Norik: niech ta przywyka do odpowiedzialności. Dora nie czuła już takiego zachwytu jak wczoraj: to był ostatni przejazd jej karawany. Drugi i ostatni… Nowe szły obok karawany na równi ze starszymi, tylko Zgniłej Tykwie Dora lekko spętała nogi. W chodzeniu to prawie nie przeszkadzało, ale nie pozwalało szybko biegać. Ta idiotka mogła przecież spróbować uciec. Miriam też jechała z karawaną, z lewej strony i nieco z tyłu za Dorą. Przy jej boku wisiał duży miecz. Z tyłu jechało trzech żołnierzy, którzy dokładnie oceniali wdzięki i nie­dostatki dziewczyn. Dziś, z grzywką, Dora dociągała u nich już do dziewięciu i pół złotej, a Miriam do jedenastu. Po ustaleniu ostatecznej ceny obie dziewczyny wymieniły spojrzenia i roześmiały się.

 Przed każdym skrzyżowaniem Norik oglądała się, a dawała jej umowny znak, w którym kierunku skręcać. Gdy ujrzeli wrota domu, który wynajmował Telim, Dora szepnęła żołnierzom kilka słów. Ci pojechali naprzód i załomotali do bramy.

 – W imieniu prawa, otwórzcie! – zawołał gromkim głosem dowódca patrolu.

 Na ulicy zaczął zbierać się tłum. Przerażony właściciel domu otworzył bramę, ubierając w biegu płaszcz wypadł Telim – a karawana już wjeżdżała na podwórze, kobiety przywiązy­wały konie, zdejmowały juki i siodła. Na Telima żadna z niewolnic nie zwracała uwagi, wszystkie zachowywały się tak, jakby rozstały się z nim dziesięć minut temu. Dora wjechała ostatnia, rzuciła cugle jednej z niewolnic, drugiej rozkazała zamknąć bramę i nie śpiesząc się podeszła do Telima i złożyła raport:

 – Mam złe nowiny, keptenie. Matka i Łasica zabite, Ola też zginęła. Dziewczynom obcięto języki, konaków zostało tylko piętnaście: dwa pod wierzch, pozostałe juczne. Towaru, jak sam widzisz, tyle, co kot napłakał. Na miejsce zabitych wzięłam trzy nowe: dwie dobre, trzecia ni to, ni owo. Na nową matkę wyznaczyłam Norik. Przez jakiś czas pilnuj jej, żeby komenderowała innymi, a nie robiła wszystko sama. – Z udawanym zmęczeniem usiadła na ławie na ganku i z ukrytą złośliwą satysfakcją obserwowała, jak zmienia się twarz Telima. Była to pora jej zemsty. Wbiła już nóż, a teraz zamierzała go kilka razy obrócić w ranie.

 Telim wreszcie zrozumiał, co się stało, wydał dziki krzyk radości, chwycił przechodzącą akurat koło niego Wydrę, przycisnął ją do siebie i okręcił. Wydra też dziko krzyknęła, ale z bólu. Zmieszany Telim opuścił ją na ziemię i patrzył, jak na jej kamizelce szybko rosną dwie krwawe plamy, jak strumyki krwi spływają po jej brzuchu. Wydra zrzuciła spódniczkę, by nie zapaprać nowej rzeczy, zdjęła kamizelkę i pobiegła do beczki z wodą zmywać świeżą krew.

 – Niewolnicom karawany nie wstawia się pierścieni w piersi. Kto to zrobił?! – rozzłościł się Telim. Dora wyjaśniła.

 – Ci, co ograbili karawanę. Sześciu ukarałam, resztą zajmij się sam, jeśli chcesz.

 – Keptenie, proszę na parę słów. – zwrócił się do Telima dowódca patrolu. – Pan potwierdza, że te niewolnice i konaki są pańskie?

 – Ten siwo-jabłkowity – Telim wskazał konaka Miriam – nie mój, pozostałe moje. Smagłe niewolnice moje, a te białe jak larwy much widzę pierwszy raz w życiu.

 – Potwierdza pan, że zna wolną kobietę Dorę?

 – Od siedmiu lat.

 – Czy to prawda, że sprzedał ją pan za dwadzieścia pięć złotych monet?

 – Byłem głupi, oto, co wam powiem. Ona jest bezcenna.

 Dowódca patrolu zasalutował Telimowi.

 – Nie mamy do pana więcej pytań. Życzymy lekkiej drogi – Patrol ruszył do wyjścia.

 – Stójcie, chłopcy, musicie mi coś wyjaśnić. I w ustach mi zaschło. Wam też? – Żołnierze zawrócili i wraz z Telimem zniknęli w drzwiach. Miriam uśmiechnęła się ponuro do Dory:

 – Włóż to do ucha, a usłyszysz, o czym oni mówią. – Włożyła w dłoń Dory różowy groszek na nitce. – A ja zajmę się Wydrą. Ten niedźwiedź zepsuł całą moją robotę.

 Dora szybko wsunęła groszek do ucha. Ale Telim zaraz wyszedł za drzwi i ryknął:

 – Norik, do mnie!

 Dziewczyna znikła za drzwiami, zaraz wyskoczyła, porwała trzy inne i po chwili przed Dorą stał stolik z dwoma nakryciami, a na nim wino, ser, zimne mięso, jarzyny, placki. Najlepsze, na co było teraz stać Telima. Trzy dni temu dla Dory byłby to królewski obiad, a dziś… Ale to przecież z czystego serca. Dora wbiła zęby w placek, przysłuchując się głosom w uchu. Żołnierze opisywali jej wczorajszy czyny, bezczelnie fantazjując i przypisując jej słowa i czyny Greba. W ich wersji to ona sypała złotem na prawo i lewo, w dodatku nie można było nie wierzyć w ich słowa, gdyż na dowód wszyscy trzej zademonstrowali wyjęte z sakiewek złote monety Greba. Według ich słów to ona miała wymusić przyznanie się sprzedawcy niewolnic, a potem osobiście odciąć mu głowę. Gdy opowieść doszła do ukara­nia grabicieli, Dora wyrwała groszek z ucha i tępo wpatrzyła się w stół. W wersji opowia­dających wyglądała na krwiożerczego potwora. Poza tym mężczyźni nie mogli prosić o zmiłowanie, gdyż spali, wyprawieni w zero przez Greba. Dora nalała sobie pełny kufel wina, wypiła jednym tchem, a ledwie odstawiła pusty, zobaczyła patrol, salutujący jej. Podniosła zaciśniętą w pięść rękę, jak pozdrawiają się keptenowie karawan. Żołnierze roześmiali się i lekko się zataczając skierowali się do bramy. Od mocnego wina Dorze załzawiły się oczy, więc je zmrużyła. Gdy z powrotem je otworzyła, naprzeciw niej siedział Telim.

 – Zwróciłaś mi karawanę. Żołnierze powiedzieli, że mogłaś wziąć ją sobie, ale nie zechciałaś. A twojemu mężczyźnie było wszystko jedno.

 – Nie wierz im – wypaliła Dora. – Oni ci nakłamali.

 – Wiem, kiedy kłamali. Kepten, który nie potrafi odróżnić prawdy od łgarstwa, jest bardzo kiepskim keptenem. Dora… Jesteś teraz wolną kobietą. Wracaj do karawany. Pojedziemy z nią do Setu. Set ci się zawsze podobał.

 – Zdradziłeś mnie! Zdradziłeś i sprzedałeś!

 – Zwrócę te pieniądze. Jesteś mi potrzebna.

 – Ile zwrócisz? Dwadzieścia pięć złotych monet? Jestem warta dziesięć razy więcej!

 – Nie mam teraz tyle. Ale napiszę pokwitowanie i za rok zbiorę.

 – Telim, ty nie zrozumiałeś. Oni nie kupili mnie tak sobie. Potrzebny im przewodnik. Bardzo potrzebny. Czy mogę ich porzucić? Pan dał mi obrożę już na drugi dzień. Uratował twoją karawanę. Kim będę, jeśli ich opuszczę? Pierwszy mi pluniesz w twarz.

 – Sprzedam karawanę i pójdę z wami.

 – Sprzedasz dziewczyny? – Rozzłościła się Dora. – Z pierścieniami w piersiach?! Przecież wyślą je do baraków! Sprzedałeś mnie, sprzedasz i je. A wiesz, ile kosztowało ich uratowanie? Ile mój gospodarz zapłacił sędziemu? Przynieś pióro i atrament. – Telim przyniósł. Gdy wrócił, zaczęła mu dyktować: – Ja, kepten Telim, otrzymałem w czasowe użytkowanie od wolnej kobiety, karawaniarki Dory, pięć niewolnic karawany – wylicz imiona – wartości po sześć złotych każda. Zobowiązuję się oddać je na jej życzenie. Data, podpis.

 – Po co ci to? – zapytał Telim, wręczając jej pokwitowanie.

 – Żebyś ich nie sprzedał, tak jak mnie.

 Widocznie wino było za mocne, gdyż Dora się rozpłakała. Nalała sobie drugi kufelek, wypiła. Telima za stołem już nie było. Podniosła różowy groszek, włożyła do ucha, żeby na pewno nie zgubić, wstała tak gwałtownie, aż przewróciła krzesło, z trudem się pozbierała, zacisnęła pięści i ruszyła w kierunku Miriam, która trzymała swojego konaka za uzdę i coś tłumaczyła niewolnicom. W uchu szumiały pijackie głosy strażników. Dora podała Miriam pokwitowanie Telima, Miriam przeczytała je głośno. Niewolnice, wierne przyjaciółki, otoczyły ją. Ze wzruszeniem pożegnała się ze wszystkimi po kolei.

 – Obejrzyj się – szepnęła Miriam.

 Dora odwróciła się. Telim podprowadził do niej konaka – jej konaka – włożył jej do ręki cugiel, chwilę postał w milczeniu, unikając jej wzroku, po czym nagle chwycił ją, grubiań­sko obrócił przodem do siebie i wpił się w jej wargi gorącym, pożądliwym pocałunkiem. „A niech cię to jeszcze bardziej zaboli” – pomyślała i odpowiedziała nie mniej namiętnie, tak, jak nauczył ją Kris. Gdy zakręciło się jej w głowie, odepchnęła go, wskoczyła w siodło i wyjechała z podwórza wraz z Miriam, ani razu się nie oglądając.

 – Udało się. Udała mi się zemsta. Nigdy mnie nie zapomnisz – szeptały jej wargi.

 Gdy brama się za nimi zamknęła, Miriam zapytała:

 – Dlaczego nie uwolniłaś dziewczyn od pierścieni?

 – Nie ośmieliłam się. Wstawili je mężczyźni. – Dorę poraziła taka prosta myśl. Zawahała się na sekundę i odwróciła konia w przeciwnym kierunku, ale Miriam ją powstrzymała

 – Zaczekaj, nie kręć się. To się robi inaczej.

 Wyrwała z zeszytu czystą kartkę i zaczęła pisać na niej koślawymi drukowanymi literami:

 „Telim. Niewolnice karawany nie noszą pierścieni. Zaprowadź je do kowala, niech wyj­mie. A one dla ciebie zrobią wszystko. Dora”.

 – Ty byś tak napisała? – zapytała po głośnym odczytaniu.

 Dora skinęła twierdząco głową, zdumiewając się, jaka Miriam jest mądra. Miriam tymczasem zatrzymała przebiegającego chłopca.

 – Chcesz zarobić? Znasz karawaniarza Telima?

 – Któż go nie zna? Cała ulica zapachniała dzisiaj karawaną.

 – Zanieś mu ten list, a moneta jest dla ciebie – Podała mu miedziaka.

 – Dziękuję, cioteczko! –Chłopiec pobiegł ulicą i zaczął stukać do bramy i krzyczeć, że potrzebny mu jest sam Telim. Miriam odciągnęła Dorę za róg, a sama ostrożnie wyglądała.

 – Telim wyszedł – komentowała to, co zobaczyła. – Czyta. Odszedł.

 Dziewczyny poczekały jeszcze z godzinę, ale Telim nie zaprowadził dziewczyn do kowala.

 – Może ma przecinak? – Zastanawiała się Miriam. – Nie, na pewno nie. Ja bym usłyszała.

**BUNT**

 – Jaką bronią władasz?

 – Gospodarzu, jeśli niewolnica dotknie broni, mogą jej odrąbać rękę.

 – Czekam na odpowiedź.

 – Trochę łukiem. Kuszą, jak wszyscy. I mogę rzucić nóż, ale maksymalnie na pięć metrów.

 – A jak z mieczem?

 – Jak myszka

 – Jak to?

 – Umiem szybko uciekać.

 – Miri, poducz trochę Dorę.

 – W trzy dni? – zapytała z niedowierzeniem Miriam.

 – I po drodze. Jak znajdziesz czas, podszkol ją w czytaniu, bo w arytmetyce nie zdążysz.

 – Panie, ja umiem obliczać pieniądze.

 – Czyżby? Ile kosztuje sześć bel po trzy i pół złotej i dwanaście po trzy?

 – Pięćdziesiąt siedem. To łatwe pytanie, gospodarzu. Trudniej obliczyć wzrost wartości oprocentowanej pożyczki.

 – O-o! – Greb nie ukrywał swojego zdziwienia.

 Miriam zaczęła od opowiadania o stali, o kruchości, twardości, sprężystości metali, o ich hartowaniu, kuciu, nieprężeniach wewnętrznych tuż pod powierzchnią, o sposobach ostrze­nia. W jakich przypadkach lepiej używać krótkiego i szerokiego miecza, w jakich długiego i wąskiego, a w jakich dwuręcznego. Wyjaśniła jak trzeba trzymać miecz, jakie ciosy są rąbiące, tnące, kłujące, po co na ostrzu robi się rowki, po co obraca się miecz w ranie. W jakie miejsca uderzać, żeby od razu zabić, w jakie żeby śmiertelnie ranić, a w jakie żeby ranić nie śmiertelnie, ale tak, by przeciwnik nie mógł dalej walczyć. Było to bardzo skomplikowane, ale porywająco ciekawe. A potem zaczęła się część praktyczna. Miecz nie słuchał Dory, był bardzo nieruchawy. Ani razu nie zdążył na czas, żeby odbić atak Miriam. Dwa razy omal nie zranił samej Dory. Na szczęście Miriam niewiarygodnie szybkim ruchem oba razy zatrzy­mała tego krwiożerczego potwora. Pot zalewał oczy. W końcu Dora nie wytrzymała i popro­siła o litość.

 – Jak na pierwszy raz trzymasz się bardzo dobrze – oceniła Miriam. – Określiłam twą wytrzymałość. Powiem ci w sekrecie, iż wielu mężczyzn nie wytrzymałoby połowy twego czasu.

 Na podwórze wszedł Greb z mieczem w ręce. Zaczęła się walka między nim a Miriam. Dora pomyślała, że takiej sztuki nie nauczy się nigdy w życiu. Przeciwnicy rzucali się na siebie, wymieniali niezwykle szybkie ciosy i znowu odskakiwali od siebie, zastygając jak kamienne posągi. Nikt ze znajomych Dory tak nie walczył. Szybko stało się jasne, że Greb nie ma z Miriam szans. Dziewczyna prawie nie atakowała, tylko się broniła, ale, jeśli już atakowała, w połowie przypadków jej miecz dotykał ciała wojownika, oczywiście nie ostrzem, tylko płaską stroną. A Greb ani razu nie przebił jej obrony.

 – Ależ ty walczysz! Ciebie chyba nikt nie może pokonać! – Zachwyciła się Dora.

 – Mogą, jeszcze jak mogą. Artiom, syn smoka, rozłożył mnie jak żółwia. Zresztą naprawdę nie mam czym się chwalić. Dora, pytałaś mnie wtedy, czy jestem człowiekiem. Nie jestem w pełni człowiekiem, rozumiesz? Stąd i moja wytrzymałość, i dobra reakcja. I nie muszę spać.

 – Jak to: niezupełnie człowiek? Czarny Ptak po ciebie przylatywał czy co?

 – Nie, nie w tym rzecz. Nie jestem zombie i nie umierałam. Jakby ci to wyjaśnić?... Nie urodziła mnie matka, tylko stworzył smok. Potrzebny mu był ktoś w rodzaju niewolnicy. Bardzo się starał, gdy mnie tworzył. A kiedy zobaczył, co z tego wyszło… no, że żyję i my­ślę jak człowiek, obdarzył mnie wolnością.

 – Czy ten twój smok jest dobry?

 – Jest humanitarny, ale często trudno go zrozumieć. Stara się żyć jak pustelnik i nie mie­szać się do ludzkich spraw. Tylko, kiedy gdzieś robi się zupełnie źle, przychodzi i wszystko naprawia. Jest prawie jak Bóg, a czy można zrozumieć Boga?

 – Miri, nie zrozumiałam. Czym ty się właściwie różnisz od nas? Nie masz pępka?

 – Pępek mam. Dekoracyjny szczegół, niby dla piękna. Ale nie mam i nigdy nie będę miała dzieci. Nigdy, rozumiesz?

 – Biedactwo. Kup niewolnicę, ona za ciebie urodzi z Grebem. Tak robi wielu.

 – Można prościej. Sztuczne zapłodnienie, dziecko z probówki. Tanio a dobrze. I nie trzeba kupować niewolnicy.

 Dora zrozumiała tylko końcówkę wypowiedzi. Zagryzła wargi, w myślach żegnając się z karawaną. Dla Miriam była gotowa na wszystko. Dla Krisa – także. Ale Greb… Jak spojrzy w oczy… Nawet sędzia bał się mu zaprzeczyć.

 – Jestem gotowa. Tylko rozkaż, pani, a prześpię się z Grebem.

 – Dziękuję ci, kochana Doro, ale źle mnie zrozumiałaś. Przecież to będzie twoje dziecko, a ja chcę mieć swoje. I jeszcze jedno ci powiem. Nie rób planów co do Krisa. My za kilka miesięcy odejdziemy, a ty zostaniesz. Damy ci obrożę, kupimy konaki dla karawany, jeśli zechcesz, ale nie zawracaj głowy Krisowi. Zresztą on ma żonę.

 – Tavi? Ale gospodarz mówił, że ona umarła.

 – Wszystko na świecie jest względne. Umarła, nie umarła… Życie Tavi ma być wynagrodzeniem dla Krisa za udział w tej ekspedycji.

 Znowu runęło na nią niebo. Znowu serce załomotało jak u przerażonego zająca. Tylko wargi nie zawiodły, nie zadrżały.

 – A niechby nawet! Co, czy ja nie widziałam żywych trupów? I nawet obroża nie jest mi potrzebna! Niech ona będzie żoną, a ja będę nałożnicą!

 – Dora, głuptasko, u nas to nieprzyjęte.

 – Karawano umarłych! – Zachlipała Dora, wciskając się w lukę między pustymi beczkami w piwnicy. Można było się nawet nie chować w piwnicy, gdyż poprosiła Greba o wolne do wieczora, ale tu na pewno jej nie znajdą, a musiała wszystko dokładnie przemyśleć w spokoju. Ponownie chlipnęła i wytarła nos. – Co ja mam zrobić? Biały Ptaku, poradź mi!

 W tym domu wszystko nie tak, wszystko nieprawdziwe, straszne. Zbroje nieprawdziwe, Miri nieprawdziwa, wszystko, co oni robią, nieprawdziwe. Nawet obrożę dali jej nieprawdziwą. Niby w obroży, a niewolnica. I placki ryżowe nieprawdziwe, gdyż nie da się zamiesić kwaśnego ciasta w minutę. I cóż to za mężczyźni, jeśli tacy bogaci, a nie mogą pozwolić sobie na dwie żony? No, pomogli, uratowali dziewczyny, zwrócili konaki i towary. Ale znowu tego nie zrobili jak ludzie. Wydali tyle złotych, że taniej byłoby po prostu wszystko wykupić. Albo obrzucić sennymi kulkami i wywieźć niewolnice, konaki i towary na oczach wszystkich. Bandyci nie ośmieliliby się nic zrobić, gdyż na każdym konaku i każdej beli widnieje znak Telima. Nie, im zachciało się wszystko robić zgodnie z prawem.

 I wszystko im się udało. A dlaczego miałoby się nie udać – przecież mają kieszenie nabite złotem! Jasne, że sędzia ich posłuchał: od razu zrozumiał, z kim ma do czynienia. Bogaci kłócą się, wymyślają sobie, ale przeciw biednym stoją razem. A biedny do sędziego by nie poszedł, nie żądałby prawa i sprawiedliwości.

 „O czym ja myślę, na karawanę zaurów?” – Znowu chlipnęła Dora. Trzeba postanowić, co robić. Może uciec? Telim pomoże, schowa, wyprowadzi z karawaną. Dziewczynki nie zdradzą, najwyżej Przejrzała Tykwa. Ale przecież nic złego tu jej nie zrobiono. Nie ludzie, ale ani razu jej nie uderzyli, nie powiedzieli nawet złego słowa. Biały Ptaku, podpowiedz, co robić?

 Biały Ptak jej nie zostawił. Wszystko stało się nagle krystalicznie jasne – i tak straszne, aż jej ręce zrobiły się jak z waty. Przecież stary kepten mówił jej: pomyśl, dla kogo to wy­godne, a zrozumiesz, kto to zrobił. Gospodarze niczego przed nią nie ukrywali. Powiedzieli, że szukają pewnego człowieka. Komu on może być potrzebny? Dziecko zrozumie, że, jeśli Kris ma otrzymać za niego życie umarłej żony (a to potrafi tylko Czarny Ptak), to ten czło­wiek musi być czarownikiem o niezwykłej mocy, jeśli tenże Czarny Ptak go nie widzi. Na­łożył na siebie zaklęcie niewidzialności dla Czarnego Ptaka, więc ten wysłał ludzi, żeby mu nie uciekł. Dlatego gospodarze znają tyle czarodziejskich sztuczek, na przykład żeby czło­wiek bez języka przemówił, jeśli trzeba go przesłuchać, albo medaliony, które przenoszą głos przez przestrzeń i których nie wolno zdejmować.

 Dora wyjęła swój medalion, obmacała go, wstrząsnęła, podniosła do ucha. Nie wyglądał na medalion, raczej na zwykły amulet. Kris ma inny, droższy. To znak Czarnego Ptaka!

 Uciekła, a jakże! Nie uciekniesz przed Czarnym Ptakiem, który zna zawczasu wszystkie czyny ludzi. Więc co ją czeka? Musi się wydostać z tego domu, wydostać się gdziekolwiek, nawet do baraków. Postarać się, żeby gospodarze ją sprzedali. Wtedy i Czarny Ptak ją opu­ści. Dla niego nie jest ważne, jak będą szukali owego człowieka, tylko sam rezultat poszukiwań.

 Trzasnął daszek łuku, zaskrzypiały schody.

 – Dora, jesteś tutaj? – Kris wpatrzył się w ciemność, ale od wejścia nic nie widział.

 – Gospodarzu, Greb mnie zwolnił do wieczora. I nic złego nie zrobiłam.

 Z ręki Krisa nagle wytrysnął jasny strumień światła. Dora zmrużyła oczy i jeszcze mocniej przycisnęła się do zimnych beczek.

 – Co ty tu robisz? Kto ciebie obraził?

 – Sprzedaj mnie, gospodarzu. Gdziekolwiek, nawet do baraków, ale sprzedaj.

 Kris chciał położyć jej rękę na ramieniu, ale dziewczyna uchyliła się.

 – Dora, co się stało?

 – Wszystko, co dobre w moim życiu, zostało już w przeszłości. Nic więcej nie będzie. Nie patrz tak na mnie, jestem tylko niewolnicą, ale wszystko rozumiem. Czarny Ptak specjalnie spełnił moje marzenie, żebym o niczym więcej nie marzyła, tylko mu służyła.

 – Co ma tu do rzeczy Czarny Ptak?

 – Nie udawaj, że nie wiesz. Od dziesięciu lat marzyłam o swojej karawanie – no i Czarny Ptak uczynił mnie keptenem. Przez godzinę, ale byłam prawdziwym keptenem, miałam swoją karawanę, słuchali mnie nawet strażnicy. Na nic więcej nie mogę już w życiu liczyć.

 – Będziesz miała swoją karawanę.

 – Nie zrozumiałeś, gospodarzu. Już nie będzie radości. Wszystko, czego tylko dotknie skrzydło Czarnego Ptaka, przestaje być radością, staje się brzemieniem.

 – Ale z ciebie fantastka. – Kris przycisnął Dorę do siebie. Dora nie sprzeciwiała się. Niewolnica nie powinna się sprzeciwiać. Niewolnica może ranić tylko słowem.

 – Gospodarz odejdzie, Dora nie będzie mu już potrzebna, więc ją zostawi. Tavi będzie grzała gospodarzowi pościel.

 Trafiła! Trafiła w najbardziej bolące miejsce. Napiął się cały, mięśnie stwardniały jak kamień. Trzeba jeszcze raz ukłuć, żeby ją znienawidził, może wtedy sprzeda.

 – Gospodarz chciał się przespać z Dorą, zaczął jej szukać po całym domu. Gdzie Dora może się schować, pobyć w samotności, jeśli nosi na szyi znak Czarnego Ptaka?

 Znowu trafiła! I to jak trafiła! Aż jej samej żal się zrobiło Krisa. I zgadła, co do znaku. O Boże, czyżby naprawdę znalazł ją po znaku? A po czymże by innym? Przecież, kiedy zszedł, od razu zwrócił się w jej stronę. Nie widział jej, za mało było światła, ale patrzył na nią.

 – Idź do swojego pokoju, nikt ci tam nie będzie przeszkadzał. Po co masz marznąć w piwnicy? – Podniósł ją, skierował ku schodom. I ręce miał znowu delikatne, tylko jakby się z nią żegnały. Co to będzie?...

 – Na razie nie ma ani jego śladu, ani słuchów o nim. Kris, co u ciebie?

 – Jesteśmy praktycznie gotowi do wyprawy.

 – Miri, a co z twoją częścią?

 – Gorzej być nie może. Adaptację do epoki trzeba było zaczynać w cichym, słabo zaludnionym miejscu. Twój pomysł doskonale spalił na panewce, kochany. Właściwie to tylko ty się zaadoptowałeś. Najgorzej to wyszło Krisowi.

 – Czemuż to? – Obraził się Kris.

 – Bo nie jesteś taki jak Greb. Spójrz na Dorę, a od razu zrozumiesz cenę swojej adaptacji. Teraz o Dorze. To najsłabsze ogniwo naszej grupy. Po pierwsze, ona jest niezwykle mądra i utalentowana jak na tą epokę.

 – Miri, rozum nie zależy od epoki.

 – Ale trzeba go trenować. Powiem wam teraz coś bardzo prostego, z czego będziecie długo się śmiać. Dora jest bardzo mądra, ale to nie rzuca się w oczy, gdyż jest taka, jaka jest. Nieściśnięta w kleszczach przyzwoitości i bezsensownych obyczajów, a nieskrępowana i bezpo­średnia. To po pierwsze. Po drugie, przez wiele lat robiono z niej niewolnicę, aż zrobiono. Niewolnictwo weszło jej w kość i krew. Teraz warunki jej życia ostro się zmieniły: poczuła powiew wolności. **My** daliśmy jej poczuć ten powiew, ale pełnej wolności jej nie daliśmy. Komunikuję wam jako psycholog: niedługo ona podniesie bunt.

 – Dora? Bunt?

 – Tak. Najprawdziwszy niewolniczy bunt. Okrutny i bezsensowny.

 – Przeciw czemu?

 – A czy to ma jakieś znaczenie? Ona sama nie wie. Przeciw całemu światu. Widzę, że muszę wam coś wyjaśnić. Dora nie jest zwykłą niewolnicą, tylko niewolnicą karawany. To szczególna kasta, od której wymaga się bardzo sprzecznych cech: z jednej strony bezwarunkowego posłuszeństwa a z drugiej energiczności, samodzielności i przedsiębiorczości. I tak dalej. W rezultacie powstaje swoisty stereotyp zachowania. Świat dzieli się na dwie nie­równe części: karawana i cała reszta. Wewnątrz karawany jest niewolnicą, poza nią prak­tycznie wolną kobietą. Oczywiście każdy wolny człowiek ma prawo ukarać niewolnicę za zuchwałość, ale w jej obronie może stanąć cała karawana. Było nie było, a karawana to zwarty, zahartowany w wędrówkach kolektyw. Nie na próżno z karawany się nie ucieka.

 – Chcesz powiedzieć, że Dora wypadła ze swojej karawany – dosłownie i w przenośni? – zapytał Greb.

 – To my ją z niej wyrzuciliśmy. I jeszcze ta zabawa z obrożą, rozmowy o broni… Nau­kowo to się nazywa zburzeniem kompleksu wartości moralnych.

 – Co z tym zrobić? –zapytał z zakłopotaniem Kris.

 – I kto to pyta? – rozzłościł się Greb. – Mówiłem ci: niewolnica musi pozostać niewolnicą.

 – Ty jej nie znasz. Ona…

 – Więc zdecyduj się: ona czy Tavi?! – Greb uderzył pięścią w stół.

 – Zadecyduj, tak?! Odciąć prawą czy lewą rękę?!

 – Chłopcy, chłopcy! – Wmieszała się Miriam. – Miejscowi w takich chwilach kładą prawą rękę na rękojeści miecza. Dwója dla was obu za adaptację.

 – Dziękuję, Miri – Greb z szumem wypuścił powietrze i usiadł na swoim miejscu.

 Akurat w tym momencie drzwi się otworzyły i weszła Dora, zapłakana, ale bardzo stanow­cza. Objęła spojrzeniem czerwone ze złości twarze mężczyzn i zrozumiała, że wybrała naj­gorszą z możliwych chwil. A niech tam! Śmiało, karawaniarko! Karawany nie zawracają.

 – Kto cię tu wzywał? Wyjdź! – ryknął Greb. Ale Dora zrobiła krok naprzód, zdjęła z szyi i położyła na stole medalion, po nim obrożę. Rozpuściła pas, zrzuciła ubranie, pozostając tylko w krótkiej spódniczce, podobnej do tej, w której ją kupili.

 – Nie będę pomagała Czarnemu Ptakowi łapać ludzi. Róbcie ze mną, co chcecie. Niczego już się nie boję.

 – No i macie ten bunt, o którym mówiłam – powiedziała Miriam. – Jutro wychodzimy, a przewodnika nie ma. Co dalej?

 – Dalej?! Ja jej pokażę – bunt! – zaryczał Kris.

 Chwycił Dorę, przerzucił ją przez ramię, ze stołu porwał obrożę, z hałasem wywrócił krzesło. Jego szerokie plecy i zagubiona twarzyczka Dory mignęły w drzwiach, coś upadło i potoczyło się w korytarzu, Kris zaklął na cały głos, Dora z opóźnieniem zapiszczała.

 – Zwierzęta karawaną, on ją zabije! Greb, zrób coś!

 – Nie zwierzęta, tylko zaury. Trzeba mówić: „zaury karawaną”. Nie bój się. On wygrzmoci ją i będzie po buncie.

 Za ścianą zapiszczała Dora. Miriam przeanalizowała krzyk. Nie było w nim bólu, tylko strach. I za to dzięki.

**NOC**

 Dora obmacała pierś. Zrobiła się jakby nieco większa. I cała boli. Na ramio­nach szramy, na plecach siniaki. Kris nigdy nie był taki grubiański, całą ją połamał. Jak ści­śnie rączyskami, to aż zebra trzeszczą. Jak knur, który się urwał z łańcucha. O Boże, kto świnie trzyma na łańcuchu? Może i nie trzymają, ale Kris był właśnie taki.

 Pomacała obrożę na gardle. Spełniło się marzenie idiotki. I co z tego? Kris najpierw wło­żył, a potem pokazał, kto tu jest panem. O Boże, jeśli wszyscy mężczyźni tak postępują z żonami, to lepiej już być niewolnicą karawany.

 „O czym ja myślę?” – przerwała samej sobie. – „Szłam na śmierć, a dostałam obrożę. Powiedziałam mu Słowo. Teraz jestem ego żoną. Gdyby Kris mnie nie wyniósł, Greb na pewno by mnie zabił. Tylko czy wierzyć temu, co on opowiedział? To straszne, ale jak tu nie wie­rzyć mężowi? Zresztą on tak powiedział: «Jak nie wierzysz, bierz pięćdziesiąt złotych i wy­noś się do wszystkich diabłów. Taka żona nie jest mi potrzebna». Ale jeśli to prawda, to ka­rawana Telima trafi w sam środek piekła. Teraz pójdzie do Setu, skąd weźmie katarę, a stamtąd do Aachen, bo gdzie indziej można pójść z katarą z Setu? Karawana jest mała, pójdzie szybko. I akurat w Aachen będzie, kiedy zacznie się oblężenie. Karawano umarłych, co robić?”.

 Wieczorem w domu było małe święto. Kris powiedział, że to wieczornica i że jest potrzebna, żeby odpocząć i pozbyć się stresu.

 – Chłopy się przeciągną, a my cały wieczór przestoimy przy piecu – narzekała Miriam, ale Dora widziała, że narzeka tylko dla pozoru.

 Pojedli popili wina. Miriam powiedziała, że jeszcze nie trzeba sprzątać ze stołu, a Greb przyniósł dziwny instrument, który nazwał gitarą, i zaśpiewał, patrząc na Miriam:

 Tu drżenie łap świerków daleko się niesie,

 Tu ptaki szczebioczą trwożliwie,

 Żyjesz w wielkim, dzikim, czarodziejskim lesie,

 Wyjście z niego jest niemożliwe.

 Niech czeremcha schnie jak na wietrze bielizna,

 Niech ulewą bzy opadają,

 I tak cię stąd wezmę do mojej ojczyzny,

 Do zamku, gdzie fujarki grają.

 Ręce Krisa spoczęły z tyłu na ramionach Dory, wargi dotknęły karku – i od razu wyba­czyła mu grubiaństwo w pościeli. Ale od tego to, co trzeba było zrobić, stało się jeszcze wstrętniejsze.

 Twój świat na tysiące lat skryli magowie,

 Przede mną i wszystkimi innemi

 Wciąż się zaklętemu przyglądasz lasowi,

 Myśląc, że najpiękniejszy na Ziemi.

 Niech rosy nie będzie na liściach porannych,

 Niech księżyc z chmurami jest w sporze,

 I tak cię stąd wezmę, serca mego panno,

 Do zamku z widokiem na morze.

 – Przecież to pieśń o mnie, o moim dzieciństwie, o naszym forcie – szepnęła do ucha Krisowi.

 – Albo o moim – odszepnął Kris.

 W którym dniu tygodnia, o której godzinie

 Wyjdziesz do mnie z lasu ostrożnie,

 Na łódź mą cię wniosę i z tobą dopłynę,

 Gdzie znaleźć cię nie będzie można?

 Ukradnę, o ile to zgodne z twą duszą,

 Bo nie chcę sił tracić na darmo.

 Zgodzisz się choć na raj w szałasie, gdzieś w głuszy,

 Jeśli ktoś mój zamek zagarnął.[[1]](#footnote-2)

 Nie, surowy Greb nie śpiewał pieśni dla nich, tylko dla Miriam. Patrzył na nią i widział tylko ją. I Dora zrozumiała również, że jest w tym domu swoja, że to już jest jej dom, ale w tej chwili i w tym pokoju oboje z Krisem są zbędni. Kris też to zrozumiał, wziął ją za rękę i po cichu wyprowadził na ganek. Tam usiedli na schodach, pijąc wino z glinianych kufli, zakąszając plackami ryżowymi maczanymi w ostrym sosie dodot i patrząc na gwiazdy.

 – Pochyl głowę w tamtym kierunku. Widzisz tą gwiazdkę nad proporczykiem? To Słońce. Stamtąd przybyli twoi przodkowie.

 – Przodkowie przybyli z Ziemi.

 – Ziemia to planeta, krążąca wokół tej gwiazdki.

 Dorze nie było zimno, niewolnice karawanu są przyzwyczajone do chłodów, ale przytuliła się do ciepłego boku Krisa. To było takie przyjemne.

 – A ty skąd jesteś?

 – Na prawo od Słońca jest jasna gwiazdka, a obok, nieco wyżej, słaba. Tam się urodziłem. – Kris położył swoją czarną skórzaną kurtkę na ramionach Dory.

 – Taka niewyraźna.

 – Po prostu bardzo odległa. – Kris zaczął zbierać talerze, kufle i butelki, rozstawione po całym ganku.

 – Kris, boję się z tobą w pościel… Omal mnie nie zmiażdżyłeś – poskarżyła się Dora.

 – Nie bój się, zwierzaczku, nie powiem ci już złego słowa.

 – Coś jeszcze jutro powiesz… – wymamrotała Dora i ugryzła się w język, ale Kris wziął to za figurę czysto retoryczną.

 Kiedy Kris zasnął, Dora wyśliznęła się spod koca, wzięła swą odzież i jego kurtkę, ubrała się w korytarzu. Starając się iść bezdźwięcznie, przeszła do gabinetu Greba, wyjęła listę miast z datami, stylus, czysty arkusz papieru i zaczęła kopiować przy słabym świetle świecy. Znalazła mówiący przedmiot, który Norik przyciskała do gardła i schowała go do kieszeni. Spostrzegła się i na czystym arkuszu napisała krótką notatkę, położyła na nim me­dalion, po czym na palcach zeszła na podwórze, tam dopiero ubrała buty i pobiegła do stajni. Koń się ucieszył, wetknął jej pysk w dłonie. Dora pośpiesznie go osiodłała i poprowadziła za uzdę do bramy.

 Przy bramie stała Miriam. W rękach dziewczyny błyszczał w świetle księżyca miecz w pochwie. Dora padła na kolana.

 – Pani, ja wrócę, przysięgam na wszystkie świętości. Jeśli chcesz, zabij mnie, tylko jesz­cze nie teraz. Kiedy wrócę, opowiem wszystko. Przepuść mnie, proszę.

 – Mów ciszej – zasyczała na nią Miriam. – Mężczyźni śpią. Ależ ty jesteś… Nie uwie­rzyłaś ani Krisowi, ani mnie. Ech, ty karawaniarko! W nocy do miasta z samym nożykiem… Sprzykrzyła ci się obroża? Masz, weź. – Włożyła jej miecz do ręki.

 – Miri, nie gniewaj się na mnie. To konieczne.

 – Wytargałabym cię chętnie za uszy. Zdjęłaś medalion. Chcesz zgubić całą sprawę? Kris by ci tego nie wybaczył. Masz, włóż go natychmiast.

 – To nie mój.

 – Teraz twój. Jeśli zechcesz nam coś powiedzieć, naciśnij ten zakrętas i mów, rozumiesz?

 – Tak. Widziałam, jak Kris tak właśnie robił. Dziękuję ci, Miri. No to idę.

 – Do miasta bez pieniędzy? Masz tu sakiewkę. I drugą, w której są granaty z gazem usypiającym. Nie zmiażdż jej przypadkiem. A tu masz tabletki, żebyś sama nie zasnęła. Zażyj teraz jedną, potem możesz nie mieć na to czasu. Działa pół doby. Bierz codziennie po jed­nej, rano i wieczorem, wystarczy ci na dziesięć dni. Z mężczyznami postępuj tak, jakbyś sama była mężczyzną, nie proś, tylko rozkazuj. Z bronią radzisz sobie kiepsko, więc jak najwięcej klnij. Oni to lubią. I, na koniec, jesteś świnia, Dora. Krisowi nie powiedziałaś, ale mnie mogłaś.

 – Miri, ty jesteś… święta. A ja… Jeśli nie wrócę, to znaczy, że umarłam.

 – Zanim umrzesz, przypomnij sobie o medalionie i zakomunikuj mi. Idź, zanim ci nie nagadam czegoś paskudnego.

 Dora pędziła na koniu po pustych nocnych ulicach i modliła się do Białego Ptaka o usunięcie z jej drogi patroli. Galopować w mieście mieli prawo tylko kurierzy. Kopyta waliły głośno, co chwilami wracało do niej echem i wtedy się jej wydawało, że ktoś za nią goni.

 Jednak spotkała patrol. Nie zwalniając, uniosła rękę w powitaniu wojowników. Dowódca patrolu odpowiedział tym samym, widocznie nie rozpoznając w ciemności, że przed sobą ma kobietę. Wypuściła z szumem powietrze, pokręciła głową i podziękowała Białemu Ptakowi.

 Ulica Siodlarzy, znajoma brama. Nie schodząc z konaka, Dora zaczęła stukać w bramę rękojeścią miecza. Za bramą ciągle cisza, natomiast w sąsiednich domach załomotały okienice. To było niedobrze, gdyż za hałasowanie w porze nocnej groziła kara. Trzeba było albo uciekać, albo postraszyć wszystkich, póki nie posłali po patrol. Dora krzyknęła grubym gło­sem:

 – Gospodarzu, otwieraj! Nie poznajesz czy co? Byłam tu wczoraj z oddziałem patrolu. Potrzebny mi jest kepten Telim. Otworzysz, czy mam ci także obciąć jajka?

 Dora nawet nie przypuszczała, że na tej ulicy cieszy się aż takim autorytetem. Usłyszaw­szy ostatnią groźbę, gospodarz wyskoczył z domu w samej nocnej bieliźnie, a okna zaczęły zatrzaskiwać się jedno po drugim. Ale keptena Telima w domu nie było, w mieście też. Słusznie bojąc się zemsty, wyprawił już swoją karawanę do Setu. Dora gotowa była gryźć paznokcie.

 – Wybacz mi, Miri, wybacz, Kris – szeptała, galopując nocnymi ulicami, aż zobaczyła bramę miasta. „Jak ryzykować, to ryzykować” – pomyślała i wykrzyknęła jeszcze z daleka:

 – Pilny komunikat do keptena Telima!

 – Nie krzycz tak, bo obudzisz sierżanta – zrugał ją wartownik, ale bez złości – Popatrz no, Tum, przecież to baba.

 – Baba, baba, kopytem cię w brzucho – potwierdziła Dora. – Karawana dawno przeszła?

 Z budki wyszedł zaspany sierżant. Dora mu zasalutowała, on machinalnie odsalutował, ziewnął i – zamarł z otwartymi ustami. Dora zaczęła naciskać na strażnika, cały czas tańcząc przed nim na koniu:

 – Zasnąłeś czy co, wychowanku żmij? Pytam, czy dawno przejechała tędy karawana?

 – Ależ ja dyżuruję w nocy, kiedy brama jest zamknięta – odrzekł wartownik.

 – Jaka karawana? – Przyszedł do siebie sierżant.

 – Mała. Około dwudziestu koni, osiem niewolnic, ty błotna zarazo!

 – Kto kepten? – Sierżant wszedł do budki, zaszeleściły przewracane kartki dziennika.

 – Telim, zaury karawaną!

 – Był taki. Zaraz po obiedzie – odezwał się sierżant. Dora zaczęła kląć. Na nikogo, tak po prostu, przypominając sobie najstraszniejsze i najbrudniejsze słowa, uzbierane w ciągu dziesięciu lat koczowniczego życia. Wartownicy i sierżant słuchali z zainteresowaniem.

 – Pięknie śpiewasz, jeśli ktoś rozumie – ocenił sierżant. – Powtórz, co tam było o kolanie?

 – Ja ci powtórzę, a ty w drodze powrotnej podgrzejesz mnie ciepłym słowem – smutno odpowiedziała Dora. – No, co tak stoicie? Otwierajcie bramę.

 Wartownicy wytrzeszczyli na nią oczy.

 – Przecież pierwszy, kogo spotkasz, zdejmie z ciebie obrożę.

 – Zesra się. – Dora wysunęła do połowy miecz z pochwy i ze szczękiem wsunęła z powrotem. – Trzeba, chłopcy, trzeba. Wy na służbie, i ja na służbie.

 – A u kogoż to jesteś na służbie? – zapytał zaciekawiony sierżant.

 Dora posmutniała. Wyglądało na to, że wpadła, i to głęboko. Na co liczyła? Żeby bramę w nocy otworzono, z pewnością potrzebny jest papier. Co teraz zrobić, co powiedzieć?

 – Sierżancie, proszę mi wybaczyć i zapomnieć, co wypaplałam. Jestem sama, od nikogo…

 – Ro-o-ozumiem… – przeciągnął sierżant. – Tum, otwórz jej bramę.

 Dora nie mogła uwierzyć swojemu szczęściu. Nigdy nie zrozumie, jak u mężczyzn głowy pracują. Tum podniósł ciężką sztabę, otwierając małe drzwi w skrzydle bramy. Dora zeszła z konaka i wprowadziła go za uzdę w ciemny tunel między bramą wewnętrzną i zewnętrzną.

 – Jak mam cię wpisać do dziennika?

 – Kepten Dora z wiadomością do keptena Telima. A najlepiej nie zapisywać w ogóle.

 – W ogóle to się nie da. Służba. A wiadomość jest tajna?

 – Nie. Mieszkańcy stepu zamierzają go w Aachen wysłać w zero wraz z całą karawaną.

 – Zrobili się bezczelni, łajdaki. – Rozzłościł się sierżant i podłubał palcem w uchu.

 W zewnętrznej bramie furtki nie było, strażnicy uchylili lewe skrzydło. Dora wskoczyła w siodło, pomachała ręką na pożegnanie i puściła konaka szybkim kłusem. I tu ją złapało. Zadzwoniły jej zęby, dostała potężnych dreszczy. Przypomniała sobie o czarnych kulkach z sennym mchem i nie mogła powstrzymać histerycznego chichotu. Zdumiony konak spojrzał na nią z ukosa jednym okiem. Wciąż śmiejąc się nerwowo, zaczęła mu wyjaśniać:

 – Nie patrz tak na mnie, nie jestem wojownikiem, co trzy razy dziennie ryzykuje życie.

 Konak jej nie uwierzył i też zaczął się denerwować. Żeby wybić mu z głowy bezsensowne lęki, Dora pogoniła go galopem ze dwa kilometry, a potem puściła stępa. Pomyślała, że Biały Ptak na pewno rozpostarł nad nią skrzydła. Przecież człowiekowi nie może tak po pro­stu udawać się wszystko pod rząd, raz za razem, przez kilka dni. Nad tym należało pomyśleć, ale myśleć było strasznie i Dora zaczęła wspominać wieczornicę. Tą pieśń, którą śpiewał Greb: „Żyjesz w wielkim dzikim czarodziejskim lesie. Wyjście z niego jest niemoż­liwe…”. Jakież to było nieprawidłowe, że tą pieśń śpiewał Greb, i to dla Miriam. Przecież pieśń była o niej, każde słowo, każda litera, i powinien ją śpiewaćKris, a śpiewanie ją przez Greba naruszało harmonię. Żeby to naprawić, Dora sama zaśpiewała półgłosem – to, co pa­miętała. Tam, gdzie nie pamiętała, mruczała bez słów. „Ukradnę, jeżeli to zgodne z twą du­szą…” – ileż ciepła i ochronnej delikatności było w tych słowach! Jakaż szczęśliwa musi być dziewczyna tego wojownika o niemożliwym do wymówienia imieniu Włodzi-Mierz-Wysocki! Dora gotowa była przysiąc, że między nimi nie było Rytuału, że pierwszą noc z mężczyzną ona spędziła niezwiązana. A jeśli nawet związał jej ręce, to na jej prośbę, mięk­kim sznurkiem i bardzo luźno, dla pozoru. I ręce miał delikatne, jak Kris – tylko nie ten z dnia dzisiejszego!

 I któż to mówił, że w nocy na drodze jest strasznie? W nocy nikt nie jeździ i niegodziwcy na nikogo nie czekają. Zaury też w nocy śpią, lubią ciepło. A dzikie koty nie rzucają się na jeźdźców. Co innego wieczorem…

 Gdzieś niedaleko zahukała fiłna. Dora skurczyła się z zimna i mocniej wtuliła się w kurtkę Krisa. Dotychczas częściej przemieszczała się piechotą albo biegiem, trzymając się łęku siodła. Było to cieplejsze, niż siedzenie w siodle, i mniej nudne. Z braku innego zajęcia sprawdziła kieszenie kurtki. Kieszeni było dużo, ale wszystkie puste, tylko w jednej Dora znalazła jakiś niezrozumiały przedmiot. Długo oglądała go i obmacywała, aż nacisnęła guziczek i wyskoczyło ostrze. Przedmiot okazał się zmyślnie zrobionym nożem, ale oprócz zwy­kłego ostrza znalazły się w nim trzy inne, wygięte, niezrozumiałe. I nożyczki, zupełnie jak normalne, tylko malusieńkie. Dorę zastanowiło, co można ciąć takimi nożyczkami. Obcinać nici przy szyciu?

 Konak, znający trasy karawan nie gorzej od niej, powęszył i zarżał. Gdzieś z prawej inny konak zarżał w odpowiedzi. Dora zeskoczyła na ziemię i poprowadziła konaka po ledwie widocznej ścieżce i wkrótce trafiła na postój karawan. Udająca wartownika Sin-Sin spokoj­nie drzemała na stojąco, objąwszy rękami pień drzewa. Z faktu, iż niewolnice same pilno­wały karawany, Dora wywnioskowała, że sprawy Telima stoją zupełnie źle – jeśli nie zdążył albo nie zdołał znaleźć wartowników. Dora cicho podeszła i poklepała dziewczynę po ra­mieniu. Sin-Sin zadrżała i omal nie krzyknęła z przerażenia.

 – To ja, Dora. Obudź Telima. – rozkazała Dora, zatykając dziewczynie usta.

 Sin-Sin zapląsała z radości, pocałowała ją w policzek i pobiegła w krzaki. Po sekundzie wybiegł stamtąd Telim z mieczem w ręce.

 – Dzień dobry, Telim. To znowu ja, i znowu mam złe wieści – powitała go Dora.

 – …Spalą tyle miast… Ale Aachen ma przecież grube wysokie mury.

 – Tym razem nawet mury nie pomogą. Nie zgub spisu. Tam są miasta i daty, kiedy do nich podejdą stepowi. Żebyś nie trafił do pułapki, jak mysz. I nikomu nie pokazuj. To taka straszna tajemnica, że nawet nie znam słów, żeby ci to wyjaśnić.

 – Ale przecież nie można wiedzieć zawczasu, jak potoczy się wojna.

 – Oni wiedzą, Telim. Nawet nie zrozumiałeś, jakim siłom oni służą. Tu i Biały Ptak, i Czarny Ptak. Trzy razy dziennie widzę nad sobą cień Czarnego Ptaka. Niedługo pewnie przywyknę do życia w cieniu śmierci, ale na razie jest mi bardzo strasznie.

 – Kim właściwie są ci twoi gospodarze? Któremu Ptakowi służą?

 – To wszystko jest takie złożone, takie poplątane… Oni sami są bardzo dobrzy, lepsi się po prostu nie zdarzają. I myślą, że służą Białemu Ptakowi, ale w rzeczywistości – Czarnemu. A mnie Biały Ptak chroni, daje zrozumienie, odsuwa śmierć.

 – Skąd to wzięłaś, że służą Czarnemu Ptakowi?

 – Bo zakazano im czynić dobro. A mogliby tyle… Nasza karawana to był wyjątek. A i do tego musiałam ich długo przekonywać.

 – Aachen spalą, Set zburzą… Takie piękne miasto, błękitne morze, statki z białymi ża­glami.

 – W Aachen będzie straszna rzeź. A wszystkim, którzy ocaleją, obetną palce. Mężczyznom kciuki, a kobietom i dzieciom – małe. Tymi palcami napełnią trzy ogromne kotły. A zalew Seta wypełnią wzdęte trupy. Ale to za rok. A Aachen – zupełnie niedługo. Po nim Bahan. I tak pójdzie” jedno miasto po drugim.

 – Czyżby nic nie można było zrobić? Przecież cały świat się zawali. Komu to potrzebne: spalić miasta? Po co ludzie mają ginąć? Po co stepowym miasta? Wyjaśnij mi to.

 – Telim, nie pytaj. Wiem, co będzie, ale nie wiem, dlaczego. U stepowych objawił się wódz, zupełnie jak żywy bóg. I miasta mu w czymś zawadzają.

 – A co później, Dora?

 – Wszystko wróci na swoje kręgi. Minie dwadzieścia lat i miasta zostaną odbudowane. Nie myśl o tym… Telim! Jak mogłam zapomnieć! Dlaczego nie wyjąłeś dziewczynom pier­ścieni?

 – Nie uwierzysz, ale one same nie chciały.

 – Nie uwierzę.

 – Norik! Chodź tutaj! – Dziewczyna podbiegła. – Dora nie wierzy, że nie chciałyście wyjmować pierścieni.

 Norik pokręciła głową i zamachała rękami, próbując coś wyjaśnić. Dora wzięła ją za rękę zaprowadziła daleko w las i wyjęła z kieszeni mówniczkę. Norik przycisnęła ją do garda.

 – Nie gniewaj się na Telima. Przeczytał nam głośno twój list. Postanowiłyśmy jednak, że wyjmiemy pierścienie dopiero wtedy, gdy w dziurkach skóra narośnie. Jeśli trafimy do baraków, znowu będą nam wsadzać pierścienie, a nie trzeba będzie nam ponownie przewiercać piersi. Nieźle to wymyśliłyśmy, nieprawdaż?

 – Norik, ja was nigdy nie oddam do baraków.

 – Jeśli na nas znowu napadną, nikt ciebie nie będzie pytał. Karawana jest malutka.

 Dora pomyślała o przyszłym ataku stepowych i ugryzła się w język.

 Mówniczkę musiała odebrać prawie siłą. Norik padła na kolana, całowała ręce, błagała o zostawienie cylinderka dziewczynom. Dora sama zapłakała, ale musiała być twarda.

 – Co ci się stało? – Zdziwił się Telim, kiedy obie wróciły.

 – Czarny Ptak. Nie pozwala mi czynić dobra. Jestem przeklęta, jak moi gospodarze.

 – Coś ty, moja czarująca. Przecież już po raz drugi ratujesz moją karawanę.

 – Nie mogę dziewczynom zwrócić głosu. To znaczy: mogłabym, ale nie mam prawa.

 – Zwrócić głos? – Zdumiał się Telim i spojrzał na Norik, która skinęła głową. – Zrobiłaś się potężna, Doro. Już się nie dziwię, że ci w nocy otwarto bramę miasta.

 – Telim, karawana jest zupełnie bez ochrony. Rozdaj dziewczynom broń. Mieczy nie ma, więc przynajmniej łuki. Łuki nawet lepsze. Dziewczyny z mieczem żaden mężczyzna się nie przestraszy, a strzałę z łuku potrafi wypuścić nawet dziecko.

 – Niewolnicom broń?

 – Nie rozumiesz, że to nie tylko twoja, ale i ich karawana? Gdy na nas napadli, matka dwóch wyprawiła w zero, ja też dwóch wykończyłam. Gdyby każda miała nóż, wybiłybyśmy połowę łajdaków. A pamiętasz, jak jeszcze stary kepten, kiedy na nas czekała zasadzka, pozwolił nam wziąć łuki i wszystko skończyło się pokojowo, bez żadnej strzelaniny?

 – Przecież to ty poddałaś mu ten pomysł z łukami – przypomniał jej. Uśmiechnęła się.

 – Aha Myślałam, że włoży na mnie obrożę. A on umarł trzy dni później.

 – I dostałaś się mnie. Wiesz, dlaczego nie uczyniłem cię matką? Właśnie z powodu tych łuków. – Telim zamyślił się głęboko. – Dam twoim niewolnicom broń. Niech poznają, co to znaczy odpowiedzialność za karawanę. Teraz one są jakby między niebem a ziemia. W mo­jej karawanie, ale nie moje. Sprzedać ich nie mogę, a bicza się nie boją.

 – Boimy się, Telim. Każda niewolnica boi się bicza, ale tylko głupia to okazuje.

 Jeszcze przez jakiś czas rozmawiali o sprawach karawany. Dora zasypiała na siedząco. A potem nagle odkryła, że leży na podściółce, nakryta kocem, a Norik, uśmiechając się przez sen, sapie jej w pachę. Zupełnie jak wcześniej.

**PRZEWODNIK**

 – Więc dzisiaj wychodzimy, a co tu mamy? Nie ma przewodnika, a cała planeta niedługo będzie mówiła tylko o nas. – Greb uderzył dłonią w stół.

 – Nie o nas, tylko o stepowych – zaprzeczył Kris. – A przewodnik niedługo będzie.

 – Wierzysz w to? – Greb szturchnął palcem arkusz papieru, na którym koślawymi literami było napisane „Wrócę”.

 – Tak, wierzę.

 – Poczekajcie – Wmieszała się Miriam. – O co się kłócicie? Ona ma medalion.

 – Oto jej medalion!

 – Dałam jej inny, w pełni funkcjonalny. Medalion, miecz, granaty, pieniądze.

 – Trzeba znaleźć peleng.

 – Znalazłam. Droga na Set. Pięćdziesiąt sześć i pół kilometra od nas. Sądząc po pulsie, dwie godziny temu spała. W tej chwili pracuje.

 – Każ jej natychmiast wracać albo posłużę się likwidatorem medalionu.

 – Greb, nie zrobisz tego! – krzyknął z oburzeniemKris. – To zabójstwo!

 – A ty nie domyślasz się, po co ona uciekła? Uprzedzić swoich! Ileś ty jej naopowiadał, co? Niedługo o najeździe będą wiedziały wszystkie karawany.

 – Greb, jesteś pewny, że tego nie ma już w tkance historii? – Znów wmieszała się Miriam. – Przecież miasta wiedziały o napastnikach i były przygotowane do obrony.

 – Nie jestem niczego pewny,wiem tylko, iż nasz wpływ ma być minimalny. Każ jej wró­cić.

 – Po co? Przecież jedziemy w tym samym kierunku. Zabierzemy ją po drodze.

 – Bajzel! Gdy tylko pojawia się kobieta, wszystko leci w diabły! Burdel!

 – Powiedz prościej: nie burdel, a dom głupich bab[[2]](#footnote-3). Zgadza się? – Uśmiechnęła się Mi­riam.

 – Śmiej się, śmiej! Ciekawe, co zrobisz, jeśli ona przerwie łańcuch przyczynowości?

 – Jeśli przerwie, skorygujemy.

 – Miri, nie udawaj głupiej. Nie mamy punktu odniesienia. Kroniki ataku są stracone. W historii Sekondu to czarna dziura. A za pięćset lat na korektę będzie za późno.

 – Kronikami ja się zajmę. Wszystko, co ocaleje, musi trafić do archiwum informatorium.

 Dora wstała razem ze słońcem i pomogła w przygotowaniu karawany. Po lekkim śniadaniu Telim rozpakował jeden z juków, wyjął trzy kindżały, cztery łuki i trzy pałasze i rozdał dziewczynom. Szczenięcemu zachwytowi i radosnym piskom nie było końca, ale Dora gry­zła wargi. Niewolnice z bronią wyglądały strasznie i nienaturalnie. Widząc, jak nowicjuszki, skuliły się na boku ze strachu, Dora upewniła się w swoich przypuszczeniach. W tej postaci karawana nie mogła wyjść na drogę. Telim też spochmurniał. Dora wezwała go na bok, po krótkiej rozmowie przywołała dziewczęta i ogłosiła:

 – Słuchajcie mnie, amazonki. W tej postaci wyglądacie jak uciekinierki. Oboje z Telimem postanowiliśmy włożyć na was dla pozoru skórzane obroże. Rozumiecie:? Skórzane i tylko dla pozoru. Kto nie chce, może odejść na bok. To jest dobrowolne.

 Niewolnice posmutniały, ale żadna nie odeszła. Skórzane obroże nosiły niezamężne dziewczyny, stare panny oraz byłe żony, wygnane z domu przez mężów. Włożenie skórzanej obroży po żelaznej uważano za hańbę. Wiele wolało zostać w domu byłego męża zupełnie bez obroży niż wracać do rodziców w skórzanej. A jednak skórzana obroża dawała prawa wolnego człowieka i kobieta w skórzanej miała większe szanse na znalezienie męża niż niewolnica.

 Zrobienie obroży zajęło minutę. Telim wyjął kawałek skóry, pokroił go na paski, na końcach przebił dziurki na sznurki – i już. Dziewczyny, początkowo niezadowolone, chwaliły się nowinką jedna przed drugą i wdzięczyły się do Telima, parodiując niewolnice pościeli. Ten śmiał się, szczypał ich boki, klepał je poniżej pleców. Nowe zbiły się w kupę i obserwowały przymierzanie obroży ze łzami w oczach.

 – Nie rozlewajcie wilgoci – krzyknął na nie Telim. – Na obrożę trzeba zapracować.

 Nadszedł czas wyprawiać karawanę w drogę. Dora pomogła dziewczynom ładować towary. Zaskoczyło ją, że i Telim pracował razem ze wszystkimi, śmiejąc się i żartując z niewolnicami, a one odpowiadały mu radosnymi uśmiechami. Nie była to już ta sama karawana, którą znała Dora. Mała, załadowana w trzech czwartych obcymi towarami, ale dobra i czuło się z nią więź, jak z rodziną.

 Pożegnanie było niedługie, ale gorące. Dora już nie była zła na Telima i nie bała się o swoje dziewczyny. Stanąwszy na palcach, oddała mu całusa i odprowadziła do szlaku. Tuż po rozstaniu na piersi Dory coś zatrzepotało, jakbypod ubranie wpadł owad. Okazało się, że to medalion. Wyjęła go, z zakłopotaniem obmacała i nacisnęła występ, o którym mówiła Miriam.

 – Leśne zwierzątka, co ja mam z tobą zrobić? – Usłyszała jej głos. Greb przerwał Miriam:

 – Dora, kiedy mówisz, trzymaj cały czas palec na przycisku. Koło ciebie są ludzie?

 – Nie, karawana odeszła. Zostałam sama. Wrócę przed kolacją.

 – Jesteś na drodze do Setu?

 – Tak, stoję na jej poboczu.

 – Nie trzeba wracać. Czekaj tam na nas. Koniec łączności.

 Dora usiadła pod drzewem i zamyśliła się nad tym, co Greb chciał powiedzieć. Kazał cze­kać i nie wracać – to było jasne: po co wracać, jeśli oni tu jadą? Ale jak rozumieć ostatnie zdanie? Dlaczego koniec? Jakiej łączności? Łączenie, łączyć, połączyć coś z czymś – te słowa znała. A jeśli on coś rozkazał, a ona nie zrozumiała?

 – Pani Miriam, jeśli słyszysz Dorę, odezwij się – zajęczała w medalion. Czarodziejska rzecz nie zawiodła, Miriam odezwała się prawie od razu.

 – Słyszę cię, miła.

 – Gospodarz powiedział: ”Koniec łączności”. Dora nie zrozumiała. Dora ma coś zrobić?

 Z medalionu rozległ się dobroduszny śmieszek Krisa i Greba.

 – Koniec łączności – to znaczy koniec rozmowy, ale nie zwykłej, tylko takiej, jak nasza, prowadzonej przez medalion – wyjaśniła Miriam.

 – Pani, kiedy będziecie objuczać konaki, na szarego ładujcie mniej. Miał niedawno kamień w kopycie, niech chroni nogę.

 Jak się okazało, konaki już były objuczone, ale źle. W ogóle to ci ludzie nic nie potrafili zrobić prawidłowo. Dora kazała im rozładować i na nowo objuczyć konaki. Pytała ich, co ładują, i okazało się, że zapomnieli o wielu najbardziej niezbędnych rzeczach. A pieniędzy to już zupełnie nie umieli liczyć. Greb chciał rozliczyć się z gospodarzem domu złotymi, Dora kazała zaprosić go na piętro,pokazać lustra w pokoju Miriam i,jeśli oceni je na mniej niż dziesięć złotych, przegonić go na cztery wiatry. Greb chrząknął sceptycznie, ale gospo­darz ocenił lustra na piętnaście monet, wydał cztery złote reszty i był naprawdę zadowolony.

 Wreszcie mała karawana z trzech wierzchowców i dwu jucznych konaków wyruszyła w drogę. Dora schowała medalion i, bardzo zadowolona z siebie, zamierzała odpocząć. Nikt jej nie mógł powiedzieć, że za darmo je swój chleb. Kupili ją za dwadzieścia pięć złotych, ale piętnaście już zwróciła. I resztę też zwróci! Ułożyła się wygodnie i zaczęła marzyć. Jej my­śli wróciły do wieczornicy, do pieśni, którą śpiewał Greb. „I tak cię stąd wezmę, serca mego panno, do zamku z widokiem na morze”. Że też ona od razu się nie zorientowała: zamek z widokiem na morze może stać tylko w Secie, jedynym mieście, w którym zgodziłaby się mieszkać, gdyby zmieniła życie koczownicze na osiadłe. Wzgórza Seta, złociste sosny Seta, łagodne plaże i niebieskie morze Seta, lekkie wina i dobroduszni mieszkańcy Seta… Czy jest na Sekonie drugie takie miejsce? I nagle ostry ból ścisnął serce: pieśń się na tym nie kończyła. Ostatni jej kuplet brzmiał: „Zgodzisz się choć na raj w szałasie, gdzieś w głuszy, jeśli ktoś mój zamek zagarnął”. Za rok piękny Set zostanie zburzony i spalony. Mieszkańcy stepu zajmą domy i pałace. Na falach lazurowego zalewu będą kołysały się trupy. Set nawet nie ma murów. Po co spalać pokojowe i piękne jak marzenie miasto?

 Greb, Kris i Miriam przyjechali w porze obiadowej. Tylko Kris boleśnie uderzył Dorę w policzek. Dziwak. Najpierw pocałował, a potem uderzył. W karawanie robią na odwrót: najpierw kara, a potem już można żyć jak zawsze. Po karze już jakby nie było przewinienia. Greb tylko patrzył wilkiem. Dora zrzuciła żakiecik i podała Grebowi bicz ze słowami:

 – Panie, ukarz Dore.

 – Nie jesteś moją żoną – odrzekł. Zdjęła obrożę i uklękła przed nim.

 – Ukarz. W karawanie nikt do nikogo nie może chować urazy.

 Miriam coś Grebowi szepnęła i ten niezbyt mocno, bardziej dla pozoru smagnął raz Dorę biczem po plecach. Dora zerwała się radośnie, pocałowała go w policzek i zapięła obrożę. Zjedli obiad, po czym Dora zapytała, gdzie jadą. Greb rozwinął mapę i powiedział:

 – Horda poszła na Aachen z południowego wschodu, skądś z tej oto równiny. Nikt o niej wcześniej nie słyszał, a to znaczy, że narodziła się gdzieś tutaj. I tu pojedziemy.

 – Tu jest bardzo dobry szlak karawanowy do Nibusa. – Wskazała Dora. – Przecina drogę do Setu. Mamy do niego pięć godzin jazdy.

 – Czy i jakie niebezpieczeństwa są po drodze? – zapytał Kris. Dora wzruszyła ramionami.

 – Dla dużych karawan nie ma żadnych – odrzekła – A dla małych wszędzie niebezpiecznie.

 Wyruszyli. Po paru godzinach jazdy Dora nagle się zaniepokoiła i zapytała:

 – Kris, kiedy kupowaliście przede mną konaki, kupiliście leśne czy stepowe?

 – Nie wiem. A jaka to różnica? – odrzekł Kris. Dora odwróciła się i zawołała:

 – Niedługo step. Zwierzątka leśne, trzeba sprawdzić! Hej, wyjmijcie nogi ze strzemion!

 Miriam wyjęła od razu, Greb spojrzał na Dorę niedowierzająco, ale też wyjął.

 – Ptery!!! – krzyknęła Dora całą siłą płuc. Jej konak i oba juczne położyły się, konaki gospodarzy zostały na nogach. Okazało się, że Kris nawet nie wyjął nóg ze strzemion.

 – Co to za żarty? – zapytał Greb oglądając się ze zdziwieniem.

 Dora przełamała cukrową laseczkę z orzechami na trzy części i dała je leżącym konakom.

 – Wasze konaki trzeba będzie wymienić – powiedziała. –Nie potrafią się kłaść.

 – Po co mają się kłaść? I co to są ptery?

 – Ptery – no, to są ptery. Mają skrzydła, takie zaury – niezbyt składnie zaczęła wyjaśniać Dora – Mają zęby. Mogą głowę zdjąć z karku w locie.

 – Rozumiem. A jeśli położyć się, nie zdejmą?

 – Mają długie skrzydła i nie mogą zbyt nisko latać. Nie potrafią też szybko biegać po wylądowaniu. Można albo zabić je ciosem miecza w szyję, albo uciec. A jeśli mieczem uderzyć po skrzydle, nie poleci. Tu rób z nim, co chcesz.

 – Miłe ptaszki. Głowę w locie zdejmują – wymamrotał Kris.

**RAY**

 Przejechali całkiem spory odcinek. Wprawdzie karawana wyjechała późno, ale konaki były świeże, wypoczęte i szły z chęcią. Pierwsze dwa-trzy dni jest tak zawsze. Potem nowicjusze robią się coraz bardziej zmęczeni i do normy wracają dopiero pod koniec drugiego tygodnia. Na razie przy ognisku trwały ożywione rozmowy.

 – Dora, ty w mieście klęłaś inaczej.

 – To było w mieście. A tu ostro kląć nie można. Jesteśmy w lesie.

 – W mieście można, a w lesie nie? – Roześmiali się mężczyźni.

 – Przecież Biały Ptak może się odwrócić! – Dora z lekka obraziła się na nierozumiejących obcych. – W mieście szum, wszyscy mówią, rejwach. Nie rozróżnisz, kto co powiedział. A w lesie od razu jasne. W lesie nie wolno kląć! Nie wolno i już!

 Rano wszyscy wstali wcześnie. Dora aż się zdziwiła: takie mieszczuchy i tak wcześnie!

 – Tu jest dłuższa doba. Jeszcze się nie zaadoptowaliśmy – wyjaśniła Miriam.

 Dora nie zrozumiała. Wzięła pustą butelkę i pobiegła do pobliskiego strumienia. Umyła się, popatrzyła z lubością na swoje odbicie, obmacała piersi. Zrobiły się jakby nieco więk­sze. Miriam powiedziała, że podniosą się jak u niej. Czyżby to było możliwe?

 Dora napełniła butelkę i właśnie ją korkowała, gdy nagle na tył jej głowy spadła pałka.

 Ocknęła się, no jakże, związana i przerzucona przez siodło. Koń szedł miarowym kłusem.

 – Bogowie, znowu! – jęknęła.

 – Boli? – zainteresował się męski głos.

 – Co?

 – Głowa boli? Nie mdli?

 – Boli. I nie tylko głowa.

 – Nie chciałem tak mocno uderzyć, ale twoi towarzysze byli za blisko.

 – Nazywam się Dora. Jestem karawaniarką – przedstawiła się – A ty kim jesteś?

 – Ray. – Bez żadnych wyjaśnień. Po prostu Ray – i koniec.

 – Posłuchaj, Ray, rozwiąż mnie. Niewolnic karawany się nie związuje.

 – Nie wyglądasz mi na niewolnicę.

 Dora pokręciła głową. No tak, wciąż miała na sobie obrożę.

 – Obrożę dostałam całkiem niedawno. A z karawaną chodzę już dziesięć lat. Jeśli nie wierzysz, spójrz na moje plecy. – Spojrzał i aż gwizdnął. – Ray, przysięgam na karawanę, że nie ucieknę, dopóki sam mnie nie wypuścisz.

 Silne palce zaczęły rozplątywać węzły, ściskające ze plecami nogi i prawą rękę Dory. Roztarła nadgarstki i chwyciła łęk siodła, podciągnęła się i usiadła przed Rayem, który objął ją lewą ręką za talię. Pomacała guz na karku, rozejrzała się. Konak okazały, silny, aż mię­śnie grają mu pod skórą. Jeździec pasujący do niego, sympatyczny. Patrzy na nią z uśmie­chem.

 – Ray, puść mnie. Mam męża. Ty chcesz mnie dla zabawy, a on mnie kocha. – Milczenie. – Ray, my jedziemy w ważnej sprawie, nie tak po prostu. – Ręce mężczyzny sięgnęły do obroży. – Nie dotykaj! – zapiszczała – Nie ty na mnie ją wkładałeś. Sama zdejmę.

 Rozpięła obrożę i chciała wyrzucić ją w krzaki, ale Ray nie pozwolił.

 – Kim teraz jesteś?

 – Twoją niewolnicą – powiedziała ponuro Dora. – Gospodarzu, sprzedaj mnie. Dobrze ci za mnie zapłacą, dadzą dwadzieścia pięć złotych.

 Ray zapiął na niej obrożę i powtórzył:

 – Kim teraz jesteś?

 Tak prosto… Dwanaście lat bez obroży, nie spała nocami, marzyła o tym, czekała, miała nadzieję.. Dziesięć lat łykała kurz karawanowych tras. A tu – drugi raz w ciągu tygodnia…

 I nagle już po raz kolejny wszystko zrobiło się jasne. Przecież to odpowiedź Białego Ptaka na jej modlitwy! Prosiła go o zbawienie, o wyrwanie z owego strasznego domu – i oto… Biały Ptak usłyszał jej prośbę, a głupia Dora zapomniała mu powiedzieć, że już nie trzeba, że pogodziła się z losem i ten dom już nie jest dla niej straszny. Biały Ptak znalazł jej pana, najlepszego z najlepszych, skierował go do niej, karawaniarki. Będą żyli razem długo i szczęśliwie, jakby za wysokim kamiennym murem. Za pierwszym razem obrożę podarował jej Czarny Ptak, a teraz – Biały. I nie trzeba naruszać żadnych przysiąg. Porzuciła pana nie z własnej winy. Tylko pogódź się ze swoją kobiecą dolą… Dziewczyny uratowała, karawanę uprzedziła, nie ma więc długów wobec dawnego życia. A Kris…

 – O! Karawano umarłych, zdajesz sobie sprawę, coś ty narobił? Kris cię teraz zabije!

 – Jeśli znajdzie.

 – Nie rozumiesz! On znajdzie. Słyszymy siebie z odległości stu dziennych przejść. – Dora sięgnęła do medalionu, ale na jej szyi go nie było.

 – Twój amulet upadł na ziemię. Wybacz, ale nie miałem czasu go podnosić.

 Biały Ptak wszystko przewidział.

 Dora przeprowadziła inwentaryzację. Kindżału w pochwie nie było, ale obie sakiewki: ta z pieniędzmi i ta z kulkami snu były na miejscu.

 – Ray, jestem karawaniarką. Nie będę mogła żyć w forcie.

 – Dam ci dwie niewolnice do pomocy.

 – Nic nie rozumiesz. Karawaniarki nie boją się pracy, tylko siedzenia na jednym miejscu. I, jeśli mam być twoją żoną, oddaj mi nożyk.

 Ray wyjął z buta kindżał i oddał jej. Dora otworzyła szeroko usta ze zdumienia.

 – A jeśli ja nim ciebie?...

 – Nie potrzebuję żony, której nie będę mógł wierzyć.

 Dorze aż mrówki przebiegły po plecach. Kris mówił dokładnie to samo.

 – Nie podniosę tego kindżału na ciebie! – przemówiła gorąco Dora i rozpłakała się – któ­ryż to raz w ciągu tego tygodnia?...

 – Ray – zwróciła się znów do niego po jakimś czasie. – Nie jestem zwykłą karawaniarką, jestem keptenem. Kepten Dora, może słyszałeś? Jeśli kepten sam idzie jako przewodnik, to znaczy, że sprawa jest bardzo poważna, rozumiesz?

 – Dla ciebie ta sprawa już się skończyła.

 – Nie wierzysz, że jestem kepten? Mam w karawanie dwanaście konaków i pięć niewolnic.

 – Wierzę. Niewiele, ale dla kobiety w sam raz.

 – Zabijałam wojowników i nożem, i z łuku! Ray, ja nie jestem dla ciebie.

 – A ja zabijałem wojowników gołymi rękami. I co z tego? Jesteś moją żoną.

 – No jak mam ci to wyjaśnić?! – Dora wyszarpnęła kindżał z pochwy u jego pasa i przycisnęła mu ostrze do pleców. – Zatrzymaj konaka albo przebiję cię na wskroś.

 – Przysięgałaś nie podnosić broni przeciw mnie – powiedział spokojnie Ray nie zwalniając biegu konaka.

 – Mówiłam o swoim kindżale, a to twój.

 – Masz coś z racji. – Ray zatrzymał konaka. – Ale co dalej? Zupełnie niedawno pewna karawaniarka przysięgła, że mi nie ucieknie. Zresztą taka podobasz mi się jeszcze bardziej.

 – Ray, ja nie chcę ci uciekać. Chcę, żebyś mnie puścił.

 – Mam cię puścić? – Pokręcił głową. – Ależ ja całe życie szukałem właśnie ciebie!

 – Zrozum, ty tępaku, że ja nie opłakuję teraz ciebie, tylko siebie. Przysłał mi ciebie Biały Ptak, a ja muszę powrócić pod skrzydła Czarnego. Odwracam się nie od ciebie, tylko od podarunku Białego Ptaka. Wiesz, co bywa z tymi, którzy odwrócili się od Białego Ptaka? On się na mnie obrazi i będę skończona. Nie zaznam już szczęścia w swoim życiu. Już rozumiesz, na co idę, odwracając się od ciebie?

 Ray zamyślił się na długo, a potem stanowczo zawrócił konaka.

 – Ray, ja sama dojdę, ty tam nie możesz. Oni ciebie zabiją.

 – Wszystkie baby są głupie, zwłaszcza piękne. Myślą tylko o sobie. Amiecz ma dwa ostrza.

 – Panie, Dora ciebie nie rozumie.

 – Jeśli Biały Ptak przeznaczył cię dla mnie, myślisz, że ode mnie się odwróci?

 – Zwierzątka leśne! Oj, co to będzie?...

 – Opowiedz mi o swoich towarzyszach.

 Krisa i Miriam spotkali dość daleko od obozu. Miriam miała w ręce miecz, a Kris – czarne pudełeczko, które szybko schował do kieszeni.

 – No widzisz! Szukają mnie – szepnęła Dora Rayowi, który od razu zatrzymał konaka i położył dłoń na rękojeści miecza. – Kris, Miriam, to Ray! – zawołała jeszcze z daleka. – Ray, to Kris, mój mąż. A to Miriam. – Rozluźniła obrożę i zaczęła manipulować przy zamku.

 – Spotkałaś znajomego czy co? – Zdziwił się Kris. Miriam powiedziała mu coś cicho.

 Dora zeskoczyła z konaka, podbiegła do męża, podała mu obrożę i, podnosząc obiema rękami włosy, poprosiła o zapięcie. Kris sprawdził zamek, wzruszył ramionami i zapiął obrożę na jej szyi. Dziewczyna nie wytrzymała i pokazała Rayowi język.

 – Dora, co to za sztuczki? – zapytał Kris - Zaręczyłem za ciebie przed Grebem.

 – Sztuczki, tak? – Obraziła się Dora. – Pomacaj, jakiej wielkości te sztuczki! – Położyła jego dłoń na tylnej części swojej głowy, tuż nad karkiem, dała mu wy macać guz.

 – Porwali ciebie, a on cię uratował?! – wykrzyknął Kris.

 – Później opowiem. Teraz tylko tyle: Ray jedzie z nami. Tak chce Biały Ptak.

 – Grebowi to się nie spodoba – powiedziała Miriam i schowała wreszcie miecz do pochwy.

 – Kompletne brednie – podsumował Greb. Miriam się sprzeciwiła:

 – Dla nas. Oni w to wierzą, to ich życie. Wszystko jest dużo bardziej złożone, niż myślisz.

 – Z powodu przesą… – zaczął Greb, ale Miriam zakryła mu dłonią usta.

 – Spójrz na to z drugiej strony. Ray zachował się jak dżentelmen. I ma piękne imię. A my, jak wiesz, mamy problem Tavi.

 – Ciebie to nie dotyczy! – ryknął na nią Kris.

 Dora skurczyła się ze strachu. Nic z tej rozmowy nie rozumiała. Najpierw mężczyźni jej nie rozumieli, musiała trzy razy wyjaśniać sprawę Białego i Czarnego Ptaka, potem to samo wyjaśniała im Miriam, ale niezrozumiałymi słowami, a teraz słowa były zrozumiałe, ale nie rozumiała, o co się kłócą. Dora spojrzała na Raya, ten siedział nieruchomo, z kamienną twarzą.

 – Kris i Dora, odejdźcie. To rozkaz – powiedział Greb.

 – Konspirator – burknął Kris, podniósł się i poszedł w kierunku drzew, a Dora pośpieszyła za nim. – Znalazł się konspirator – mamrotał, siadając tyłem do drzew i wyjmując meda­lion. Z medalionu rozległ się cichy, ale wyraźny głos Greba:

 – Na co ty liczysz?

 – Dora powiedziała, że jedziecie w niebezpieczne miejsce– zaczął Ray.

 – Tak.

 – W niebezpiecznym miejscu kogoś z nas mogą zabić. Albo ją, albo mnie, albo Krisa. Jeśli zabiją Krisa, Dora dostanie się mnie.

 – Ciekawy wariant. Zwłaszcza, jeśli pomóc Krisowi umrzeć – uzupełniła Miriam.

 Dora podniosła się i spojrzała. Miecz Miriam był przy gardle Raya. Greb ją zganił:

 – Nie łap za broń. – I do Raya: – A ciebie nie znam, nie wzywałem cię i nie wierzę ci.

 A jednak życie jest piękne. Dora, która na chwilę została z tyłu, przyśpieszyła, doganiając karawanę i roześmiała się – tak po prostu, z przepełniającego ją szczęścia. W karawanie było już siedem konaków. I człowiek, na którego mogła liczyć, silny, dzielny i, co najważ­niejsze, zawsze dla niej zrozumiały.

 – Dora, chodź tutaj! – zawołał Greb. Dziewczyna pocwałowała na czoło kolumny.

 – Co to za diabelstwo? – zapytał Kris, wskazując przed siebie.

 Dwieście metrów przed nimi szlak karawanowy przecinały zaury. Olbrzymie ciemnozie­lone ciała pojawiały się z lasu na prawo od szlaku. Były tak olbrzymie, że nie można było zobaczyć ich w całości. Wypływała z lasu tępa morda na stosunkowo krótkiej, grubej szyi, przednie łapy, gigantyczne brzuszysko, tylne łapy. Głowa już znikała w lesie po lewej, a ogona jeszcze nie było widać. Zaraz za ogonem pojawiał się następny zaur – i tak bez końca. Głowa, brzuszysko, ogon, głowa, brzuszysko, ogon. Dora zaczęła wyjaśniać:

 – To nic strasznego. Można podejść do nich tuż-tuż, można nawet dotknąć ręką.

 – Co z nimi? Migrują? Uciekają przed pożarem?

 – Nie-e. Po prostu idą karawaną.

 – Zaury – karawaną?

 – Aha. Proszę! – Dora wyciągnęła rękę w przód, jakby bez tego gestu zaury były niewidzialne dla pozostałych.

 – Czekaj, czekaj. – Zaniepokoił się Greb. – Jeśli zaury karawaną to nie wymysł, to i karawana umarłych może również istnieje? Widziałaś ją?

 – Nie. I nie chcę widzieć. Z tych, którzy ją widzieli, mało kto powrócił do domu.

 – Opowiadaj – rozkazał Greb. Oczy dziewczyny radośnie błysnęły, usadowiła się w siodle jak najwygodniej. Kris, Miriam, a nawet Ray podjechali jak najbliżej.

 – Dawno, dawno temu, kiedy dziadek mojego dziadka mógł jeszcze przejść pod konakiem nie pochylając się, kiedy zaurów było dużo, a zwierząt całkiem mało – zaczęła, nie wiadomo dlaczego zmienionym głosem – z pewnego dużego miasta wyszła bogata karawana, tak wielka, jakie dzisiaj już nie chodzą. Samych niewolnic było w niej co najmniej pięćset…

 – Czyli rzędu dwóch tysięcy koni. E-e-e, konaków – obliczył w przybliżeniu Greb.

 – Panie, nie przerywaj. I wszystkie niewolnice były młode, piękne, wytrzymałe, każda warta co najmniej pięć złotych. Ale spotkali po drodze czarownika i kepten karawany czymś go obraził. Czarownik nic mu nie odpowiedział, ale zataił urazę i poszedł za karawaną. A kiedy zatrzymali się wszyscy na noc, rozpalił niedaleko ognisko i całą noc warzył na nim swoje straszliwe czarodziejskie zioła. A rano, gdy karawana ruszyła w drogę, wypuścił na nią gęstą mgłę, tak gęstą, że na pięć kroków nic nie było widać. Kepten powinien był za­trzymać karawanę i przeczekać mgłę, ale pamięć miał znakomitą, drogę znał bardzo dobrze, więc wyjechał naprzód i powiódł za sobą A zły czarodziej zakręcił drogę w pierścień i, kiedy kepten dogonił ogon własnej karawany, czarownik wykradł z niej keptena razem z kona­kiem, a cugiel drugiego konaka przywiązał do ostatniego i wypowiedział ostatnie, najstrasz­liwsze zaklęcie.

 Mija godzina, druga, mgła już się rozwiała, a karawana idzie jakby nigdy nic. Nikt nie widzi, że keptena nie ma. Nadchodzi czas odpoczynku, a karawana idzie. Nie ma kto dać sygnału do zatrzymania się. Słońce już chyli się ku zachodowi, a karawana idzie. Konaki nie mają już sił, niewolnice płaczą, a karawana idzie. Słońce zaszło i znowu wzeszło, a kara­wana idzie. Ludzie chcieliby się zatrzymać, ale nie mogą, nieznana siła popycha ich na­przód. Czy długo może człowiek wytrzymać bez łyku wody pod palącym słońcem? Niedługo zaczęli umierać – ale i tak idą. Czwartego dnia w karawanie nie ma już nikogo żywego, a karawana idzie. Kroczą umarli, wiodą za uzdy martwe konie. Mięso złazi z kości, ubranie się rwą, a karawana idzie. Kroczą szkielety ludzi, prowadzą za uzdy szkielety koni. Juki z towarami mokną na deszczu, schną na słońcu, rozsypują się, towary wypadają na drogę, nikt ich nie podnosi. A karawana ciągle idzie. I jeśli ktoś zbliży się do tej karawany, czy to czło­wiek, czy konak, karawana wsysa go w siebie. Szkielety rozsypują się ze starości, ich miej­sca zajmują nowe. Niekończąca się karawana.

 – Dlaczego czarownik nie zdejmie zaklęcia? – zapytała Miriam.

 – Z czarownikiem przydarzyła się szczególna historia. Gdy łączył głowę karawany z ogonem i wypowiadał ostatnie zaklęcie, nie pomyślał, po której stronie karawany stoi i znalazł się wewnątrz pierścienia. Co później z nim się stało, nit nie wie. Może umarł z głodu, może karawana wessała go w siebie. Nie ma kto o tym opowiedzieć. Ale najbardziej zdumiewa­jące jest to, że karawana niby to tylko chodzi w kółko, a widują ją to w tym, to w innym miejscu.

 Zapadła cisza. Wszyscy rozmyślali o historii, którą usłyszeli. Pierwszy odezwał się Ray:

 – Szkoda dziewczyn.

 – Piękna legenda, ale smutna – zgodził się Kris.

 – Patrzcie, już idą małe! – wykrzyknęła Miriam.

 Rzeczywiście, zaury były coraz mniejsze. Ostatni był zupełnie mały: wysoki człowiekowi po kolana i długi na dwa metry. W odróżnieniu od starszych jego ogonek zwijał się w kółko.

**DZIWNA KARAWANA**

 Ósmego dnia spotkali niezwykłą karawanę. Trzydzieści dziewięć konaków, osiem niewolnic, przestraszonych do histerii i ani jednego mężczyzny. Niewolnice i konaki brudne, umorusane jakby się wykąpały w błocie.

 – Czyja karawana? Kto kepten? – zawołała Dora, wyjechawszy naprzód.

 Gdy niewolnice ją zobaczyły, omal się nie rozbiegły. Uspokoiły się dopiero, gdy zorientowały się, że jest karawaniarką. I wtedy skargi i błagania wylały się na Dorę niekończącym się strumieniem. A ich historia była straszna i niezrozumiała. Karawanę zatrzymał oddział wojowników, złożony z co najmniej tysiąca jeźdźców. Wszystkich mężczyzn prowadzono pojedynczo do namiotu, po czym powracali do karawany, spokojni i skupieni. Wzięli najlepsze konie, te towary, które nie były dla rozkoszy, ale zawsze potrzebne, dwie niewolnice i odeszli do oddziału. Tymczasem wojownicy wykopali długi rów, zagonili do niego pozostałe konaki i niewolnice, tym ostatnim związali ręce i nogi i zaczęli zasypywać je ziemią. Kara­waniarze wrócili, też wrzucili po kilka łopat ziemi i znów odeszli do oddziału. A wojownicy zakopali niewolnice i konaki tak, że tylko głowy im wystawał, zwinęli obóz i odeszli na południe. Czterech zostało, poczekali, aż odjeżdżający zniknęli w dali, odkopali i rozwiązali jedną z niewolnic, i, nie tknąwszy jej, odjechali w ślad za swoimi. Niewolnica odkopała drugą, po czym przez całą noc gołymi rękami wykopywały siebie i konaki.

 Greb, Kris i Miriam zaczęli zażarcie kłócić się w swoim języku, w którym słowa Dora rozumiała, ale frazy nie a Ray głęboko się nad czymś zamyślił, więc Dora wzięła na siebie całe kierownictwo. Skręciła z trasy karawan w leśną drogę, dotarła na brzeg znajomego jeziora, rozkazała niewolnicom rozbijać obóz, a Raya wysłała zdobywać mięso. Kazała dziewczynom umyć się oraz umyć i wyczyścić wszystkie konaki. Była to ciężka praca, niewolnice wyszły na brzeg ledwie żywe, zziębnięte, ale czyste. Wrócił Ray z dwoma zabitymi małymi zaurami, Dora upiekła je w całości. Greb i Kris już ochrypli, ale ciągle jeszcze się kłócili, a Miriam próbowała ich pogodzić. Jeden krzyczał, że to hipnoza, drugi – projekcyjna telepa­tia. O ile Dora zrozumiała, hipnoza to było źle, ale projekcyjna telepatia jeszcze gorzej. Źle do tego stopnia, że można było wracać z niczym.

 Zmęczone i przemarznięte dziewczyny stopniowo zaczęły ożywać. Ich głodne spojrzenia spoczęły na piekącym się mięsie. Sama Dora też przełykała ślinkę, ale czekała, aż mięso upiecze się do potrzebnego stanu. Wtedy wszyscy wzięli się do jedzenia i głośno zachwycali się jej kulinarnym mistrzostwem. Tłuszcz ściekał po rękach aż do łokci. Dora szczodrze wydzielała niewolnicom soczyste kąski, dla każdej znalazła ciepłe słowo, a po kolacji osobiście sprawdziła, czy wszystkie mają dobre podściółki i koce. Porozmawiała trochę z każdą, wyjaśniając, czym ta zajmowała się w karawanie. Czując nad sobą surową, ale troskliwą rękę, dziewczyny uspokoiły się całkowicie.

 Gdy Ray położył się z jedną z nich, poczuła mimowolne ostre ukłucie zazdrości. Zmarszczyła czoło i postanowiła omówić z Grebem los karawany. Podchodząc, usłyszała Miriam.

 – Musi ratować karawanę. To jej obowiązek, jako karawaniarki.

 – Nie mamy prawa się mieszać. – odrzekł Greb. – To nie nasz czas.

 – Spróbuj to jej wyjaśnić!

 – Myślisz, że zrozumie?

 – Oczywiście, że nie. Przecież to akurat jej czas.

 – Śmierci smoka! Po śmierci Tavi Kris po prostu zwariował na punkcie humanizmu. Nie wolno było dawać niewolnicy wolności! Nie wolno było! Karawany to jej idee-fixe!

 – A nie wydaje ci się, że ona jest najnormalniejsza z naszej kompanii? Mnie już od kilku dni męczy jej hipoteza.

 – Hipoteza? U Dory?

 – Tak, że jesteśmy wysłannikami Czarnego Ptaka. No bo sam pomyśl: przywódca mafii…

 – …usunięty ze stanowiska przez smoka.

 – Były przywódca mafii, były killer, którego żona utopiła się, dowiedziawszy się, kim on jest z zawodu, i cyber-android – dobra kompania, nieprawdaż? – na rozkaz smoka, byłego uciekiniera z katorgi, wybierają się w przeszłość, żeby obsypać ludzkość dobrodziejstwami. W dodatku bez wiedzy tejże ludzkości. Nie wydaje ci się, że każdy uczynek, przedsięwzięty przez taką kompanię troszeczkę… śmierdzi?

 – Mojeż ty biedactwo...

 – Poczekaj, kochany, teraz będzie coś trochę śmiesznego. Miejscowa naiwna dziewczynka, ze wszystkich sił starająca się żyć sprawiedliwie, trafia do tej dziwnej kompanii. No i was, mężczyzn, bierze prawie za anioły z nieba – z pewnością przez kontrast z miejscowymi. Więc nie burz jej iluzji, proszę cię. Zagraj rolę anioła.

 – Przecież nie mogę krążyć z tą karawaną dookoła hordy! Tysiąc ludzi ją widziało! A co z niewolnicami zrobią żołnierze? Wielu z nich nie widziało baby od pół roku.

 – Greb, nie wymagam od ciebie natychmiastowej odpowiedzi. Pomyśl. Mamy trochę czasu.

 Dora odeszła na paluszkach w ciemność, usiadła na kocu, objęła głowę rękami. Greb nie ma nic przeciw karawanie, ale jutro każe ją porzucić. Takie jest życie. Na naradach karawa­niarzy często widziała, jak ktoś gorąco protestował przeciw decyzji keptena, a następnego dnia bronił jej przed prostymi karawaniarzami, jakby to był jego pomysł. Takie jest życie. I nie ma sensu prosić. Miriam prosiła za nią, a jej słowa znaczą dla Greba o wiele więcej. Czyli musi do rana sama coś wymyśleć… Zwierzątka leśne, co tu można wymyśleć?

 Przyszedł Kris, usiadł obok niej, objął.

 – Nie jestem naiwną dziewczynką – poskarżyła mu się.

 – A kto tak powiedział?

 – Miri.

 – A-a. Nie ma racji. Jesteś ciekawska i mały wulkan. Kładź się spać, bo tak zmarzniesz.

 – A kto to są anioły? – zapytała jeszcze, chowając się pod koc.

 – Aniołowie to latający ludzie z wielkimi białymi skrzydłami, odpowiedniki waszego Białego Ptaka. W założeniu powinni tworzyć dobro.

 – Ludzie za skrzydłami?! – Zdumiała się Dora. – Wy, poważni ludzie, wierzycie w taką bzdurę?

 Rano Greb ani słowa nie powiedział o karawanie. Dora musiała pierwsza zacząć rozmowę.

 – A ty jak myślisz? – zapytał.

 – Telim ma mało konaków. Dać by mu te.. On idzie do Setu. Dogoniłyby go w Secie, gdy będzie tam handlował. Ale same niewolnice, bez ochrony, nie dojdą tam. Przechwyci je po drodze pierwszy lepszy wojownik, sprzeda i będzie bogaty.

 – To znaczy, że problem w ochronie?

 – Oczywiście.

 – Jeśli wynajmiemy wojowników, czy nie zabiorą sobie twoich niewolnic?

 – Różnie bywa, ale jeśli strażnik ograbi karawanę, będą go szukali wszyscy kepteni, a jak znajdą, zakopią żywcem w ziemi.

 – Spróbujemy wynająć strażników w najbliższym forcie.

 Na taki sukces Dora nawet nie liczyła. Pozostawało załatwić pewne formalności. Ustawiła niewolnice w szereg i zaczęła je instruować:

 – Jestem kepten Dora. Od dziś jesteście moimi niewolnicami. Najpierw idziemy do fortu wynająć wojowników dla ochrony karawany. Potem idziecie do Setu i przyłączacie się do mojej karawany. Obecnie prowadzi ją kepten Telim. Drugiej takiej karawany nie znajdziecie w całym świecie. Powitają was jak bliskich i na zawsze zapomnicie o bacie. Wszystko ja­sne?

 – Pani, nie obraź się, ale mój gospodarz to kepten Nikita. – Wyszła naprzód jedna z kobiet.

 – Kepten Nikita zakopał was w ziemi. Odwrócił się od was.

 – Mój gospodarz to kepten Nikita – powtórzyła uparcie niewolnica.

 Dora zamyśliła się. Nie można karać za wierność.

 – Jak się nazywasz?

 – Mudra, pani.

 – Umiesz walczyć?

 – Tak. Na noże, pałki, Jak sobie życzysz.

 – Skąd ty spadłaś mi na głowę, taka uparta? – mruknęła Dora i zaczęła wycinać mieczem z brzozowych gałęzi dwie pałki. Na jej ramieniu legła dłoń Miriam.

 – Nie uczyłam cię walczyć na pałki. Wypróbuję ją, a ty obserwuj i zapamiętuj reguły – szepnęła jej na ucho, zrzuciła pas z mieczem i kindżałem na ziemię, rozpięła i włożyła Do­rze do ręki obrożę, zręcznie chwyciła pałki i jedną rzuciła niewolnicy.

 – Zaczekaj, Miri, tak nie można. Ona jest moja! Ona musi mnie słu… – Dora podniosła z ziemi pas z bronią Miriam i, plątając się w jej rzeczach, pobiegła za nią, ale urwała w pół słowa, widząc, jak niewolnica chwyciła w locie pałkę, a ta dosłownie ożyła w jej wprawnych rękach. Mudra obracała pałkę w wyciągniętej ręce, dookoła ramienia, dookoła talii, podrzucała w powietrze i łapała drugą ręką. Nieustanne błyskawiczne ruchy.

 – Dora, nie bądź jędzą – roześmiała się Miriam. – Nie będę biła twojej dziewki. Rozgrzeję się trochę – i to wszystko. Przed śniadaniem to nawet bardzo zdrowo.

 – Miri, nie trzeba! – Dora przycisnęła dłonie do policzków, przestraszona nie na żarty. Jeśli Miriam coś się stanie, Greb ją wyrzuci, nie patrząc, w obroży, czy bez. I będzie miał rację.

 – No, coś ty taka? No dobrze, uspokój się, będę walczyła tylko lewą ręką.

 – Pani, nic mi nie zrobicie, jeśli ciebie uderzę? – zapytała niewolnica.

 – Jeśli mnie uderzysz, dostaniesz pałeczkę cukru z orzechami na śniadanie. – Miriam wetknęła jeden koniec pałki w ziemię, na drugim mocno zacisnęła lewą rękę. – Zaczynaj!

 Mudra zaatakowała niepewnie. Uderzyła końcem swojej pałki w pałkę Miriam, po czym pchnęła w brzuch jak piką. Pierwszy cios Miriam zignorowała, przed drugim uchyliła się, wyginając się z gracją. Trzeci, z góry, odbiła, pochylając pałkę i chowając się za nią. Nieoczekiwanie zadała własny cios, trzymając pałkę za środek i drugi koniec zaciskając pod pachą. Niewolnica odbiła, odskoczyła o dwa metry i zaczęła prosić:

 – Pani, weź pałkę obiema rękami. Jestem przecież z wybrzeża. Zatłukę cię.

 Miriam w odpowiedzi roześmiała się i przeszła do ataku. Zaczęła się walka na poważnie. Koniec pałki Miriam to opierał się o ziemię, to chował się pod pachą, i wtedy cała pałka stawała się przedłużeniem ręki. Miriam odbijała ciosy, fechtowała jak mieczem, przewijała się prze pałką Mudry albo ją przeskakiwała, ale przy tym nieustannie szła naprzód, powoli, ale nieubłaganie jak morski przypływ. Niewolnica była zmuszona cofać się, krążyć po polanie, wszystkie jej wściekłe ataki rozbijały się o barierę nie do pokonania.

 – Wspaniale, dziewczynko, a teraz ja atakuję! – zawołała Miriam.

 Pozornie nic się nie zmieniło, Dopiero po jakimś czasie Dora zrozumiała, że niewolnica ma już tylko jedną drogę odwrotu: w jezioro. Nie mogła skręcić ani w prawo, ani w lewo, gdyż pałka Miriam przecinała jej drogę, przełamując obronę, grożąc okaleczeniem, ale tylko lekko dotykając ciała. Kiedy Mudra stała już w wodzie po kolana, Miriam głośno krzyknęła, rzuciła pałkę i kopnęła przeciwniczkę w pierś. Ta przewróciła się na plecy, jej stopy bły­snęły w powietrzu, zataczając łuk, a pałka wpadła do jeziora osobno. Dora odetchnęła z ulgą. Miriam pomogła niewolnicy wstać, po czym kazała jej przynieść pałkę.

 – Zuch z ciebie, pięknie walczyłaś – pochwaliła ją. – Zasłużyłaś na pałeczkę cukru. – Zademonstrowała wszystkim nieduże zadrapanie w okolicy łokcia. Niewolnica dostała silnych dreszczy, nie wiadomo, czy ze strachu, czy od zimnej wody jeziora. Miriam kontynuowała: – No widzisz, Dora, twoja niewolnica jest cała. Obiecałam ci, że jej nie tknę, a ty się bałaś. – Objęła Dorę za talię i wyszeptała jej do ucha: – Ty z nią nie wytrzymasz nawet minuty, więc rzuć pałkę i przejdź do walki wręcz, uderzając w ośrodki bólu. Jeśli nie rozłożysz jej w pięć sekund, przegrałaś. I nie czekaj, aż ochłonie po kąpieli, zaczynaj, głupia.

 – No, kto jest twoim gospodarzem? – Dora drżącą ręką wzięła pałkę od Miriam.

 – Kepten Nikita, pani! – uparcie powtórzyła niewolnica.

 – Bierz pałkę. – Dora rozpięła obrożę, oddała ją Miriam.

 – Pani, daj mi odetchnąć.

 – Zatrzymujesz karawanę.

 Niewolnica niechętnie stanęła w stójce i uniosła pałkę. Dora ostro natarła na nią, gorączkowo zastanawiając się, którym końcem pałki zadać pierwszy cios. Okazało się, że myślała niepotrzebnie, gdyż pierwszy cios zadała Mudra. Dora jakimś cudem zablokowała go, zapiszczała na cały głos, odrzuciła swoją pałkę i, chwyciwszy za pałkę przeciwniczki, przerzuciła niewolnicę przez siebie. Natychmiast jak dziki kot skoczyła na leżącą, ogłuszoną upadkiem Mudrę, przewróciła ją na brzuch, i wykręciła jej ręce, przywiązując dłonie do łopatek długimi mokrymi włosami. Cała walka nie trwała nawet dziesięciu sekund.

 – Kto jest twoim gospodarzem?

 Niewolnica się rozpłakała.

 – Jesteś głupia. Chciałam ci dać obrożę, a ty mi się sprzeciwiasz – zrugała ją Dora i wstała. – Kto jeszcze twierdzi, że jej gospodarzem jest Nikita?! – krzyknęła groźnie, aż nie­wolnice skuliły się ze strachu. – Kto jest waszym gospodarzem? – Natarła na nie.

 – Kepten Dora – odpowiedział nieskładny chór.

 Przy śniadaniu Dora posadziła niepokorną niewolnicę koło siebie, przy ognisku wolnych ludzi. Chciała wypytać ją dokładniej, ale z rozmowy nic nie wyszło.

 – Pani, przynajmniej nie właź w moją duszę. Bij mnie ile chcesz. Dla ciebie przycisnąć mnie to tak, jak zmiażdżyć norika. Twoja jestem, twoja. No, czego jeszcze chcesz ode mnie?

 Zmieszana Dora wymieniła spojrzenia z Miriam. Ta przysiadła z drugiej strony Mudry i próbowała ją pocieszyć.

 – Chcemy dla ciebie tylko dobrze, uwierz mi. Dora nie spała pół nocy, myślała o was, zagubionych, a ty tak niedorzecznie…I nie dąsaj się na mnie. Uderzyłam cię choć raz?

 Greb odłożył kawałek mięsa i popatrzył ponuro na kobiety.

 – Nie znoszę, jeśli ranek zaczyna się od kobiecych łez.

 Dora i Miriam zaprowadziły Mudrę pod drzewoi tam ona rzeczywiście się rozpłakała na ramieniu Miriam. Błagała ją o wykupienie od okrutnej, w jej mniemaniu, Dory.

 – Ty, pani, jesteś dobra, silna, uczciwa. Jesteś ode mnie silniejsza, więc dałaś mi szansę, walczyłaś jedną ręką. Bawiłaś się ze mną, ale nie biłaś. A pani gospodyni gdyby chociaż dla pozoru zadała kilka ciosów. Nie, od razu złapała i rzuciła z rozmachem na ziemię, jakbym była nie człowiekiem, a workiem mąki.

 – Słuchaj, jeśli dam ci obrożę, to co zrobisz? – zapytała Dora.

 – Pójdę szukać gospodarza – odrzekła ze złością Mudra.

 – Jeśli twój gospodarz dotąd nie założył ci obroży, to jest naprawdę świnią.

 – Co ty, wolna, możesz wiedzieć o naszym życiu? Nie będę twoja! Nigdy nie będę! Nie będę, choćbyś mnie miała zatłuc na śmierć!

 – Ja?! Nie wiem?! – Dora aż się zakrztusiła od takiej niesprawiedliwości. – Miri, ona jest twoja. Rób z nią, co chcesz. – Podniosła się i powróciła do ogniska.

 Łapka zaura całkiem wystygła, tłuste, zimne mięso nie chciało wejść do gardła. Dora ze złością cisnęła ją w ognisko. I przeraziła się: jedzenie – w ogień! Obejrzała się na niewolnice. Nie patrzyły na nią, tylko, z ubóstwieniem i wiernością, na Miriam, która pocieszała Mu­drę.

**FORT**

 – Wykąp się w jeziorze – szepnęła Miriam do Dory.

 – Woda jest zimna. – Przestraszyła się Dora.

 – Tchórz z ciebie. Chodźmy razem, umyję cię.

 Dora chciała odmówić, ale Miriam zrobiła tajny znak karawaniarzy: „Nie kłóć się przy obcych, tylko rób, co powiedziałam”. Dziewczyna kazała niewolnicom zwinąć obóz i ponuro powlekła się za Miriam. Rozebrała się i, kwękając, weszła do zimnej wody Popływały, po czym Miriam umyła jej i sobie włosy ciekłym mydłem, podobnym do oleju. Wychodząc z wody Dora zauważyła, że cała ósemka niewolnic patrzy na nią, zapominając o pracy.

 – Miri, dlaczego one na mnie tak patrzą? – zapytała. Miriam roześmiała się.

 – Nie zwracaj uwagi – powiedziała i zaczęła wycierać ją ręcznikiem froté.

 – Ty wiesz, a nie mówisz.

 – Poradziłam Mudrze, żeby przy sposobności popatrzyła sobie na twoje plecy.

 Dora ubrała się i pomogła niewolnicom przy tworzeniu karawany. Była w bardzo złym nastroju. Niewolnice słuchały jej bez słowa sprzeciwu, poważały ją, ale wczorajszego ciepła już nie było. Wczoraj była dla nich karawaniarką, dzisiaj – keptenem.

 Karawana szła w kierunku najbliższego fortu. Mieli do niego cztery godziny drogi i Dorę ogarniał coraz większy strach. Dwa dni wcześniej tą samą drogą przejeżdżał wielki oddział, z pewnością ten sam, który zakopał niewolnice. Dora dwa razy schodziła z konaka i badała ślady. Gdy zostało dwie godziny jazdy, zatrzymała karawanę i podjechała do mężczyzn.

 – Dalej nie można prowadzić karawany.

 – Dlaczego? – zapytał pierwszy Kris. Dora wskazała ślady.

 – Boisz się, że zakopią w ziemi? – Zainteresował się Greb.

 – Nie, tym razem niewolnicom utną głowy, może i mnie z Miriam. A was wezmą ze sobą.

 – Pojadę na zwiady – zaproponował Kris.

 – Ja z tobą – wypaliła od razu Dora.

 – Kris, ty nie możesz. Jesteś cudzoziemcem, za bardzo rzucasz się w oczy. Ja pojadę – zgłosił się Ray.

 – To ma sens. – Zgodził się Greb. – Miri, daj Rayowi medalion.

 Miriam wyjęła dwa medaliony, jeden podała Rayowi, drugi włożyła sobie na szyję.

 – Nie zdejmuj go. On jest czarodziejski.

 – Znaczy się amulet. Przed czym zabezpiecza?

 – Wzmacnia twoją wolę przeciw obcej. I jeszcze jedno robi. Wszystko, co powiesz, ja usłyszę. Wszystko, co powiem, ty usłyszysz. Gdy poczujesz, że drga jak żywy, podnieś do ucha.

 – Patrzcie no, jakie rzeczy robią za oceanem. – Zdziwił się Ray, włożył medalion i pokłusował naprzód.

 – Ray, dobrze mnie słyszysz? – zapytała Miriam.

 Dora zobaczyła, jak jeździec zatrzymał konaka i obejrzał się.

 – To rzeczywiście diabelska sztuczka. – Zdziwił się. – Żelastwo, a mówi.

 – To nie on mówi, to mówię ja, Miri. – Poprawiła go Miriam i pomachała mu ręką. Ray pomachał jej w odpowiedzi i zniknął za horyzontem.

 Przez całą następną godzinę nie działo się nic ciekawego. Chcąc uzbroić niewolnice, Dora wyprawiła je po bambus, gdyż to najlepszy surowiec na łuki. Niedługo wróciły z całymi naręczami gałązek młodego bambusa – na strzały, oraz wiązką starych grubszych „pni”.

 – To ma być bambus? – Zdumiał się Greb – Aż tak mocno Ray stuknął cię w głowę, Dora?

 – Bambus. A niby co, twoim zdaniem?

 – Nie wiem. Ale wiem, co to jest bambus.

 – Na Sekondzie ta roślina nazywa się bambus – wmieszała się do rozmowy Miriam.

 Dora uśmiechnęła się zwycięsko. Greb czasami też się mylił.

 Niewolnice pod kierownictwem Mudry już zaczęły wycinać łuki. Ta świetnie znała się nie tylko na pałkach. Gdy zaczęły szukać czegoś na cięciwy, Greb dał im zwój… nawet nie wiadomo, czego. Nić nie nić, sznurek nie sznurek. Cienkie i bardzo, bardzo mocne. Nawet ostry nóż ciął to z trudem. A jeszcze Greb powiedział, że jest odporne na wilgoć. Idealna cięciwa.

 Z medalionu Miriam rozległy się jakieś dźwięki. Zrobiła coś i dźwięki stały się głośniej­sze. Ray mruczał pod nosem przekleństwa. Dochodził też stuk kopyt, szum liści, czasem ocieranie się o siebie gałązek. Raz rozległo się muczenie krowy. Ray źle klął, wybierał naj­bardziej grubiańskie przekleństwa i często się powtarzał. Dora umiała to lepiej. Mężczyźni jednak uważnie słuchali, Kris nawet powtarzał niektóre wyrażenia, a Miriam czasem go po­prawiała. Dorze chciało się śmiać, choć było jej też wstyd: mogliby nauczyć się od niej. Przekleństwa szybko się urwały, ale stuk kopyt i szelest liści trwały jeszcze z godzinę. W końcu Ray powrócił.

 Zanim zdążył pojawić się na drodze, Mudra już zrobiła sobie znakomity łuk i zaczęła robić groty strzał, a pozostałe niewolnice zepsuły dwa półwyroby i skutecznie psuły następne.

 – Objechałem fort naokoło – zakomunikował Ray. – Wojownicy odeszli, można w nim przenocować.

 – Nie wrócą? – Zainteresowała się Miriam.

 – Nie mają po co wracać.

 Dora wydała rozkaz, konaki z powrotem objuczono, karawana ruszyła. Ray jechał na przodzie, obok Dory, ponury i milczący przez całą drogę. Gdy zza zakrętu ukazał się fort, Dora krzyknęła i zatrzymała się. Za nią posłusznie zamarła cała karawana.

 – Co tam? – Greb dał konakowi ostrogę i podjechał do czoła kolumny.

 – Można jechać dalej – odrzekł Ray.

 – Tak, można – potwierdziła Dora i poruszyła cuglami, choć jej serce biło na trwogę.

 Wartownicze wieżyczki fortu były puste. W czasie dziesięciu lat karawany Dora nieraz widziała puste wieżyczki, zgliszcza, resztki ciał wojowników zabitych między domami, ale ten fort na oko był zupełnie cały. Kształtem przypominał literę T z długą poprzeczką i krótką nóżką. Wzdłuż poprzeczki ciągnęły się domy mieszkalne. To była główna ulica. Wzdłuż nóżki stały zabudowania gospodarze, męski dom, baraki wspólnych niewolnic. W środku ulokowany był niewielki okrągły placyk. W miejscach, gdzie kończyły się ulice, stały wieżyczki strażnicze. Fort otaczały ogrody i pola uprawne. Wszystko wyglądało nor­malnie, jak zawsze i wszędzie. Tylko wieżyczki były puste i na ulicach nie było nikogo.

 Karawana wjechała do fortu w przerażającej ciszy. Nie, ten fort nie był wymarły. Muczały krowy, drób chodził między domami, gdzieś beczały owce. Dora zobaczyła twarzyczkę przerażonego dziecka, przylgniętą do okna, usłyszała stuk zamykanych okiennic. Trupów nie było. I nie pachniało trupami.

 – Dzisiaj dzień wolny czy co? A może tu zawsze tak pusto? – zapytał Kris.

 – Nie – zaprzeczyła Dora i podniosła rękę. Kris zamilkł.

 Wjechali na centralny plac, Dora zatrzymała karawanę i rozejrzała się. Śladów na ziemi było dużo i pozostawiono je nie dawniej, jak wczoraj.

 – Jest tu ktoś żywy?! Wychodź! Będziemy handlować! – krzyknęła Dora.

 Z najbliższego domu wyszedł tęgi jednoręki mężczyzna. Prawej ręki nie miał aż po ramię, z okaleczonej lewej dłoni samotnie sterczał duży palec.

 – Jakiż tu handel, na psie flaki?! – krzyknął – Nie widzicie czy co?

 – Chcielibyśmy u was przenocować i wynająć wojowników – wyjaśniła Dora.

 – Karawanseraj wolny, nocujcie. A z wojowników jestem tylko ja i dzieci. Wojowników nie ma. Wszyscy odeszli.

 Z domów wyszły kobiety, otoczyły przybyłych milczącym kołem. Podeszły niewolnice męskiego domu i baraków. Dora kazała swoim obejrzeć karawanseraj i umieścić w nim konaki na noc. Jej energiczne, rzeczowe niewolnice dziwnie kontrastowały z apatycznymi miejscowymi. Przez rozładunek karawany opuściła początek rozmowy, ale Miri go jej streściła. Prawie to samo, co z karawaną. Do fortu przybył wielki oddział. Dowódca rozmawiał pojedynczo ze wszystkimi mężczyznami po kolei – ze wszystkimi, kto mógł nosić broń. Po czym wszyscy, zapominając o obowiązku wobec fortu, przyłączyli się do oddziału. Zabrali ze sobą najlepszą broń, najlepsze konaki, dwie niewolnice męskiego domu, kilka najbardziej pracowitych niewolnic baraków i odjechali. Wojownicy z oddziału zachowywali się w forcie dobrze, nie rozrabiali. Nie ruszali wolnych kobiet i dziewczyn, nie wybijali na próżno bydła. Zabili tylko tyle zwierząt, ile zjedli, i wszystkie z ogólnospołecznej własności, nie grabili domów i we wszystkim słuchali swoich komendantów.

 Greb i Kris znowu zaczęli swój niekończący się spór o hipnozę i telepatię, Ray przez jakiś czas ich słuchał, po czym splunął pogardliwie i poszedł do Miriam, która pytała kobiet, czy przywódca oddziału nie wziął sobie w pościel którejś z miejscowych. Okazało się, że wziął – młodą i piękną niewolnicę z domu. Bardzo mu się podobała i wziął ją ze sobą, z czego ona także była zadowolona. Miriam, nie wiadomo dlaczego, zmartwiła się.

 Dora wróciła do karawanseraju, zebrała niewolnice i opowiedziała im, co zaszło w forcie, po czym kazała Mudrze iść ze sobą i poszła oglądać fort. Niewolnice męskiego domu były przerażone, gdyż mężczyzn w forcie już nie było i czekały je baraki. Niewolnice baraków popadły w przygnębienie, gdyż z odejściem mężczyzn odeszły też ich nadzieje na trafienie z baraków do domu. Dora odszukała matkę. Ta od rana piła mocne piwo i roniła łzy. Dora kazała Mudrze przyprowadzić cztery najsilniejsze kobiety. Te, na jej rozkaz, rozebrały matkę, związały jej ręce i wsadziły ją głową na dół do beczki z lodowatą studzienną wodą. Gdy nogi matki przestały się ruszać, Dora kazała wyjąć nieszczęsną z beczki, podwiesić głową na dół i ocucić. Woda i piwo trysnęły z ust jak z fontanny. Po pięciu minutach matka przyszła do siebie, słaba, ale trzeźwiuteńka. Dora kazała przywiązać ją do słupa kar.

 – Krowy niedojone! – Bicz ze świstem pierwszy raz spadł na plecy kobiety. – Owiec nikt nie wyprowadził na pole! – Obok pierwszej krwawej pręgi pojawiła się druga. – Niewolnice nienakarmione! – Trzecia.

 To już było pewną przesadą. Korzystając z przypadku, niewolnice same o siebie nieźle zadbały, od czego i krowom zrobiło się lżej, choć surowe warzywa z mlekiem prosto od krowy to nie najlepsza kombinacja. W ogóle niewolnice w forcie żyły lepiej niż w mieście. Nikt im też nie wstawiał pierścieni w piersi, bo i po co? Gdzie tu uciekniesz? Las nie miasto, znajdą.

 – Pani, nie trzeba więcej. Wszystko zrozumiałam – zaczęła błagać matka. Dora kazała ją rozwiązać i oddała bicz. Matka zaczęła wydawać rozkazy, wzmacniając je uderzeniami.

 – Pozwolisz, że zapytam, kim jesteś, pani? – poprosiła matka, kiedy robota zawrzała.

 – Kepten Dora. Zatrzymamy się w waszym forcie na noc.

 – Nie jesteś z tamtych, wczorajszych? – upewniła się natka.

 – Nie. – Dora w zamyśleniu obejrzała ją od stóp do głów. Ta skuliła się. – Źle się zachowałaś. W karawanie tak nie robią. Gdy kepten zginie, od razu ktoś go zastępuje. A ty się upiłaś.

 – Ale przecież…

 – Od czego jesteś matką? Bez chłopów nie wiesz, co robić? Przecież to ty utrzymujesz cały fort! Mężczyźni potrafią tylko machać mieczami, a całą pracę wykonują twoje baby. Wybierz najrozsądniejsze kobiety i wyślij na wieżyczki.

 – Przecież zabiją…

 – Kto, idiotko? A jeśli zaury pójdą na pola, co zrobicie w zimie? Zrozumiałaś, tępa babo?! Tak właśnie wszystkim powiedz. Jesteś teraz najważniejszą osobą w forcie. Nie mów tego nikomu, gdyż wolne debilki mogą się obrazić, ale cały czas o tym pamiętaj, jasne?!

 – Zrozumiałam, pani.

 – I nie zapomnij o kuźni. Też jest w twoim gospodarstwie.

 – Przecież nikt nie umie…

 – A co, tam nie ma niewolnic?

 – Są, oczywiście, że są. Ale nie z baraków Nie moje.

 – Będą twoje. Mianuj je kowalami i daj do pomocy parę najsilniejszych. One widziały, jak mężczyźni kują, więc teraz niech same machają młotami.

 – Pani, ja nie mam takiej władzy.

 – Rób, co powiedziałam! – ryknęła na nią Dora, odwróciła się i odeszła szybkimi krokami.

 Miriam znalazła szybko. Należało tylko zajrzeć do pokoju, skąd dochodziły głośne, niezadowolone odgłosy sporu Greba z Krisem. Miriam siedziała i słuchała uważnie. Ray, wygodnie rozparty w fotelu, popijał piwo. Podobnie jak Dora, nic z tego sporu nie rozumiał i nie mieszał się do niego.

 – A, Dora, chodź no tutaj – zawołał ją Greb. – Odpowiedz na pytanie. Przypuśćmy, że twoja karawana ma przewieźć wełnę. Czy możesz z tej wełny skręcić nitki i zrobić skar­petki?

 – Jeśli karawanę wynajęto do przewozu wełny, to nie.

 – Słyszysz, co mówi mądra kobieta? – ryknął Greb.

 – Zaczekaj, panie. Ale gdybym to ja kupiła tą wełnę i karawana utkwiłaby gdzieś w górach na całą zimę, to czemu nie? I niewolnice mają co robić, i skarpetki można sprzedać drożej.

 – Ha! –zawołał Kris.

 – Tu mamy pierwszy przypadek – oburzył się Greb. – Kazano nam **znaleźć** przygłupa. Cała reszta nas nie dotyczy, nawet, jeśli on nie jest telepatą, tylko zwykłym hipnotyzerem.

 – Ale ty wiesz, do czego on jest potrzebny.

 – Wiem, wiem. Ale chcę pozbyć się tego. – Greb postukał palcem po grubej metalowej bransolecie na prawym nadgarstku. – I właśnie w tym celu muszę znaleźć człowieka, który **może być** telepatą. Koniec. Na tym moje zadanie się kończy. Reszta to już nie moja sprawa.

 – I ciebie zupełnie nie wzrusza, po co my to robimy?

 – Wzrusza. Ale nie aż tak, jak ciebie. Miriam jest sterylna, dzieci nie będziemy mieli, więc pozytywne aspekty mnie nie dotyczą. A z negatywnych stała konieczność noszenia bransolety nie jest aż tak ciężkim problemem, żebym nie mógł odmówić wykonania zadania.

 Dalej Dora nie słuchała mężczyzn. Przestali krzyczeć i teraz spierali się spokojnie.

 – Miri, co ja mam robić? – pożaliła się.

 – A w czym problem? – Zainteresował się Kris. Dora opowiedziała.

 – Masz tyle władzy, ile bierzesz na siebie – zaprzeczył Greb. – Jesteś tu nowa, nikt cię nie zna, nikt nawet o tobie nie słyszał. Będziesz tym, kim sama siebie wyznaczysz. Pamiętaj jednak, że na całą rewolucję masz zaledwie dobę. Działaj więc śmiało, my ciebie poprzemy.

 – Więc mogę dać obrożę obcej niewolnicy?

 – Wszystko, co zechcesz, głuptasko.

 – Żelazną?

 – A choćby i złotą. Masz nawet przewagę: według waszych durnych zwyczajów mężczy­zna nie daje dwu obroży, ale o kobietach tam nic nie ma. Wykorzystaj to.

 – Chcę zrobić jak najlepiej, ale to niezgodne z prawem.

 – A kogo tu teraz obchodzi prawo? Te płaczące baby? Dobro powinno być z pięściami. Zapamiętaj to.

 – W takim razie wezwę wszystkich na zebranie. – Dora chciała wyjść. Greb ją zatrzymał.

 – Czekaj, jeszcze za wcześnie. Trzeba przygotować opinię społeczną. Zajmij się tym, Miri.

 – W jakim aspekcie, kochany? Dziel i rządź czy polityka kija i marchewki?

 – Kija i marchewki. Chociaż na marchewkę nie starczy czasu, więc po prostu zastraszaj. Poinstruuj niewolnice, niech potargują się przy studni. Poćwicz na placu z Mymrą.

 – Ona nazywa się Mudra – poprawiła Miriam już w drzwiach.

 – Mamy do zachodu cztery godziny. Zdążymy? – Zainteresował się Kris.

 – Chodźmy, pomożemy. Opowiemy miejscowym, jak ona w mieście komenderowała strażą. Niewolnice tego nie widziały, nie będą mogły opowiedzieć. Ray, nie słyszałeś, jak jej w nocy otworzyli bramę miasta? Chodźmy, opowiem. A ty, Dora, siedź tu i nie wychodź nigdzie przez dwie godziny.

 – Słucham, panie.

 Mężczyźni wyszli, Dora została sama. Usiadła przy oknie i zamyśliła się nad tym, jak zmieniło się jej życie w ciągu ostatniego miesiąca. Napad na karawanę, zabójstwo dwóch rabusiów, targ niewolnic, uratowanie dziewczyn, nocna gonitwa po mieście, a teraz ten oddział, który wsysa w siebie wszystkich mężczyzn. Wystarczyłoby tego na rok spokojnego życia karawaniarki. A co ją czeka w przyszłości? Zburzone miasta, spalony Set… Co robić?

 Wesoło szczebiocząc, przebiegły pod oknem jej dziewczyny. Za nimi, prowadząc oży­wioną rozmowę, szły Miriam i Mudra. Dziewczyny rozdzieliły się na dwie grupy i rozeszły się na końce fortu. Miriam wyłamała z jakiegoś płotu dwa kołki, jeden rzuciła Mudrze i za­częły jedna drugiej pokazywać zasady walki. Dookoła zebrało się kilka kobiet i mnóstwo dzieciarni, zasłoniły je. Dora odeszła od okna. I tak Miriam będzie niedługo wyciskała z niej siódme poty, ucząc zasad walki.

 Na piersi Dory zatrzepotał medalion, więc szybko go wyjęła.

 – Wychodź. Ogłosiliśmy już ludziom, że zwołujesz zebranie – zakomunikował jej Kris.

 – Idę. Koniec połączenia – odkrzyknęła Dora, ubrała czarną skórzaną kurtkę męża, przyczesała grzywkę, poprawiła miecz i kindżał u pasa.

 Na wieżyczkach strażniczych nieumiejętnie zatrąbiono w rogi, Dora wyszła na plac.

 – Zebranie ogólne, zebranie ogólne! – zaczęły krzyczeć niewolnice na wieżyczkach, gdyż żadnej z nich nie udało się odtrąbić prawidłowo sygnału.

 Kobiety pociągnęły na plac w centrum fortu, gdzie zebrały się osobno wolne, osobno, nieco z boku, niewolnice. Kris i Greb przynieśli z najbliższego domu stół, ustawili pośrodku placu.

 – Po co? – Zdziwiła się Dora.

 – Właź na stół, będziesz lepiej widoczna.

 Dora posłuchała rady. Obrzuciła wzrokiem zebranych. Nie wiadomo po co wysunęła miecz z pochwy do połowy i z trzaskiem wsunęła go z powrotem,.

 – Zebrałam was, ponieważ same nic nie kapujecie – zaczęła. – Będziecie robiły wszystko tak, jak ja powiem. Przez pół doby na wieżyczkach nie było nikogo. Kazałam matce wysłać niewolnice na wieżyczki, gdyż wy, nierozgarnięte, o tym nie pomyślałyście.

 – Masz chory rozum! Dopiero co przyjechałaś, a już zaczęłaś komenderować. Poczekaj, kiedy dziewki zlezą z wieżyczek, ja im plecy batem ogrzeję! – Rozległo się z tłumu kobiet.

 – A jeśli zaury pójdą na pola? – zapytała Dora.

 – A co ciebie obchodzą nasze pola? Żyliśmy bez ciebie, i pożyjemy dalej!

 – Sama nie myślisz i innym nie dajesz! Twoje miejsce jest w barakach, a nie na zebraniu! – Zdenerwowała się Dora i aż otworzyła usta ze zdumienia.

 Ray, rozpychając kobiety, ciągnął już złośliwą staruchę do jej stołu. Dociągnął, zdjął z niej obrożę i rzucił na stół, a samą kobietę – twarzą w kurz na ziemi.

 – Słusznie, kepten, tak z nimi trzeba! – pochwalił Dorę i zwrócił się do kobiet: – A wy co tak hałasujecie? Kepten powie słowo i każda z was może stracić głowę!

 Dora spróbowała wybrać radę przewodniczących klanów, ale nic z tego nie wyszło. Żony przewodniczących nie miały należnego autorytetu. Żadna kobieta nie chciała się podporządkować innej. Krzyczały, klęły, nawet się pobiły. W rezultacie pod nogami Dory leżały jeszcze dwie obroże i jeszcze dwie kobiety jęczały, opłakując swój los w kurzu pod stołem.

 – Matka! Do mnie! – wykrzyknęła Dora. Z tłumu niewolnic wybiegła kobieta, stanęła przed Dorą, która pomogła jej wejść na stół. – Daję ci obrożę, będziesz matką nad wszystkimi wolnymi kobietami. – Wzięła jedną z obroży leżących na stole i zapięła na szyi kobiety.

 – Dziękuję ci, pani! Ale nie obrażaj Bezręka – wyszeptała matka. – On jest cichy, ale jego głosu słuchali wodzowie klanów.

 – Słusznie mówisz – odszepnęła jej Dora, po czym wyprostowała się, uniosła nad głowę miecz i krzyknęła: – Słuchajcie, co powiem! Słuchajcie i nie mówcie, że nie słyszałyście! Przywódcą fortu mianuję Bezręka, a pierwszym jego pomocnikiem matkę. Matka teraz jest wolna. Tych, które nie będą jej słuchać, postawi na noc przy słupie kar jak zwykłe niewolnice! Zrozumiałyście? Koniec zebrania.

 Zeskoczyła ze stołu i poszła do karawanseraju. Konaki były nakarmione i wyczyszczone, towary dokładnie ułożone na pomoście pod ścianą. Po chwili przyszła matka.

 – Pani, co mam zrobić z babami, z których zdjęłaś obroże?

 – Postanów sama. Jeśli chcesz, możesz nawet im je zwrócić. Ale nie dzisiaj, a dopiero po moim odjeździe, na kolejnym zebraniu. Wtedy będą cię poważać, poczują twoją siłę. Ale kochać cię nie będą i nie pozwól im siebie kochać, bo przestaną cię słuchać. A na przekleństwa nie zwracaj uwagi. Psy szczekają, a karawana jedzie dalej, zrozumiałaś?

 Matka odeszła, a Dora pogłaskała konaki po pyskach i pobiegła szukać Greba.

 – Mądra z ciebie kobieta – pochwalił ją Greb i zatrzasnął medalion.

 – Panie, ależ ja nie wiem, co robić.

 – Znowu? Połóż się, pośpij. Przejdzie ci.

 – Mówię o karawanie…

 – Rozdaj kobietom obroże i niech zamieszkają w forcie.

 – Tak nie można! – Dora omal nie krzyknęła. – Karawany muszą jeździć!

 – A jeśli nie będą, to co? Świat zginie?

 – Tak. Nie od razu, ale zginie – zapewniła gorąco Dora. – Panie, wyobraź sobie Sekon. Tu miasto, tam miasto, między nimi wiele dni drogi. Nawet forty są dość daleko jeden od drugiego. A między nimi chodzą karawany. Przecież my nie tylko wozimy towary. Jeśli nie będzie karawan, jak ludzie dowiedzą się, co się dzieje w świecie? Każdy zamknie się w swoim małym światku. Jedno miasto produkuje to, inne tamto – jak będą handlować ze sobą? Sprowadzane produkty skończą się, najprędzej w fortach, w jednym szybciej, w drugim wolniej. Zaczną się wojny, ludzie będą umierali z powodu drobiazgów w rodzaju garsteczki soli. A potem będzie jeszcze gorzej, zaczną mówić różnymi językami, tu jednym, tam innym. Już teraz w najdalszych fortach przekręcają słowa. Wyobraź sobie: ludzie spotykają się i jeden drugiego nie może zrozumieć. To będzie koniec wszystkiego, nic gorszego nie można wymyśleć. Mało kto to rozumie, rzadko się o tym mówi, ale cały świat trzyma się na karawanach.

 – Sama doszłaś do tego, Dora? Własnym rozumem? – zapytał Greb poważnie.

 Dora spojrzała po kolei na twarze słuchaczy. Nikt się nie uśmiechał.

 – Nie – przyznała. – Stary kepten mi to wyjaśnił. Byłam wtedy jeszcze głupia. Nie umiem mówić tak gładko jak on, ale przecież tak jest. Wiele lat rozmyślałam nad tymi słowami.

 – Dora, to wszystko, co powiedziałaś, w zasadzie się zgadza. Gdzieniegdzie przesadziłaś, kilku aspektów nie wymieniłaś, ale to nieważne. Ale, jak sama widzisz, mężczyzn w forcie nie ma. Nie możemy wynająć ochrony dla karawany. I jestem pewny, że dalej będzie to samo. Wierz mi, najlepiej będzie, jeśli twoje karawaniarki zostaną w forcie – powiedział Greb.

 – Ja poprowadzę karawanę do Setu, a potem was odnajdę – zgłosił się nieoczekiwanie Ray.

 – Jeden wojownik na całą karawanę – zdumiała się dotąd siedząca cicho w kącie i szyjąca coś, ale wszystko słysząca Mudra.

 – W karawanie Telima też jest jeden mężczyzna i osiem niewolnic – zauważył Kris.

 – Nie, trzy niewolnice i pięć wolnych kobiet z łukami. Dałam swoim obroże – zaprzeczyła Dora, podczas gdy Miriam zaczęła instruować Raya, jak posługiwać się medalionem. O jutrzejszym wyjeździe wszyscy mówili już jak o czymś postanowionym. Gdy instruktaż się skończył, Dora odprowadziła Miriam na stronę:– Miri, ja i tak nie wiem, co robić. Ray nie jest karawaniarzem, a matki nie ma i nie mam kogo wyznaczyć. One umieją tylko słuchać.

 – A Mudra?

 – Przecież ona jest twoja. I nie można z niej spuścić oczu, bo zaraz ucieknie szukać swojego Nikity. A wiesz, co robią z uciekinierkami? To przerażające! Nie możemy jej teraz puścić.

 – Obiecaj jej, że Telim włoży na nią skórzaną obrożę, wtedy nigdzie nie ucieknie.

 – Tak też się nie da. Będzie moje dziewczyny obrażała, pobije Norik, sama zostanie matką. Nie, Miri, ja muszę z nimi jechać.

 – Dora, posłuchaj mnie. To, co my robimy, jest o wiele ważniejsze niż jedna karawana. Pomogłam ci, kiedy chciałaś uciec w mieście, ale wtedy był czas. Teraz czasu nie ma, a ty jesteś nam potrzebna jak powietrze. Greb dokładnie obliczył, gdzie zarodziła się horda, i usiedliśmy na jej ogonie. Teraz, póki jest jeszcze mała, łatwo do niej przeniknąć, później to stanie się niemożliwe. Jesteś wolna, sama możesz decydować, gdzie jechać i co robić, ale my bez przewodnika nie damy sobie rady.

 – Nie chcę takiej „wolności”, która pęta mi nogi jak konakowi.

 – Słuchaj, dziewczyno, już wiem, co zrobimy! Wyślemy Mudrę z karawaną, a potem niech wróci do nas z Rayem i wtedy damy jej obrożę. Podoba ci się? – Dora skinęła głową – Zaraz powiem Mudrze, co potrzeba, a ty przy tym milcz. Chodź tutaj, Mudra! – I, kiedy ta, porzuciwszy szycie, podbiegła i usiadła koło nich: – Dora namawia mnie, żebym podarowała ci obrożę, ale ja mówię, że nawet na skórzaną trzeba zasłużyć. Chcesz na nią zasłużyć?

 – Tak, pani – przemówiła niewolnica zmartwiałym głosem.

 – W takim razie jedź z karawaną do Setu. Postanowiłyśmy z Dorą wyznaczyć ciebie na matkę. Znajdź w Secie keptena Telima, przekaż mu karawanę i wróć tu razem z Rayem. Jeśli dasz sobie z tym radę, dostaniesz skórzaną obrożę.

 – Poradzę sobie! Tego Telima znajdę nawet na dnie morza! Dziękuję, pani!

 – Dziękuj Dorze, a nie mnie.

 Do wieczora chyba wszystko omówili. Napisali dwa listy do Telima, jeden dali Mudrze, drugi Rayowi. Greb dał Rayowi na związane z karawaną wydatki dwadzieścia złotych monet. A rano Ray znikł. Jego konak stał w boksie, jego rzeczy leżały na miejscu, ale jego samego nie było. Niewolnice już przygotowały karawanę, Greb i Kris byli wściekli, dziewczyny się denerwowały. Nerwowy nastrój udzielił się nawet koniom. W końcu…

 – Idzie, cholera! Jak to się tu mówi, z towarem… – Greb dodał siarczyste przekleństwo.

 Ray niósł na ramieniu młodziutką zapłakaną dziewczynę. Biedaczka miała na sobie tylko krótką spódniczkę. Zatrzymał się przed Dorą, położył na chwilę swoje brzemię na ziemi, po czym trzymając je za włosy, podniósł do klęczek, z zadartą ku niebu zapłakaną twarzyczką.

 – Ray powiedział, że Dora będzie miała dwie najlepsze niewolnice, i Ray dotrzymuje słowa. Oto pierwsza! Najlepsza w tym forcie i w promieniu stu kilometrów od niego. Podoba się?

 Dora z przerażeniem spojrzała na sympatyczną, mokrą od łez mordeczkę. Dziewczyna była naprawdę młodziutka, może nawet jeszcze nie w pełni dojrzała.

 – Chciałem, żeby babka wykłuła na jej ramieniu napis – Ray zaczął pokazywać, wodząc palcem – Tu – znak karawany. Poniżej: „Keptenowi Dorze od Raya” i pod napisem też znak karawany. Ale pech chciał, że nakłuwaczka nie umie w ogóle pisać, a ja umiem czytać, ale, kiedy piszę, litery mi się mylą.

 – Ray, coś ty narobił! My musimy jechać bez bagażu! Greb zabroni mi ją wziąć ze sobą! – zawołała Dora. Ray z zakłopotaniem podrapał się w kark – Zdążyłeś zrobić z nią rytuał?

 Biedaczek zmieszał się do tego stopnia, że aż poczerwieniał.

 – W ogóle to… niezgodne z regułami, ale pomyślałem, że możesz ją zechcieć podarować Krisowi. Ale ty nie myśl… Ona i bez rytuału zgodziła się zostać twoją niewolnicą, przysięgła na imię swojej matki. Ale tak, jeśli trzeba… Jeśli wypada, to ja zaraz… Ja szybko… –Śmiesznie rozkładał ręce, nie wiedząc, co z nimi zrobić.

 – Ray, kochaniutki, nie trzeba teraz! Teraz ją wypuścimy, oddamy jej obrożę, a w drodze powrotnej mi ją podarujesz, dobrze?

 – Jak chcesz, ja ci ją przyniosłem. – Kompletnie zmieszany olbrzymi wojownik kilka razy wzruszył z konsternacją ramionami, poszedł siodłać konaka i po dwu minutach karawana była już w drodze.

 A mały oddział Greba wyjechał dopiero po godzinie. Najpierw pocieszali i ubierali dziewczynę, potem musieli zaprowadzić ją do domu i potwierdzić przed wszystkimi, że pozostała wolna i nietknięta. Odprowadzały ich niespokojne spojrzenia zza na wpół otwartych okiennic. Tylko matka i niedoszła niewolnica szły z nimi do ostatniego domu, a niewolnice z wieżyczki długo machały im na pożegnanie.

**PATROL**

 Dzień minął spokojnie, a nazajutrz pod wieczór spotkali kolejny fort bez wojowników. Co prawda, w tym forcie było około dziesięciu starców, ponadto czterech młokosów wróciło rano z wypadu na tabuny sąsiadów, kradnąc im kilka koni. Dorze wydało się, że między Grebem a Krisem i Miriam miał miejsce krótki, bezdźwięczny, ale ostry spór. Zwyciężyła większość.

 – Znowu ingerencja! – Greb stuknął pięścią w łęk siodła. – Przeorzemy historię. Rozerwiemy pierścień.

 – Przecież nikt nie wie, co tu przed wojną było. Kroniki przepadły w wojnie. To znaczy, że mogło być wszystko, co zechcesz – odrzekł Kris.

 – Dobrze, do jutrzejszego rana róbcie sobie to wszystko-co zechcesz.

 Dora czuła, że ta krótka rozmowa wiąże się jakoś z nią, ale jak? Nie domyśliwszy się, nieśmiało przedstawiła swoją prośbę. Miriam i Kris ją poparli. Greb ze smutkiem spojrzał na nią, na Krisa i zwołał radę mężczyzn – trudno było nazwać ją radą wodzów klanów, gdyż kimś w rodzaju wodza był tam tylko Greb, a on był obcy. Opowieść o porządkach, jakie Dora zaprowadziła w sąsiednim klanie, przyjęto z niedowierzaniem, zwłaszcza wśród młodzieży, aż Miriam zakomunikowała, że młodzież obraziła keptena Dorę i wszystkich czterech wyzwała na pojedynek. Naradę trzeba było przerwać. Miriam wzięła do każdej ręki po mieczu i w trzy minuty wygarbowała skórę całej czwórce, bijąc ich tylko nogami i łokciami, a mieczami odbijając ich miecze. A po walce przeprosiła chłopców i szepnęła, że nie zrobiła tego złośliwie, tylko po to, żeby Dora ich nie wyzwała. Dora nie będzie żartowała, jest cierpliwa, ale kiedy już ją zdenerwują, może im zdjąć głowy.

 Naradę wznowiono. W pryncypiach nie było zastrzeżeń, nie chciano tylko pozwolić niewolnicom baraków na dyżury na wieżyczkach. Gdy jednak Kris wykazał, że na cztery wieżyczki potrzeba ośmiu dyżurnych i jeszcze dwie ósemki na zmianę – a skąd tylu wziąć? – z ciężkim sercem się zgodzono.

 Zwołano społeczność. Zebranie minęło spokojnie, gdyż prowadzili je swoi mężczyźni. Przy każdej okazji powoływano się na sąsiedni fort. Kobiet nie dopuszczano do głosu, niezgadzające się – i stojące koło nich – przekonywano biczem. Jeden ze starców włożył na matkę żelazną obrożę. W sumie, jak powiedział Kris, znaleziono konsensus i demokracja zwyciężyła.

 W nocy Greb długo siedział przy mapach. Gdy wreszcie chciał pójść spać, odkrył, że jego miejsce koło Miriam zajęła Dora. Wtuliła się twarzą w ramię jego żony i słodko spała.

 – A cóż to za zabawa w lesbijki? – zapytał szeptem.

 – Ciszej, bo ją obudzisz – odezwała się Miriam. – Obraziłyśmy się na Krisa. W dzień droczy się z nią, że ciekawska, a w nocy nazywa Tavią.

 – To jej problemy. A co ja mam do tego? Chcę spać. Gdzie mam się położyć?

 – Greb, kochanie, jesteś przecież dorosłym człowiekiem. Pościel sobie gdziekolwiek.

 Rano Ray zakomunikował przez bransoletę, że wieczorem siedmiu ludzi poszukiwało karawany keptena Telima. Jeden z nich nie miał prawej dłoni. Dora przeraziła się.

 – Ray, Ray, dogoń ich i powiedz, że kepten Telim za miesiąc będzie w Aachen! Niech jadą do Aachen i tam czekają! Dogoń ich obowiązkowo!

 – Czy to bardzo ważne?

 – Sprawa życia i śmierci.

 Nastąpiła długa pauza.

 – Dora, a ja mogę zamiast nich pojechać do Aachen?

 – Nie! W żadnym wypadku! Ani myśl! Ciebie tam zabiją. Niech oni tam jadą!

 – A ich tam nie zabiją?

 – Zabiją! Obowiązkowo zabiją! Mam nadzieję. Może nie wszystkich, ale część na pewno!

 – Dora, oni nie zdołają pojechać do Aachen – w głosie Raya czuć było autentyczną ulgę. – Zaczęli twoim babom drzeć odzież i szczypać cycki, więc te rozzłościły się, obraziły, a potem zaczęły się awanturować. No i musiałem im pomóc. Trzech, którzy nie umarli od razu, zakopały żywcem w ziemię. Mówią, że tak trzeba było. No i mamy już czterdzieści sześć konaków.

 – Zabiliście ich wszystkich?

 – A co miałem zrobić, jeśli twoje baby złapały za łuki? Naszpikowały strzałami, ale to są strzały bez grotów, głęboko się nie wbiją. Jeden dostał w oko, dwóch zabiłem mieczem, jednemu Mudra nogi pałką połamała. Pozostałych zabiły czym popadło. Teraz boczą się na mnie, nie chcą ze mną gadać.

 – Wszystkie moje są całe, Ray?

 – A co im ma być? Wychłostałem je trochę, żeby nie chwytały za broń, to się szybko zagoi. A one postanowiły się na mnie obrazić. Jak nie przestaną, wieczorem znowu je spiorę.

 – Ray, milutki, nie trzeba je karać. Trzeba je pochwalić. Zabiły ludzi, którzy rozgrabili moją karawanę.

 – Chwyciły za broń bez pozwolenia. A ty je rozpieszczasz, Dora. No dobrze, nie będę ich bił. Do wieczora.

 Wyjechali w bardzo ponurym nastroju. Greb pokłócił się z Krisem, Dora była przejęta zajściem z karawaną, w dodatku z nieba mżył drobny, zimny deszcz i droga stała się śliska. Siedzieli posępni i chyba dlatego zobaczyli oddział dopiero zetknąwszy się z nim nos w nos.

 – Pojedziecie z nami – rzekł jeden z wojowników. – Będzie z wami mówił Wszechmogący.

 Pozostali rozjechali się, okalając oddziałek Greba. Było ich około dziesięciu.

 – Kto dowodzi? – zapytał władczo Greb.

 – Ja – odparł wojownik. – Wszechmogący zaprasza was w gości. Chce z wami rozmawiać.

 – Ze mną? Więc niech tu sam przyjedzie.

 – On rozmawia ze wszystkimi spotykanymi. Zbiera armię i zaproponuje wam wstąpienie do niej. A wstąpienie do armii Wszechmogącego to wielki honor dla każdego wojownika.

 Po tych słowach cała dziesiątka wojowników obnażyła miecze i trzykrotnie wykrzyknęła

 – Chwała Wszechmogącemu!

 Greb zszedł z konaka i podszedł do dowódcy.

 – Dlaczego jesteś w siodle, kiedy ja stoję przed tobą? – zapytał.

 Nie czekając na odpowiedź, błyskawicznym ruchem wyjął z pochwy swój niezwykły miecz z małą owalną gardą i kontynuując ten ruch, pozornie słabym uderzeniem zdjąłz konaka głowę z szyją przy samym ciele. Z przeciętych żył chlusnął strumień krwi, ciało miękko zwaliło się na bok. Wszystko stało się tak szybko i nieoczekiwanie, że jeździec nawet nie zdążył wyjąć nogi ze strzemienia i teraz daremnie próbował wyciągnąć ją spod bezgłowej tuszy. Dora zamarła z otwartymi ustami. Wiedziała, jak trudno przeciąć lekkim mieczem gęstą grzywę. Nawet w rzeźniach mało komu udaje się odciąć głowę konaka jednym ciosem ciężkiego rzeźniczego tasaka. A Greb już wracał do swojego konaka jakby nigdy nic.

 – Miri, chciałaś się rozgrzać. Możesz się rozruszać, ale nie zabijaj.

 – Dziękuję, kochany – odpowiedziała dziewczyna i zeskoczyła z konaka. – Hej, no, co tak stoicie? Kto przeciw mnie? Spróbujcie wszyscy razem!

 Dwa miecze w jej rękach ze świstem zataczały ósemki. Jeden z wojowników zszedł z konaka i ruszył jej naprzeciw z wyciągniętym w przód mieczem. Miriam uderzyła po mieczu z obu stron, jakby zamierzała klasnąć w dłonie. Rozległ się brzęk i klinga wojownika przełamała się na pół. Dziewczyna cofnęła się o dwa kroki.

 – Powiedziałam: wszyscy razem. Co, mam się z wami pojedynczo cackać?

 Wojownicy zeszli z konaków, obnażyli miecze i otoczyli Miriam półkolem.

 – Zaczynamy! – zawołała dziewczyna i rzuciła się do ataku.

 Zadzwoniły miecze. Ktoś potoczył się po trawie, czyjś miecz wyleciał wysoko w powietrze. W następnej sekundzie przerzuciła przez siebie wojownika, a ten obalił dwóch innych. Równocześnie kopniakiem w pachwinę podrzuciła innego wojownika w powietrze, po czym rzuciła się na ziemię. Dwaj wojownicy zderzyli się nad nią, a ona, prostując się jak sprężyna, odrzuciła ich w różne strony. Plecy dziewczyny zabarwiły się na krwistoczerwono. Jeszcze jeden miecz, zatoczywszy łuk, poleciał pod kopyta konaka Dory. Jego rękojeść ciągle jeszcze ściskała ręka, odcięta w nadgarstku. Miriam objęła kolejnego wojownika w talii, zakręciła nim i z półobrotu rzuciła nim w drugiego, trzeciego uderzyła w zęby rękojeścią miecza, czwartego kopnęła z wyskoku w pierś. I zamarła z szeroko rozstawionymi nogami. Nie było już z kim walczyć, tylko ona jedna stała na nogach. Pozostali kurczyli się na ziemi, rycząc, jęcząc i klnąc. Dora rozejrzała się po polu walki. Dwóch umierało: jeden przebity mieczem na wskroś, drugi z przeciętym obojczykiem. Jeszcze jeden przyciskał do brzucha kikut ręki.

 – Kazałem ci nie zabijać. Dlaczego nie posłuchałaś? – zganił dziewczynę Greb.

 – Panie, wybacz mi. Ale to nie ja, daję słowo! Pierwszego zabił ten, a drugiego przebił ten dryblas. To nie moja wina – odrzekła Miriam.

 Podeszła do komandora, który ciągle nie mógł wyjąć nogi spod martwego konaka, okręciła ogon zwierzęcia wokół ręki i odtaszczyła tuszę na bok. Kilkakrotnie wbiła jeden z mieczy w ziemię, oczyszczając go z krwi i wrzuciła do pochwy.

 – A kto odciął temu rękę? – Naciskał Greb.

 – No ja, przepraszam. Ale ty zakazałeś mi tylko zabijać. Wybacz mi, proszę.

 – Jedziemy – zakomenderował Greb. Miriam wskoczyła na siodło i cała czwórka przejechała obok oszołomionych wojowników. Gdy stracili już z oczu miejsce walki, zapytał zupełnie innym głosem: – Miri, nie jesteś ranna? Masz całe plecy we krwi.

 – Plecy są całe, ta krew nie jest moja. Jeden z tych gadów ciął mnie w rękę. Gdy odjedziemy dalej, trzeba będzie zaszyć. – Pokazała głębokie cięcie nieco poniżej lewego łokcia.

 – Panie, nie gniewasz się na Miri? – zapytała Dora Greba, z niepokojem oglądającego ranę.

 – Oczywiście, że nie – odrzekła za niego sama Miriam,. – To wszystko był spektakl, żeby zastraszyć żołnierzy. Na nich bardzo silnie działa, jeśli baba rozkłada cały oddział.

 – To dlatego kazałeś walczyć Miri, panie?

 – Dlatego, dlatego – burknął Greb. – To jej praca. Będą nas się bali i następnym razem obejdą szerokim łukiem. A my jeszcze długo będziemy kręcili się dookoła hordy.

 – No i głupio. – Dora wydęła wargi i odwróciła się.

 – Co głupio? – Zaniepokoił się Greb.

 – Będą się nas bać, to wystrzelają z daleka z łuków.

 – Do diabła! O tym nie pomyślałem!

 – Mamy dużo sennych kulek. – Dora nabrała odwagi. – A ty, panie, postąpiłeś bardzo niedobrze. Bardzo, bardzo niedobrze. Nikt tak nie robi.

 – Nie potrafię tak walczyć, jak Miriam. Nikt nie potrafi, czy ty tego nie rozumiesz?

 – Ja nie o tym. Zabiłeś konaka, a tak nie wolno. To gorzej, niż zabić małe dziecko.

 – Co, lepiej byłoby, gdybym zabił człowieka?

 – Oczywiście! To wojownik. A konak jest niewinny. Nic złego ci nie zrobił.

 Milczący dotąd Kris nagle się roześmiał. I równie nagle urwał śmiech.

 Zatrzymali się przy strumieniu. Miriam rozpakowała juk ze swoimi lekarskimi przyborami i Greb zajął się jej raną. Dora obserwowała z ciekawością. Na leczeniu znała się kiepsko, a kepten musi wszystko wiedzieć. Greb namoczył serwetkę w jakiejś cieczy i starł nią krew. Namoczył drugą serwetkę, rozsunął krawędzie rany i zaczął grzebać nią w ranie. Obficie poszła krew, błysnął metal. Greb wycisnął w ranę gęstą galaretowatą ciecz, która osłabiła krwawienie i przygotował się do zszywania.

 – Stój! – wykrzyknęła Dora –Tam jest wewnątrz żelazo, odłamek miecza.

 – To nie odłamek miecza, tylko moje żelazne kosteczki. – Uśmiechnęła się ponuro Miriam. – Mówiłam ci, że mnie zrobili, pamiętasz?

 Kris podał igłę i Greb szybko zaszył ranę. Potem posmarował czymś i zabandażował rękę.

 – Za dwa dni się zagoi. W warunkach polowych lepiej nie przyśpieszać procesu. Na koń!

 Wszyscy wskoczyli na konaki, tylko Dora siedziała dalej na miejscu z zastygłym na twarzy zdumieniem.

 – Dora, nie wyspałaś się, czy co?

**NIEWOLNICA WSZECHMOGĄCEGO**

 – Miri, ty naprawdę masz wszystkie kości żelazne?

 – Tak.

 – A kiedy byłaś mała…

 – Nigdy nie byłam mała. Smok mnie od razu zrobił dużą.

 – A dlaczego Greb powiedział, że twoja praca to zabijanie? Przecież nie jesteś amazonką.

 – U nas jest podział pracy. Ty jesteś przewodnikiem, Greb po waszemu keptenem, a ja zbrojną strażą.

 – A Kris?

 – Zwiadowcą. Niepostrzeżenie przeniknie do hordy, dowie się, co trzeba i wyjdzie.

 – Dlaczego w takim razie na zwiad do fortu Greb wysłał nie Krisa, a Raya?

 – Ray nie jest nasz, obcy. Możemy obejść się i bez niego. Poza tym sam o to poprosił.

 – To wy jesteście obcy – burknęła Dora. – Miri, a czemu Kris mówi, że ty nigdy nie śpisz?

 – Ma rację tylko w połowie. Uznaj, że śpię bardzo czujnie. W nocy odtwarzam równowagę informacyjną z otaczającym środowiskiem.

 – Pani, Dora nic nie zrozumiała.

 – No, rozmyślam nad tym, co zaszło minionego dnia, co nowego zobaczyłam i jak powinnam była postąpić zgodnie z umieszczoną we mnie modelem psychosomatycznym…

 – Zgodnie z czym?

 – Znowu niezrozumiale mówię? Jeśli w dzień spotykamy dużo nowego, to wieczorem robię się ospała. A tu, na Sekondzie, wszystko jest nowe, w dodatku doba dłuższa o osiem godzin. W nocy wszystko przetrawiam, układam sobie w głowie i rano już wiem, gdzie i jak powinnam była postąpić. Zresztą wy, ludzie, we śnie robicie to samo, tylko w podświadomości.

 Wieczorem Dora postanowiła zbadać medalion. Greb położył się wcześnie, gdyż nie wyspał się poprzedniej nocy, a Miri położyła się z nim. Kris poszedł gdzieś w las, mówiąc, że wróci za godzinę-dwie. Dora ścisnęła medalion w szczególny, podpatrzony u Miriam sposób, przyciskając paznokciem zawijas, i otworzył się. Jedna połówka była gładka, a na drugiej było dużo małych przycisków. Naśladując Miriam, Dora zaczęła je naciskać. Na gładkiej połówce zaświeciły się trzy zielone strzałki, wskazujące w różne strony. Przyjrzawszy się, Dora zrozumiała, że strzałek jest cztery, tylko dwie prawie się zlewają. Oprócz tego, gdy obracała medalion, strzałki też się obracały, stale wskazując w tym samym kierunku – jak igła kompasu. Dora rozejrzała się. Zlewające się strzałki wskazywały na Greba i Miriam, a pozostałe, jak się domyśliła, na Krisa i Raya. Nacisnęła guziczek i jedna ze strzałek zaświeciła się na czerwono. Koło niej zapłonęła mała cyferka. Kolejne naciśnięcie, i druga strzałka zapłonęła czerwienią. Kolejne – i z medalionu doszedł ciężki oddech, chrzęst gałązek pod nogami i szelest listowia. Dora zrozumiała, że słyszy, jak Kris idzie przez las. Przełączyła się na drugą strzałkę i usłyszała ciche chrapanie. „A więc Ray chrapie po nocach” –pomyślała. – „Zwierzątka leśne, co się ze mną stało? Wojownik w odległości kilku dziennych przemarszów, ja słyszę jego oddech, a o czym myślę? Że chrapie we śnie”.

 Naciągnęła koc na głowę i zachichotała. Przełączyła się na Greba i Miriam.

 – …zderzyć łbami dwa smoki – rozległ się z medalionu głos Greba.

 – Po co ci to? – zapytała Miriam.

 – W życiu musi być jakiś cel. Czemu nie miałaby być nim zemsta?

 – Zemsta nie może być celem życia.

 – Może. Dopóki mam na sobie tą bransoletę, jestem niewolnikiem. Uwolnić się z niewoli i zemścić się na niewolącym – czy to zły pomysł?

 – Zrobił z tobą to, co ty robiłeś z innymi. Postawił ciebie twarzą do lustra.

 – A czy ja temu zaprzeczam? Oni mnie nienawidzili, ja nienawidzę smoka. Żeby stać się sobą w pełni, muszę pozbyć się bransolety.

 – Mrok dał słowo. Żaden smok nigdy nie złamał danego słowa.

 – Dał słowo, że spróbuje przekonać Dżafara, żeby ten zdjął ze mnie bransoletę, a to niezupełnie to samo. A jeśli Wszechmogący okaże się zwykłym hipnotyzerem?

 – Bóg z nim, z tym Wszechmogącym. To pomysł Mroka i nie wiadomo, jak odniesie się do niego Dżafar. Masz inny atut: Dorę. Za tą małą Dżafar zrobi dla ciebie, co tylko zechcesz.

 – Poważnie? Takie tu na rynku stoją rzędami, po piątaku za pęczek! Też mi nieobrobiona perła!

 – Nie śmiej się, kochanie. Dziewczynka ma bystry umysł, aktywne podejście do życia, dążenie do sprawiedliwości i zadatki na lidera. Niedługo skończy trzydzieści lat, a jeszcze nie straciła żądzy wiedzy i świeżości percepcji.To drogocenny kamień, który potrzebuje oprawy. Im dłużej z nią przebywam, tym bardziej jestem nią zachwycona. A smok wprost oszaleje od takiego podarunku. Myśl więc już śmiało, co będziesz robił po pozbyciu się bransolety.

 Dora ze złością zatrzasnęła medalion.

 – Zdrada! Wszędzie zdrada! – szeptała, zaciskając pięści. – Miri, jak mogłaś! Wierzyłam ci! Ty nie kości, a duszę masz z zimnego żelaza. Narzucałaś mi przyjaźń, udawałaś dobrą. Oddać mnie smokowi! Za jakąś bransoletkę! – Ugryzła zębami róg koca.

 „Stary kepten mówił, że podsłuchiwać nieładnie” – rozmyślała. – „A jak nie podsłuchiwać? Każda niewolnica karawany tym żyje. Przecież nam nikt nie opowie nowości. A zwrócić uwagę karawaniarza można tylko opowiadając mu wcześniej od innych, co się dzieje w namiocie rady. Może za to całą noc kochać. Ale ja przecież nie jestem niewolnicą. Kris na mnie włożył obrożę! Jestem wolna… Aha, przy potoku też byłam wolna, a Ray pałką w ciemiączko – i kim zostałam? Nie, Kris nie odda mnie smokowi…Karawano umarłych!!! Tavi! Dostanie swoją Tavi! Przecież wysłał ich Czarny Ptak, a on wszystko burzy. Zatruwa szczęście, zamienia miłość w nienawiść. Kris o nie zapomni. Oddadzą mnie smokowi, na pewno oddadzą. Biały Ptaku, poradź, co robić?”.

 Kris wrócił z lasu, zmęczony, mokry od rosy, zmarznięty, z dwoma ciężkimi workami na plecach. Dora wstała, żeby podgrzać mu jedzenie. W przyszłości zapomni o niej, ale na razie kocha. I nie uwierzy, jeśli ona mu opowie, co będzie. Czarny Ptak go trzyma.

 Kris zjadł, zawinął się w koc i zaraz zasnął. Dora do rana wierciła się, rozmyślając, jak żyć. Telim zdradził, Miriam zdradziła, Kris zdradzi. Greb zawsze patrzył na nią jak na niewolnicę. Ray? Uciec z Rayem? On znajdzie sobie dziesięć niewolnic pościeli i przypomni sobie o niej raz na miesiąc. Zresztą dała słowo, że nie ucieknie. No i kto uratował Norik i inne?

 Zasnęła nic nie wymyśliwszy. Rano rozpięła obrożę, położyła ją obok ręki Krisa i zajęła się konakami. Wstała Miriam, wesoło nucąc zaczęła robić śniadanie. Mężczyźni wstali ostatni. Przed śniadaniem Kris chciał włożyć na Dorę obrożę, ale ta delikatnie odsunęła jego rękę.

 – Nie trzeba, gospodarzu. Nikt nie zdejmie obroży z kogoś, kto jej nie ma.

 – Co takiego? – Zdziwił się Kris.

 – Nie upadniesz poniżej podłogi – przetłumaczyła powiedzenie Miriam.

 – Pani zrozumiała Dorę. Dora jest jej wdzięczna – odezwała się dziewczyna.

 – Słuchajcie, jakiż to kot między wami przebiegł? – Przeraził się Kris.

 – Dora, moja dziewczynko, co się stało? – Miriam zdziwiła się nie mniej od Krisa.

 – Pani sama wie. Dora wczoraj podsłuchała, jak pani proponowała podarować Dorę smokowi – głos zadzwonił z obrazy. – Dora zna swoje miejsce i zdjęła obrożę, żeby było prościej.

 – Podsłuchiwała… Miri, ty to miałaś na myśli, kiedy mówiłaś o aktywnym podejściu do życia? – Greb wyglądał na zadowolonego.

 – Ale co tu się wczoraj stało? – Rozzłościł się Kris.

 – Nic strasznego – odrzekł Greb. – Dora nie zorientowała się w kontekście mojej rozmowy z Miriam. Za to teraz sytuacja się ustabilizowała. Zachowanie niewolnicy, w odróżnieniu od zachowania wolnej kobiety jest ściśle reglamentowane. Pozbędziemy się niespodzianek i wyskoków twojej żony. A tam, na górze, ona sama zorientuje się w sytuacji, tym bardziej, że obroże nie są tam w modzie.

 – Dora, wyjaśnij, co się stało? – Poprosił Kris.

 Dora powtórzyła rozmowę, starając się być maksymalnie dokładną.

 – Ta-ak… – Zamyślił się Kris. – Nie mogłaś tego inaczej zrozumieć. A jeśli ja dam ci słowo, że Miriam miała na myśli zupełnie co innego niż to, o czym pomyślałaś?

 – Jeśli gospodarz rozkaże, Dora uda, że mu wierzy. – Ujrzawszy zmartwienie Krisa, wzięła go za rękę i dodała: – Gospodarzu, tak będzie lepiej. Wyobraź sobie: do ciebie wraca Tavi, a tu ja w obroży… A na niewolnicę nawet nie spojrzy.

 Kris skrzywił się, jakby wziął do ust niedojrzałą jagodę krzyżaka.

 Przed wyjściem wszyscy zażyli pigułki, żeby nie zasnąć od sennych kulek. Same kulki Kris też rozdał wszystkim. Właśnie po nie chodził wczoraj do lasu. Konaki szły stępa, a Dora rozmyślała o tym. Tajemniczych „leśnych ludzi” w tych okolicach być nie mogło, zbyt dużo ludzi się tu kręci. W którymkolwiek kierunku pojedziesz, do fortu nie ma więcej, jak dwa dni drogi, do najbliższych zaledwie pół dnia. Gdyby tu byli leśni ludzie, wszyscy by o nich wiedzieli. W lesie się nie schowasz, to nie miasto. Karawaniarze często mają swoje skrytki i podziemne schowki, ale Greb twierdził, że oni są w tych okolicach pierwszy raz. Pytał o drogi, o zwyczaje. Skąd więc Kris mógł wziąć towar?

 Dora obejrzała się na Miriam i przygryzła wargę. Wczoraj zapytałaby bez ukrywania, i już. Ale dzisiaj… Zdrajczyni! A jeśli zapytać gospodarza? Może odpowie, póki się zamyślił.

 – Kris, skąd przyniosłeś te senne kulki?

 – Co? A-a, wezwałem z orbitalnej kapsułę lądownika.

 „Odpowiedział. A co ja zrozumiałam? «Wezwałem z…» – i tyle”.

 – Panie, Dora ciebie nie zrozumiała.

 – Ach ty, moja ciekawska! – Kris podjechał do niej, pochylił się w siodle i objął jej ramiona. – Następnym razem wezmę cię ze sobą. Sama wszystko zobaczysz na własne oczy.

 Ta-ak… Nie odmówił, ale i nie odpowiedział. Może zdjęła obrożę zbyt wcześnie? Uważałaby się za wolną. Uwierzyła, głupia. A przecież Greb powiedział zaraz na początku: „W obroży czy bez niej – zawsze jesteś niewolnicą”. Miał rację… A to co znowu?

 Dora podniosła rękę i wszyscy się zatrzymali. „Bez obroży, a jako przewodnika mnie słuchają” – skonstatowała z gorzkim uśmiechem. Zeskoczyła z konaka, podała cugle Krisowi i bezdźwięcznie poszła naprzód. Miriam też zeszła z konaka i poszła krok w krok za nią.

 Na skraju lasu przy wygasłym ognisku czterech wojowników grało w kości na oczyszczonym z trawy kawałku ziemi. Grali leniwie, dla zabicia czasu. Na drzewie, podwieszona na związanych rękach, wisiała kobieta. Głowa opadła jej na piersi, włosy zakrywały twarz.

 „Dawno wisi, kilka godzin albo i więcej” – skonstatowała Dora. Obiegła oczami okolicę. Cztery konie pod drzewami i to chyba wszystko. Odwróciła się i poszła z powrotem. Opowiedzenie o tym, co widziały, powierzyła Miriam.

 – Możesz coś dodać? – zapytał Greb. Zaprzeczyła. – Więc jedziemy. Miri, przygotuj się.

 Miriam coś mruknęła i wskoczyła w siodło. Dojechali do skraju lasu.

 – Witam! Ktoście tacy?! – ryknął Greb.

 – A ty sam kto będziesz, taki gniewny? – odezwał się jeden z wojowników.

 – Jestem Greb Surowy. A cóż to za owoc na drzewie?

 – Właśnie jej pilnujemy – odrzekł ten sam wojownik. – To niewolnica Wszechmogącego. Zdradziła go, więc podwiesił ją na drzewie. – Rzucił kości. – A my mamy jej pilnować, dopóki nie pójdzie w zero. Osiem, tfu!

 – Ha! – powiedział Greb. – Ona mi się podoba. Wezmę ją sobie

 – Nic z tego – zaprzeczył inny wojownik. – Raz, że jej pilnujemy, a po drugie żaden lekarz nie postawi jej już na nogi. Za dwie godziny pójdzie, wtedy ją bierz. Dwanaście! Wygrałem!

 – Zagrajmy o nią – zaproponował Greb i rzucił na ziemię senną kulkę. Wojownicy ze zdumieniem pochylili się nad nią i wtedy kulka pękła. – Widzicie, to ja wygrałem – wyjaśnił Greb leżącym pokotem wojownikom i zszedł z konaka. – Miri, uspokój ich do wieczora.

 Miriam też zeszła z konaka i wsunęła każdemu pod język malutką senną kulkę. Tymczasem Greb przeciął mieczem sznur, a Kris chwycił ciało i łagodnie położył na ziemi. Dora odgarnęła włosy z twarzy. To była młoda, piękna niewolnica. Podeszła Miriam, namacała jej puls, podniosła powiekę. Z torby przy siodle wyjęła znajome czarne pudełeczko, otworzyła wieczko. Pod wieczkiem ukazało się mnóstwo przycisków. Miriam nacisnęła kilka z nich, przyłożyła pudełeczko kolejno do piersi, do czoła i do obu dłoni niewolnicy.

 – Ona umiera.

 – Od czego?

 – Niedokrwienna toksykoza...

 – Mów po ludzku.

 – Jej ręce były związane zbyt długo i zbyt mocno. Dłonie już umarły i zatruwają organizm. Nerki nie dają rady. Lepiej byłoby, gdybyś jeszcze nie rozcinał sznura.

 – Potrzebuję jej żywej. To rozkaz. – Greb wziął sznurek i zrobił opaski uciskowe, które zacisnął na ramionach dziewczyny.

 – To nie uratuje, tylko przedłuży agonię.

 – Wprowadź jej stymulatory i rozpakuj swoją medycynę. – Zanim Miriam zdążyła jeszcze cos powiedzieć, Greb wyjął miecz z pochwy, przyklęknął i jednym cięciem obciął dziewczynie obie ręce nieco poniżej łokci. – Zaszywaj.

 Dora odbiegła do najbliższego drzewa, gdzie zwymiotowała. Gdy się odwróciła, zobaczyła coś nieprawdopodobnego: Miriam poruszała się czterokrotnie szybciej od zwykłego człowieka. Jej ręce dosłownie migotały. Dosłownie w trzy minuty kikuty były dokładnie zaszyte. Nie bandażowała ich, zamiast tego wycisnęła z tubki białawy żel do przeźroczystych woreczków, które naciągnęła na kikuty, po czym zdjęła z ramion opaski. Potem zajęła się czymś zupełnie niepojętym. Wyjęła malutkie błyszczące łyżeczki i łopatki, zadarła niewolnicy spódnicę i włożyła je do sromu. Dorze znowu zebrało się na wymioty. Kpić z półmartwej dziewczyny – ależ ona się pomyliła co do Miriam! Dlaczego mężczyźni jej nie powstrzymają?

 Dora powstrzymała kolejny atak wymiotów i podeszła do śpiących wojowników. Przetaszczyła ich w cień, ułożyła rządkiem. Po chwili namysłu wzięła ich broń i położyła pod drzewem. Gdy znowu spojrzała na Miriam, ta siedziała pochylona na składanym krzesełku przed malutkim stolikiem, na którym leżało nieduże czarne pudełko, przyciskając oczy do dwu błyszczących rurek, wystających z tego pudełka.

 – Sperma pięciu mężczyzn – odezwała się Miriam, na chwilę odrywając oczy od błyszczących rurek. – Jedna stara, cztery nowe. Niedawno ją zdjęli, rozwiązali, pobawili się, znowu związali i powiesili. Stąd toksykoza. Będę musiała pobrać próbki tkanek od tej czwórki.

 – Wątpliwe, czy to coś da – zaprzeczył Kris. – Przecież ten dryblas powiedział, że ona zdradziła z kimś Wszechmogącego.

 – Logiczne – odezwał się Greb. – Nie możemy jednak przepuszczać szansy. A może jeden z nich był impotentem albo miał akurat suchy dzień?

 Miriam wstała i podeszła dośpiących mężczyzn. Dora myślała, że zaraz nastąpi coś przerażającego, ale Miriam tylko podłubała łopateczką w ich ustach i wróciła do swojego stolika.

 – No i jak? – zapytał z niecierpliwością Greb.

 – Zaraz, zaraz… Tak, wszyscy czterej są tutaj. Sperma piątego jest najstarsza, już cała martwa. Co najmniej sto godzin, jeśli nie więcej. Trzy tutejsze doby.

 – Musimy dziewczynę wziąć z sobą i wypytać. – postanowił Greb. – Zdatna do transportu?

 – Nie, ale nie możemy tu zostać. To niebezpieczne. Poniosę ją na rękach – odrzekła Miriam i zaczęła składać swoje rzeczy.

 Dora obejrzała konaki wojowników, wybrała najsilniejszego, sprawdziła podkowy, osiodłała. Malutka karawana ruszyła w drogę. Miriam szła na na wpół ugiętych nogach trzymając dziewczynę przed sobą. Poruszała się tak płynnie, że dziewczyna jakby płynęła w powietrzu. Dziesięć kilometrów dalej przeszli kawałek po dnie płytkiej rzeczki i zatrzymali się na nocleg na jej brzegu. Dora i mężczyźni zajęli się obozem, a Miriam krzątała się przy dziewczynie. Dora już jej nie wierzyła, ani troskliwym rękom, ani życzliwym słowom. Przed oczami miała scenę, jak ta, rozsunąwszy kolana nieszczęsnej, z zimną ciekawością grzebie w jej sromie.

 – Greb, a co my z nią zrobimy, jeśli ona nie jest w ciąży?

 – Masz jakiś pomysł?

 – Nie, przecież wiesz, że fantazja to mój słaby punkt – obraziła się Miriam.

 – W takim razie zapytamy Dorę. Dora, co radzisz z nią zrobić?

 – Wszystko, co gospodarz sobie życzy. Kim jest Dora, żeby doradzać gospodarzowi?

 – Bunt?

 – Konaki rozsiodłane, wyczyszczone, napojone. Ognisko płonie, polewka się gotuje. Niewolnica Dora zna swoją pracę. Ale gospodarz, jeśli chce, może niewolnicę Dorę ukarać.

 – Słuchaj, Dora, co ty chcesz osiągnąć?

 Dora otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale zamarła. A co właściwie? W karawanie już zarobiłaby batem po plecach. A kiedy ostatni raz bat dotknął jej pleców? Jeszcze w karawanie Telima. A jeśli teraz ktoś obcy uderzy ją batem po plecach? Od swoich ścierpi, ale obcego – zabije. Zabije gołymi rękami, jak uczyła ją Miriam. A ile szczęścia, prawdziwego, wielkiego szczęścia doświadczyła w ciągu ostatnich dni? Ile nadziei runęło i znów się narodziło? Z wielkim rozmachem, jak na wahadle – od jednego skrajnego punktu do drugiego. Zamknęła usta, podniosła oczy i zobaczyła, że Greb ciągle jeszcze oczekuje jej odpowiedzi.

 – Chcę, żeby było ci równie boleśnie jak mnie. Wtedy może mnie zabijesz, a nie oddasz smokowi.

 – Co cię ten smok tak zaabsorbował?

 – Dobry człowiek nie może nazywać się Smok.

 – O Boże! To nie człowiek! To smok! Prawdziwy smok, z rogami, skrzydłami i ogonem! Nazywa się Dżafar i jest dobry, choć dziwaczny.

 – Dora panu nie wierzy.

 – A komu Dora wierzy?

 – Nikomu. Wszyscy Dorę zdradzili.

 – Ja też? – zapytał zdumiony Kris. – No, dziękuję! Kiedy cię zdradziłem?

 – Gospodarzu, wybacz Dorze, to jeszcze się nie stało, ale niedługo stanie. Gdy Czarny Ptak rozpostrze nad tobą skrzydła, zapomnisz o Dorze. Wiem to na pewno, Biały Ptak dał mi to do zrozumienia.

 – Znowu mistyka! Domorosła Kasandra! – Rozzłościł się Kris, a Miriam rozpłakała się.

 – Cicho! – ryknął Greb. – Zaraz się pogryziemy, rozbiegniemy po kątach, a musimy być o tak! – Podniósł zaciśniętą pięść. – Jeśli przestaniemy wierzyć jedno drugiemu, zginiemy przez byle drobiazg. A ja chcę wierzyć temu, kto osłania moje plecy. Przestaliśmy być drużyną, można brać nas gołymi rękami. A Wszechmogący zbiera armię i niedługo ruszy na Aachen. Jaki z tego wniosek?

 – Pan może Dorze wierzyć. Dora nie zawiedzie.

 – Milcz. Już wykonałaś swoją czarną robotę.

 – Greb, jeśli tak mówisz, to znaczy, że już masz rozwiązanie – odezwał się Kris.

 – Tak, mam. Bierz swoją żonę za kark, zaciągnij ją na górę i zapoznaj ze smokami. Myślałem, że lepiej będzie, jeśli Dora pozostanie niewolnicą, ale ona w ciągu jednego dnia zdołała rozwalić naszą grupę. Niech na górze sama zorientuje się w sytuacji. Na całą operację daję ci dobę. Jeszcze jedno. Po ucieczce Mroka smoki wprowadziły uzupełniającą ochronę. Wszystkie komputery systemów transportowych próbują zidentyfikować wszystkich ludzi, korzystających z ich usług, a szczególnie z zero-t. Dokąd byś nie jechał, komputery przekazują cię jeden drugiemu łańcuchowo. Ucieczka ze Strefy w tych warunkach staje się niemożliwa,

 – Mrok uciekł jako zapis osobowości zrobiony przez smoka i przekazany w ciało smoka.

 – Druga Lobasti się nie znajdzie choćby z powodu zakazu przybywania tam smoczyc w zaawansowanej ciąży. Smoki wprowadziły tam jeszcze kilka wewnętrznych regulacji, ale nie o tym chciałem mówić. Jeśli w systemie pojawi się nowy człowiek, to narobi bardzo wiele szumu. Dlatego zidentyfikuj Dorę w komputerze naszej bazy jako eksperymentalnego biocybera-androida, stworzonego przez Wielkiego Smoka á la Miriam.

 – Nie rozumiem, czym w takim przypadku biocyber ma się różnić od człowieka.

 – Nazwą. Komputerom to wystarczy, żadne sygnały alarmowe nie pójdą po sieci.

 – Zrozumiałem. A jeśli ludzie się zainteresują?

 – Po Wielkim Smoku można spodziewać się wszystkiego. Zdziwią się, i tyle. Możesz zapytać Miriam. Aha, przekazałem ci państwową tajemnicę. Nawet ja nie powinienem jej znać.

 – Już wszystko zapomniałem.

 – Więc leć. Oboje z Dorą macie w zapasie miejscową dobę, czyli 32 godziny. Rezerwa awaryjna 10 godzin, a więc maksimum 42, ale wtedy dwie doby będziecie bez snu.

 Kris podniósł się, pociągnął Dorę za rękę.

 – Gospodarzu, ja nie chcę do smoków! – zapiszczała dziewczyna.

 – A kto ciebie pyta?

**CÓRKA SMOKA**

 Wrócili dokładnie po 32 godzinach i 10 minutach, obije mroczni i ponurzy. Na szyi Dory błyszczał cieniutki metalowy pasek, parodia obroży. Obiema rękami przyciskała do brzucha jakąś książkę dla dzieci. Zapakowała ją starannie do nieprzemakalnego plastikowego pakietu i schowała między swoje rzeczy. Uklękła przed Miriam, pocałowała ją w rękę. Ta chciała ją objąć, ale Dora płynnie uchyliła się i poszła sprawdzać konaki. Potem rozpakowała swoją pościel, położyła się i nakryła z głową kocem. Greb podniósł rękę, wzywając do ciszy, i wsłuchał się. Spod koca wyraźnie dochodziła jakaś muzyka.

 – To ze starożytnych zapisów. Wynton Marsalis, melodia Duke’a Ellingtona. A tytuł „Karawana” – podpowiedziała Miriam.

 – Mogłem się domyśleć – burknął Kris – Kręci ją w kółko bez przerwy.

 – No i jak? – zapytał Greb. – Nie będzie więcej kaprysów? Wszystko dobrze?

 – A co to znaczy „dobrze” i „źle”. Greb” – wymamrotał Kris. – Aha, poznajcie się. Dora, przybrana córka smoka. Mroka nie zastaliśmy, a Catherine, jego żona, przysposobiła Dorę. Znacie ich dzieci? – Greb skinął głową, a Miriam powiedziała:

 – Artiom i Szalla. Artiom udzielał mi lekcji fechtunku.

 – Oni dosłownie oszaleli na jej, a Dora na ich punkcie. Gdy nas zobaczyli, naciągnęli kamizelki i chodzili wyłącznie na tylnych łapach. Artiom włożył jeszcze kapelusz kowbojski. Krokodyl w kapeluszu i kamizelce. O głowę wyżsi ode mnie, a kompletna dziecinada.

 – Kris, oni właśnie są dziećmi. Mają dopiero po cztery lata – wyjaśniła Miriam.

 – O ile zrozumiałem, to jest dobrze. A co jest źle? – zapytał Greb.

 – Po pierwsze, spotkaliśmy Tavi. Po drugie, chciałem pokazać Dorze współczesny Sekond. Pojechaliśmy do Setu. Do diabła! Tam co trzecia baba w obroży! I po trzecie, Dora próbowała przekupić cybera i przywieźć tu pistolet laserowy. Obroża i złoto na niego oczywiście nie podziałały, ale słowa „bardzo potrzeba” przyjął jako rozkaz i pistolet jej zdobył.

 – Dawaj po kolei. Tavi już ożywiono?

 – Tak. Smoki wybrały się w przeszłość, wyłowiły ją, zanim utonęła, a do wody wrzuciły trupa kobiety z kostnicy w jej ubraniu. Czysta robota.

 – I spotkały się?

 – Tak. I doszły do porozumienia, choć nie od razu. Tylko ja nie wiem, czy mam teraz chociaż jedną żonę.

 – Rozumiem. A co na Sekondzie?

 – W Secie co trzecia baba nosi obrożę. Z innych powodów, ale zestaw ten sam, co dziś, tylko symbolika się zmieniła. Żelazna mówi: „Nie pchaj się do mnie, nic tu nie osiągniesz”, a skórzany paseczek na gardle „Chcę za mąż”. Nie wiem, czy Dora mi uwierzyła, czy nie.

 – Kris, ja z nią porozmawiam, i z Tavią też – obiecała Miriam. – Wyjaśnię, że nie mogłeś inaczej postąpić. Opowiem, co tu czeka niewolnice. Wiesz, o Norik i innych. Tavi to mądra dziewczyna, zrozumie. A co to za historia z przysposobieniem?

 – Zielona smoczyca Catherine zakomunikowała, że sama przez dwieście lat była na Strefie niewolnicą, zanim stała się smoczycą; napisała elegancki dokument, że uważa Dorę za swoją córkę i postawiła pod nim okrągłą pieczęć. Ja i Lobasti podpisaliśmy się jako świadkowie. Teraz Dora jest członkiem smoczej rodziny i rodzina ją broni. Dora ma kopię dokumentu.

 – Wprowadzili to do komputera? – Zaciekawił się Greb.

 – Nie, do komputera nie.

 – Mądre smoki. A co to za historia z pistoletem?

 – Dora chce zabić Wszechmogącego i uratować Set. Zabrałem jej pistolet i teraz ona mi tego nie wybaczy. Mówi, że jestem zimny i obojętny jak bryła lodu, a nawet jeszcze gorzej, jak ty, Greb. Jesteś dla niej wzorcem znieczulenia.

 – W takim razie mogłeś jej pozwolić wziąć pistolet, a ja bym go usunął. Będzie pracowała?

 – Nie pomyślałem. To karawaniarka, a leniwych w karawanie nie trzymają.

 Dorę jakby podmienili. Już się nie uśmiechała. Wiadomość o tym, że Ray znalazł karawanę Telima powitała obojętnym kiwnięciem głowy. W dzień prowadziła grupę, wieczorem aż do całkowitego wyczerpania pobierała u Miriam lekcje sztuk walki, a potem do późnej nocy studiowała razem z Grebem kosmiczne zdjęcia, wyznaczając trasę jutrzejszego etapu podróży. W każdej wolnej chwili wyjmowała podarowaną jej przez smoczki książkę i czytała, marszcząc czoło, poruszając wargami i wodząc palcem po wierszach. Książka była o wielkich kobietach, a Dora studiowała w niej życiorys Sandry Czarnowłosej, wielkiego kosmodesantowca, kontaktera i socjologa-praktyka, która jako pierwsza stanęła na powierzchni Sekondu po tysiącu lat zapomnienia. Sandra była wojownikiem. To ona zastąpiła okropną metalową obrożę przez wąski sprężysty pasek, jaki teraz widniał na szyi Dory. Właśnie taką „obrożę” powinna nosić kobieta-wojownik, Dora to czuła i miała zamiar zostać wojownikiem.

 A zastęp krążył wokół hordy. Wszechmogący rzucał ją to na zachód, to na wschód, jej ruch był nieprzewidywalny. Jak fala ogarniała coraz to nowe forty, wciągając w siebie wszystkich mężczyzn zdolnych do noszenia broni i pozostawiając za sobą puste wieżyczki, puste stajnie i płaczące gwałcone kobiety z wypalonym na czole albo między łopatkami rysunkiem wschodzącego słońca. Dookoła hordy krążyły dziesiątki patroli. Codziennie, czasem nawet kilka razy dziennie trzeba było użyć sennych kulek. Niebawem wytworzyła się jakaś dziwna równowaga nietrwała. Patrole udawały, że nie zauważają oddziałku Greba, a zetknąwszy się z nim czołowo na leśnej drodze, ustępowały mu drogi na władczy znak miecza Dory. Niektórzy salutowali jej wojskowym powitaniem, na które odpowiadała skinieniem głowy i czujnym ponurym spojrzeniem.

 Czas mijał… Greb i Kris robili się coraz bardziej ponurzy i źli. Dora już zrozumiała, że szukają kobiet, które spały z Wszechmogącym. Takie trafiały się: kilka w fortach, dwie zakopane po szyję w ziemi przez wojowników. Z tymi z fortów spędzał w forcie jedną noc, potem je zostawiał, a od tych dwu dowiedzieli się nie więcej, niż od pierwszej, którą Greb umieścił w męskim domu jednego z fortów, kiedy zagoiły jej się kikuty, czyli już na trzeci dzień. Wszystkie trzy przysięgały na Boga, że nie zdradziły Wszechmogącego, a on oskarżał je, że zdradziły je w myślach. Żadna z kobiet nie zaszła z nim w ciążę. Wszystkim im Miriam zaglądała do sromu przy pomocy swoich łopateczek i za każdym razem przeżywała zawód.

 Raz wieczorem Dora przysiadła się do Greba i poprosiła:

 – Keptenie, opowiedz mi o smokach.

 – A co cię interesuje?

 – Wszystko.

 – Wszystkiego nie wiem. Mniej więcej znam tylko twoją rodzinę i Wielkiego Smoka.

 – Ale ja nie wiem zupełnie nic.

 – Dobrze. Smoki pojawiły się około pięciuset lat temu według mojego czasu albo pojawią się za pięćset lat, jeśli liczyć od chwili, w której obecnie jesteśmy. W moim czasie jest ich około trzystu tysięcy. Bardzo mało, jeśli uwzględnić, że żaden jeszcze nie umarł ze starości.

 – Skąd one się pojawiły?

 – Znikąd. Pewnemu człowiekowi imieniem Dżafar zachciało się zostać smokiem, i został nim, a potem stworzył sobie żony. Teraz nazywają go Wielkim Smokiem. To on stworzył Miriam. I on włożył mi na rękę tą bransoletę. – Greb pokazał Dorze grubą metalową taśmę, okalającą nadgarstek. – To bransoleta niewolnika. Nie mogę jej zdjąć, bo gdybym ją rozpiłował, stałbym się idiotą. Za tą bransoletę jestem gotów Dżafara zabić, a za Miriam ubóstwiać.

 – Za co on ci włożył bransoletę?

 – Za to, że byłem szogunem, czyli pierwszym wśród ludzi, choć prawie nikt o tym nie wiedział. Miałem nieograniczoną, chociaż ukrytą władzę. A Smok doszedł do wniosku, że kraj powinien znać swoich bohaterów. Nieszczęście polegało na tym, że o mnie nie można było opowiedzieć. – Greb uśmiechnął się kwaśno. – Ludzie bardzo by się zmartwili, dowiedziawszy się, że są moimi niewolnikami, gdyż uważali się za wolnych. Dlatego Dżafar postanowił, że muszę zniknąć z ludzkich oczu. Nie zgodziłem się z nim i dlatego dostałem tą bransoletę. A zainteresował się mną pośrednio z powodu twojego przybranego ojczulka, którego nigdy nie widziałaś. Doszedł do wniosku, że będę mu przeszkadzał w czynieniu dobra.

 – Opowiedz mi o mojej rodzinie.

 – Niech ci o niej opowie Catherine.

 – Chcę zaraz!

 – Widzisz, nie mogę nazwać twojej rodziny przyjaciółmi, ale odnoszą się do mnie wystarczająco dobrze. Nie chcę mieszać się w wewnętrzne sprawy smoczej rodziny.

 – Muszę wiedzieć. Czuję, że coś ukrywasz.

 – Miriam! Kris! – zawołał nieoczekiwanie Greb. – Dora chce, żebym opowiedział jej o Mroku.

 – To moja rodzina, muszę wiedzieć – powtórzyła uparcie Dora, choć nie była już taka pewna siebie. Nawet na odwrót: niedobre przeczucie zimną bryłką skręciło się w jej brzuchu, aż zadrżały jej kolana.

 – Masz prawo wiedzieć, choć ja na twoim miejscu bym się nie śpieszył. – Kris potarł podbródek. – Przyjdzie czas, dowiesz się wszystkiego sama.

 – Zaraz!

 – Dora, dziewczynko moja, nie oceniaj na gorąco tego, co teraz usłyszysz. To wszystko jest znacznie bardziej złożone. –Miriam objęła Dorę za ramiona, a dziewczyna nie odsunęła się, jak to robiła w ostatnich dniach. Dzisiaj brakowało jej pewności siebie.

 – Co u was robią z dłużnikami, Dora? – zapytał Greb.

 – Wsadzamy ich do kamiennej jamy i nakrywamy z wierzchu kratą.

 – A my swoich przestępców wysyłamyna oddzielną planetę, którą nazywamy Strefą. Taka sama jama, tylko większa. Widziałaś Sekond z kosmosu, więc zrozumiesz. Prawie cała planeta to kamienista pustynia, żyć można tylko na jednym, stosunkowo niewielkim skrawku. Ci, którzy tam trafili, są trochę podobni do mężczyzn z Sekondu, ich główne hobby to wzajemne zabijanie się. Reszta ludzkości nie miesza się do tego, gdyż na Strefę trafia się głównie właśnie za zabójstwa. Więc czymże innym mogą tam się zajmować? Mrok i Catherine wcześniej byli ludźmi, zesłanymi za przestępstwa na tą planetę. Mrok i tam przewyższył wszystkich. Najpierw zastraszył całą Strefę, zabijając na prawo i na lewo, potem mu się to sprzykrzyło i zaprowadził tam porządek. Ale widocznie spokojne życie było nie dla niego, gdyż na dwadzieścia lat zaszył się w pustelni, a potem w ogóle uciekł ze Strefy. Są tacy, którzy twierdzą, że przez te dwadzieścia lat przygotowywał ucieczkę, ale ja wiem, że nie, zresztą możesz go o to wypytać. Jak by tam nie było, uciekł, i to nie sam, a ze swoją żoną, tą samą Catherine, która ciebie przysposobiła. Uciec im pomogła Lobasti, którą on znalazł jako noworodka i wychowywał przez pierwsze półtora roku życia. Osobowość Catherine umieściła w ciele swojej córki, a potem wykradła syna swojej przyjaciółki i oddała jego ciało Mrokowi. Teraz między Lobasti a ojcem malucha trwa coś w rodzaju bezkrwawej wendetty – według zasad niezrozumiałych dla ludzi. Kto kogo bardziej pogrąży, zawstydzi czy coś w tym rodzaju. Jak oni zarabiają punkty w tej grze, doprawdy nie wiem. Teraz o dzieciach. Widocznie ich pochodzenie się przejawia, gdyż niedawno buchnęły mamie maszynę czasu i wybrały się na Sekond. Tu zabili ich na mięso i zjedli. Mrok i Lobasti zbudowali drugą maszynę i Mrok wybrał się je ratować. I uratował, ale najpierw przywiózł na górę ich objedzone czaszki. Odtąd w rodzinie dzieci przezywają trupkami.

 – Wiem. Artiom pokazywał mi swoją czaszkę.

 – Widziałaś więc więcej ode mnie.

 – Keptenie, ja chcę wiedzieć, jakie one są w środku.

 – Moja miła, żeby poznać smoka, trzeba samemu stać się smokiem. Jedynym człowiekiem, który, jak sądzę, był z nimi na równi, był twój przybrany ojczulek Mrok, ale on też został smokiem, więc na pewno coś w tym jest. A Wielki Smok jest zagadką dla wszystkich, nawet dla innych smoków. Wszyscy sądzą, że on wie dużo więcej, niż mówi. Nie jest taki jak inne. Moim zdaniem smoki zwyczajnie troszeczkę się go boją. Nie wiem, jak to się dzieje, ale kiedy jesteś koło niego, czujesz to samo, co on. I nie daj Boże, żeby go akurat bolały zęby. Jak myślisz, kiedy on się urodził?

 – Mówiłeś, że za pięćset lat.

 – Za pięćset lat zostanie smokiem. A urodził się pięćset lat temu. Tak, tak, w moich czasach on ma już około tysiąca pięciuset lat. Nie udało mi się dowiedzieć szczegółów, gdyż zamknął dla mnie niektóre fragmentu informatorium. Jak mu się to udało, to też zagadka. Ale kiedy jestem w pobliżu, komputery odmawiają wydawania komukolwiek informacji o pierwszych smokach. Myślę, że to także związane jest z bransoletką. Lobasti próbowała zorientować się, czym właściwie jest ten nabity elektroniką kawałek żelaza, ale nawet ona nie zdołała, choć jest w tej dziedzinie geniuszem nawet wśród smoków. W jakiś sposób udało jej się wyprodukować kopię bransolety z dokładnością do atomu, rozebrała ją na cząsteczki, ale i tak nic nie zrozumiała. Tam jest pełno elektroniki, quasi-mechaniki, sensorów, kratek fazowych i tak dalej, ale co one robią – nikt nie wie.

 – Stary kepten mówił, że czar jest ukryty nie w amulecie, a dookoła niego. Gdyby był w amulecie, trzeba byłoby samemu tam wejść. A amulety wiszą na szyjach.

 – Ciekawa koncepcja. A Miriam ma jeszcze inną, że ta bransoleta… nic nie robi, a Dżafar po prostu utrzymuje mnie w strachu. Przecież żaden przyrząd nie wykrył zmian w moim organizmie. Ale ja pamiętam, że Dżafar coś ze mną zrobił. Jakie on miał wtedy oczy – ogromne, czarne, szalone. Zwyczajnie patrzył wprost na mnie, a ja toczyłem się po ziemi z bólu, promieniującego od móżdżka. Dlatego jestem skłonny Dżafarowi wierzyć. A przed tym machnął łapą i na chwilę oślepłem. Ale odeszliśmy od tematu. Pytaj.

 – Czym smoki żyją? Co one robią?

 – Robią co chcą – to najściślejsza odpowiedź. Jeszcze niedawno granicą ich działania były planety. Brały zimną kamienną kulę i robiły z niej przytulną, zadbaną planetkę. A teraz przeszły na gwiazdy. Trzy-cztery lata temu przy mnie zastanawiały się, co lepiej: zgasić gwiazdę czy zapalić dwie nowe. Doszły do wniosku, że lepiej zapalić – i zapaliły. W ogóle wszystkie smoki dla ludzi są szalone. Absolutnie nie wiedzą, co to znaczy „niemożliwe”. Powiesz im: „Nie można wypić rzeki”, a one ci odpowiedzą: „A to ciekawe, a gdyby pić większymi łykami?” Nic. „A gdyby dalej chodzić siusiać?” Znowu nie wyszło. „A gdyby jeszcze dziesięć tysięcy smoków wezwać?” No i wypiją. To oczywiście żart, ale jeśli coś im się nie podoba, one nie dostrajają tego, tylko zaczynają przerabiać cały świat. Do tego, że twoi przodkowie zamieszkali na Sekondzie, Dżafar przyłożył rękę jeszcze będąc człowiekiem. Potem mu się wydało, że ludzkość popadła w zastój i rozsiedlił ją po całym kosmosie. A teraz – według mojego czasu – wyprawił się do jakiejś galaktyki, której stąd w ogóle nie widać. Już od trzech lat nie ma od niego żadnych wiadomości.

 – W takim razie jak on zdejmie z ciebie bransoletę?

 – Moja droga, według mojego czasu umarłaś tysiąc lat temu. A my tu razem siedzimy przy ognisku, rozmawiamy, patrzymy na gwiazdy.

 – Zrozumiałam.

 – Cieszę się. Ja sam dotąd nie mogę przywyknąć. Ale rozmawialiśmy o smokach. Mrokowi nie podoba się, że na Strefę zrzucają gówno rodzaju ludzkiego. Co zrobiłby na jego miejscu człowiek? Postarałby się, żeby gówno zrzucano gdzie indziej. A co chce zrobić Mrok? Tak przerobić ludzkość, żeby gówna więcej nie było. Ciekawa myśl, nieprawdaż?

 – Czy mu się to uda?

 – Nie wiem. Mnie to nie interesuje. Ale jesteśmy tu właśnie z tego powodu.

 Następnego dnia Ray zakomunikował, że natknął się na patrol. Nie zrobili mu nic złego, gdyż powiedział im, że jedzie do hordy. Uprzejmie rozmawiają, częstują winem, nie ruszają Mudry. Ale nie spuszczają z oczu i prowadzą do hordy. Dziesięciu ludzi przeciw niemu i Mudrze to nieco za dużo. Z sześcioma jeszcze by sobie poradzili, ale dziesięciu nie pokonają. Greb odpowiedział, żeby się nie niepokoił i otworzył wieczko medalionu. Dora otworzyła swój. Potem wyjęli zdjęcia z kosmosu i wybrali trasę. Kris wyjął czarne pudełeczko, określił odległość. Greb zaklął.

 – Zdążymy – powiedziała Dora i puściła konia galopem. Ani Ray, ani tym bardziej Mudra już jej nie obchodzili, ale była ciekawa, na co pójdzie Greb dla ich uratowania.

 Jechali szybko, to kłusem, to galopem, przechodząc na stępa tylko po to, by konaki odpoczęły. Trzeba było albo przeciąć hordę, albo objechać ją po skraju. Patrole, widząc, że kierują się raczej w kierunku hordy, trzymały się z tyłu w bezpiecznej odległości.

 Obeszli hordę wzdłuż samego skraju. Było to najdziwniejsze, co Dora widziała w życiu. Wojownicy i niewolnice coś krzyczeli, biegli im naprzeciw i poboczu jak dzieci, które pierwszy raz w życiu zobaczyły karawanę. „Ludzie siły!” – Dora wreszcie wyłapała z chaosu krzyków. Uniosła w powitalnym geście obnażony miecz i aż się przeraziła, kiedy w odpowiedzi setki ostrzy uniosło się ku górze w zgodnym salucie. Tak, z wysoko podniesionym mieczem przejechała do końca hordy. Za jej plecami dźwięcznie westchnął i zaklął Kris.

 – Byłaś wspaniała! – Miriam zrównała się z nią i dalej pojechały razem.

 – Ten twój pomysł z sennymi kulkami! – pogratulował Greb. – Nie boją się nas, ale szanują.

 A Kris po prostu ją objął, ucałował i nawet ukąsił w ucho. Potem uściślili kurs. „Wykonali obserwację” – jak nazywał to Greb. Ray był wciąż przed nimi, i jechał im naprzeciw, chociaż niezbyt szybko. Zdążyli! Dora puściła konaka i wsłuchała się w rozmowę Greba z Miriam

 – …Sprawdziłam obliczenia. Właśnie uściśliłam dane co do liczebności hordy. Dwie pierwsze cyfry się zgadzają, więc model był prawidłowy. Ale to się nie zgadza ze zdobyciem Aachen. Wszechmogący ma na to zbyt mało ludzi.

 – To znaczy, że coś opuściłaś. Nie mogliśmy wpłynąć na liczebność wojska. Wszechmogący zabrał wszystkich mężczyzn, więcej tu nie ma skąd wziąć. Wyssał ich jak odkurzacz.

 – Sprawdź mnie. W kronice powiedziano, iż wojownicy Wszechmogącego wypuścili chmury strzał, okręconych tlącym się sennym mchem. Od strzał pociemniało niebo, czarny dym zakrył słońce i wojownicy na ścianach zasnęli. Ale senny mech daje dym niebieskawy, a czarny to dym pożarów. Dalej: alkohol we krwi to mocne antidotum na usypiającą toksynę, a wszyscy wojownicy przed walką dano wypić po miarce wina. No i wreszcie o tej porze roku nad Aachen wieją stałe wiatry. Porównałam wieloletnie obserwacje naszego czasu z tym, co widzimy. Klimat się nie zmieniał, co oznacza, że wiatr będzie unosił dym. Trzeba więc będzie dziesięć, a może nawet dwadzieścia razy więcej łuczników, ale wtedy oni sami zasną.

 – Ale żołnierze na murach zasnęli.

 – Właśnie. Tak napisano w kronikach.

 – Komu wi8ęc wierzysz: kronikom czy sobie?

 – Staram się zrozumieć, i nie mogę. To mnie boli. I jeszcze jedno: żeby wziąć miasto szturmem, trzeba mieć co najmniej trzykrotną przewagę liczebną wojska. A Wszechmogący nie ma nawet dwukrotnej. Czyż nie tak?

 – Nie łam sobie nad tym głowy. To nie twój problem, tylko Wszechmogącego. Jeśli chcesz, możemy zatrzymać się tu trochę dłużej i zobaczysz szturm na własne oczy.

 Dora ze złości uderzyła pięścią w łęk siodła. Dla nich to ciekawe! Wszechmogący zburzy najlepsze miasta, spali doszczętnie Set, a dla nich to po prostu ciekawe! Dla nich to daleka przeszłość, w której nie chcą nic zmieniać, bo pamiętają, że Set spłonął. Mogą, ale nie chcą!

 – Czego nie chcemy, Dora?

 – Mówiłam głośno? Kris, pomóż uratować Set. Ja dla ciebie wszystko zrobię, nawet rzucę się w ogień, jeśli zechcesz. Uratuj Set! Przecież nie proszę o wszystkie miasta, tylko o jedno!

 – Tłumaczyłem ci przecież… Dora, przecież widziałaś, jakim on się stanie! Dziesięć razy lepszy! Wesoły, ozdobny!

 – Stanie się zimny. Jak śnieg. Tam ludzie już nie żyją, tylko jedzą, śpią i ciągle się gdzieś śpieszą. Nikt dla nikogo nie ma duszy. Byłeś w naszym Secie?

 – Nie.

 – No właśnie! Od razu byś zrozumiał! Tam można wejść do każdego domu, wszyscy będą ci radzi. Tam wszyscy się znają. Tam, jeśli niewolnica urodzi dziecko, to jest święto dla całej ulicy. Jeśli ktoś umrze – cała ulica go żegna. A jakie tam powietrze! Jak wdechniesz pełną piersią, to aż żal wydechnąć. A morze… Jak wejdziesz na skałę, to widzisz na dnie każdą muszelkę. A głębia taka, że nie doskoczysz z kamieniem! A ty sam jesteś wesoły, szykowny. A w waszym Secie nawet woda śmierdzi!

 Oddział szybko jechał aż do samego wieczora. Słońce już było prawie przy linii horyzontu, gdy spotkali patrol, odprowadzający Raya i Mudrę.

 – Witaj, Ray. Myślałem, że spotkamy się dopiero jutro. – Greb udał, że bardzo się zdziwił. – To wszystko są twoi ludzie?

 – Nie, po prostu towarzyszą mi w podróży – odrzekł Ray, uśmiechając się szeroko i przywitali się z Grebem klaszczącymi uderzeniami dłoni. Twarze patrolujących wyciągnęły się. – Jak leci, Kris? – Mocny uścisk dłoni.

 – Mudra, moja dziewczynko, ten źrebak ciebie nie obraził? – powitała niewolnicę Miriam.

 – Nie, pani,był dla mnie dobry. Pani, Mudra wróciła, a pani mówiła, że gdy Mudra wróci…

– Pamiętam – uśmiechnęła sięMiriam. – Z czego ją zrobimy?

 – Wojownicy! – wykrzyknęła Dora – Któryś z was ma obrożę?! Zapłacę złotą!

 Obroża od razu się znalazła. Miriam lekko pchnęła Mudrę w kierunku Dory, a ta zapięła obrożę na szyi kobiety. Miriam pocałowała ją w policzek, Kris podarował jej pas z kindżałem, a Greb miecz, niepozorny z wyglądu, ale ostry jak brzytwa i ze znakomitej stali. Patrolujący obserwowali tą scenę z zainteresowaniem. Dla nich było jasne, że zdobycz wyśliznęła im się z rąk, ale, z drugiej strony, nie mieli się dokąd śpieszyć.

 Dora liczyła, że tak hojnie obdarowana Mudra przyłączy się do ich oddziału, ale była niewolnica poprosiła, żeby ja zostawić, bo chce jechać do hordy. Patrolowi byli zachwyceni, posypały się sprośne żarty. Dora skinęła na dowódcę.

 – Do Wszechmogącego dowieziemy ją w stanie nienaruszonym. – Zrozumiał ją bez słów. – A tam to już będzie jak on postanowi. To już nie w mojej władzy.

 Dziewczyna odprawiła go skinieniem ręki i poruszyła cuglami. Oddziałek wyciągnął się w łańcuszek karawanowy. Ray dogonił Dorę, puścił konia jej tempem i zaczął opowiadać jak mają się sprawy w karawanie. Telim kupił niewolnicę, znającą język gestów niemych, sam się go uczy i wszystkim kazał się uczyć. Teraz wszyscy w karawanie od rana do wieczora machają rękami. Wysłał Dorze kwity na nowe niewolnice, choć w liście nie prosiła go o to. W nocy śpi z Norik. Pierścienie z piersi dziewczynom wyjął. Wydra wykorzystuje dziurki jako kieszonki: w jednej trzyma łyżkę, a w drugiej małą piszczałkę, na której wieczorami uczy się grać. Wszyscy ją za to klęli, raz nawet chwycili za ręce i nogi i z rozmachem wrzucili do stawu. Ale to było dawno, teraz już przywykli. Co trzymają w dziurkach pozostałe dziewczyny, nie zdążył sprawdzić, gdyż spał z karawaną tylko dwie noce.

 – Wcześniej Wydra wieczorami śpiewała przy ognisku – westchnęła Dora.

 – A ty w ciągu tych dni bardzo się zmieniłaś, keptenie Doro. Twarz ci się postarzała, zrobiła się surowa, a piersi wypełniły się jak u niewolnic pościeli. Gdyby nie głos i to gniewne spojrzenie spod grzywki, nie poznałbym ciebie.

 Dora spuściła oczy. Rzeczywiście, jej piersi się podniosły. Nie tak, jak u Miriam, ale także okazale. Karawano umarłych, po co pierś wojownikowi?

**WSZECHMOGĄCY**

 – Czego się dziś dowiedzieliśmy? Niczego! – Greb kopnął sterczące z ogniska polano i w niebo poleciał snop iskier.

 – Niezupełnie – zaprzeczył Kris. – Widziałeś kobiety hordy? Po pierwsze, ani jednej wolnej, same niewolnice. Po drugie, wszystkie mają tatuaże. Imię, na lewym ramieniu wschodzące słońce. Omówiłem to z Miriam i doszliśmy do pewnych wniosków.

 – No?

 – Po pierwsze, Wszechmogący stara się utrzymywać w armii dyscyplinę, po drugie, on nie ma fotograficznej pamięci do twarzy.

 – A co nas obchodzi jego pamięć? A może on w ten sposób uczy ludzi czytania i pisania?

 – Dowiedzieliśmy się, że nie jest supermanem. Ma normalny wzrost, normalną muskulaturę, normalną pamięć i obniżoną ruchliwość spermatozoidów.

 – Tylko tyle?! Nie to nam potrzebne. Niedługo horda ruszy na Aachen. Zacznie się wojna i będą w nas widzieli tylko szpiegów… Jutro jedziemy w środek hordy. Miriam, przygotuj się.

 – Jestem gotowa, kochany.

 – Mam lepszy plan. Porywam Wszechmogącego, badamy go, a potem wypuszczamy.

 – Człowieku, zastanów się! Jeśli porwanie Wszechmogącego z hordy ci się uda, to cała horda popędzi za nami. Jeśli porwanie ci się nie uda, umrzesz długą, męczeńską śmiercią, a cała horda będzie patrzyła z zachwytem, jak z ciebie wyciągają żyły. Jeśli boisz się o Dorę, odprawimy ją jutro na górę.

 – A ty chcesz podłożyć swoją żonę pod tego wyrodka!

 – KRIS!!!

 – Przepraszam, Miriam. To nie moja sprawa.

 – Tak, nie twoja sprawa. W takim nastroju lepiej jutro tu zostań, bo zerwiesz nam kontakt.

 – Nie gorączkuj się. Planujemy. Jutro będziemy działali wspólnie, obojętne, co ustalimy.

 – Przepraszam, Kris. Mi też się nie podoba to, co jutro mnie czeka. Jedziesz z nami, Dora?

 – Tak. Wy beze mnie nie dacie sobie rady, nie umiecie handlować. Nie wiecie, jak z nim trzeba rozmawiać. Poza tym ja sama chcę podyskutować z tym Wszechmogącym.

 – Tylko bez broni. – Greb surowo spojrzał dziewczynie w oczy.

 – Jutro bez broni – zgodziła się Dora. – Miriam, czy jeden wojownik może zmienić świat?

 – Może. Choćby taki Wszechmogący.

 – Nie. – Dora aż zamachała rękami. – Kris mówi, że on jest pomyłką przyrody. Pytam o zwykłego wojownika, w rodzaju Raya.

 – Zwykły nie może – odrzekła z uśmiechem Miriam. – To musi być wybitnie mądry wojownik. Ktoś w rodzaju twojego Mroka, kiedy jeszcze był człowiekiem.

 – Był takim wielkim wojownikiem?

 – Do współczesnego Sekondu pasowałby w sam raz. Czterystu ludzi wyprawił w zero. Dla niego zabić człowieka to tak, jak dla ciebie osiodłać konaka.

 – Widziałaś, jak on walczy?

 – Widziałam, jak już jako smok rozprawił się z killerami, wysłanymi, by zabić mnie i Greba. Dla niego to była rozrywka na pół godziny, jak gra dla dzieci. Nawet nikogo sam nie zabijał, urządził wszystko tak, że wybili się nawzajem, jak pionki w grze. Nie uważał ich za ludzi.

 – Ale mówiłaś, że ciebie bronił.

 – Tak, mnie bronił.

 – To wielki, niezwyciężony wojownik!...

 – Idź spać. Nic nie zrozumiałaś.

 We śnie stary kepten rozmawiał z nią pieszczotliwie głosem Krisa, pytał, czy jest gotowa iść wybraną drogą. A Dora nie wiedziała. Rozumiała, że to sen, chciała się obudzić i niby to nawet się budziła, ale okazywało się, że ciągle jeszcze śpi, znowu próbowała się obudzić, i tak raz po raz. Zbudził ją Kris. Ściskała jego rękę i mamrotała „Nie wiem, nie wiem, nie wiem”.

 Rozbudziwszy się zupełnie, popatrzyła na gwiazdy, posłuchała wiatru. Jutrzejszy dzień zapowiadał się ciepły i cichy. Kris już znowu spał, Greb rozmawiał cicho z Miriam. Dora nie wytrzymała, otworzyła medalion, nastawiła głośność na minimum i przycisnęła do ucha.

 – Prowadzisz bardzo intensywną wymianę depesz radiowych. Nie boisz się, że stara orbitalna ciebie namierzy? – to był głos Greba.

 – Nie. Albo nie namierzy, albo ta informacja w ciągu pięciuset lat się zawieruszy.

 – Jesteś taka pewna? Wykopałaś coś?

 – Chyba tak. Zdaje się, że wpisujemy się w linię historyczną, trzeba sprawdzić inne źródło.

 – To aż takie ważne? Nie może poczekać do jutra?

 – Oczywiście, że może. Śpij, jutro ciężki dzień. Dora, ty też śpij. Spokojnej nocy.

 – Spokojnej nocy – machinalnie odrzekła w medalion Dora i usłyszała śmieszek Greba.

 „Dlaczego ja ich nie rozumiem?” – pomyślała Dora – „Przecież mówimy te same słowa. Zwierzątka leśne! Jeśli ja ich nie rozumiem, to oni mnie też! Więc to o to chodzi! Nawet Kris… To przecież nie jest ich świat! Nie mają nic do obecnych ludzi. Nawet gorzej. Chcą, żeby Wszechmogący spalił miasta. Kim w takim razie oni są? Nienarodzonymi umarłymi? Zgadza się, umarłymi! Tylko umarli mogą chcieć, żeby ludzie zabijali ludzi. To nienarodzeni umarli!”.

 – Mamo, mamusiu! – wyszeptała Dora, cała drżąca. – Jesteśmy karawaną umarłych, otóż to. Wessała mnie karawana umarłych! Nikt mi nie pomoże, jestem sana.

 – Ray, jedziesz z nami?

 – Oczywiście.

 – Niepotrzebnie, ale jak chcesz.

 Dora wskoczyła w siodło i trąciła piętami boki konaka. Obejrzała się. Wszystko było jak zwykle, tylko wszyscy mają ponure, mroczne twarze. I całą noc miała niedobre sny. Najpierw rozmawiała ze starym keptenem, potem jak ich karawana wpadła w zasadzkę. Dora próbowała przypomnieć sobie sen, ale już wyleciał jej z głowy, za to ten dzień miała przed oczami.

 Tym razem wzięli ładunek katary i poszli na północ po futra. Mieszkańcy północy chętnie wymieniają futra na katarę. Ale gdy już mieli wyruszyć, dowiedzieli się, że trzy dni wcześniej poszła tam karawana jednookiego Mustafy, zwanego Szakalem. A jak każdy wie, pierwszy bierze wszystko, a drugi nędzne resztki, niewystarczające nawet na opłacenie pochodu. Mustafa, chytrus, nawet nie zaczął sprzedawać towaru, tylko umieścił go w składach i udał się z katarą na północ, nie dając nawet porządnie odpocząć konakom. Stary kepten nie mógł sobie na to pozwolić, nie był tak bogaty, ale poprowadził karawanę dużo krótszą trasą przez góry.

 Przeszli góry bardzo szybko i z powodzeniem: tylko jeden konak złamał nogę i zjedli go. Dlatego wszyscy byli syci, weseli i naśmiewali się z Mustafy. Ale na ostatniej przełęczy zobaczyli, jak jeździec, jadący w ich kierunku, nagle popędził z powrotem. Kepten kazał rozbić obóz na samym początku wąskiej doliny, wciśniętej między pionowe zbocza, a rano wysłał zwiadowców. Tak, czekała na nich zasadzka. Można było umówić się i rozstać w pokoju, oddając połowę towarów. Można było zawrócić. Można było po prostu stanąć obozem i poczekać, aż góralom się to sprzykrzy, a sprzykrzyłoby im się szybko, już za pięćsześć dni. Ale karawana Mustafy! Trzy-cztery dni czekania i można byłobyśmiało wracać – z niczym.

 Dora pierwszy raz ośmieliła się otworzyć usta na naradzie karawaniarzy.

 – Keptenie, daj mi wszystkie dziewczyny, daj mi łuki, a ja dogadam się z góralami.

 – Przecież wiesz, co się robi z niewolnicą, która zabiła wolnego człowieka.

 – Ja im nie pozwolę strzelać, to tylko dla pozoru, na postrach. Chyba, że nie wyjdzie.

 Prawie wszyscy byli przeciw, ale stary kepten jej uwierzył. Wszystkim czterdziestu dziewczynom wydali łuki i pełne kołczany. Dora ustawiła je w rzadki łańcuszek i powiodła do lasu.

 – Czujecie, baby?! Mamy szansę wsadzić chłopu strzałę w dupę! To jest życie! – Dodawała sobie otuchy Wydra, zakładając drżącą ręką strzałę na cięciwę.

 – W dupę? Myślisz, że wojownik ciebie się przestraszy?

 – Wydry – nie. Ale ciebie, jak zobaczy cię z bliska – na pewno.

 – Nie strzelać! – zakomenderowała Dora.

 – Nie strzelać! Nie strzelać! – Potoczyła się od niej na prawo i na lewo fala rozkazu.

 – Nie strzelać! Nie strzelać! – odpowiedziało echo.

 Łańcuszek dziewczyn zbliżył się do pierwszych drzew.

 – Tu jest wojownik! – dobiegł krzyk z prawej strony.

 – Wszystkie stać! Nie strzelać! – powtórzyła rozkaz Dora i poszła wyjaśnić sytuację.

 Zwiadowca siedział w zasadzce na drzewie. Widocznie był kiepski w tym fachu, jeśli zaspał i przepuścił dziewczyny tak blisko. Teraz cztery niewolnice celowały do niego z łuków.

 – Nie strzelać! Opuścić łuki! – zakomenderowała Dora. – Hej, wojowniku, złaź! Nie tkniemy ciebie, przysięgam na karawanę. Idź do swoich i powiedz im, że ja chcę z nimi mówić.

 Drżące z podniecenia i strachu niewolnice opuściły łuki. Młokos zszedł z drzewa mamrocząc przekleństwa i pobiegł w las. Dora wydała rozkaz i rzadki łańcuszek ruszył dalej.

 – Dora, tu są wojownicy! – Usłyszała ze środka. Dziewczyny stanęły nawet bez rozkazu.

 – Nie strzelać! – odkrzyknęła Dora i pobiegła na wołanie.

 Pięciu wojowników wyszło na trakt karawanowy i czekało na nią. Za drzewami stali inni.

 – Posłuchajcie, szanowni panowie, wy napadacie na karawanę nieprawidłowo – zaczęła Dora jeszcze biegnąc. – Wierzcie mi, od wielu lat chodzę z karawaną. Napadać trzeba niespodziewanie, z zasadzki. Żeby nikt nie zdążył się zorientować. Wtedy wszystkich można wziąć do niewoli, nikogo nie trzeba zabijać, zabrać towary, a karawanę puścić wolno. A tak, jak wy to rocie – to co wychodzi? Wy na nas, my na was. Jesteście wojownikami, jasne, że pokonacie nas, dziewczyny, ale ilu z was polegnie od strzał? No i czy to taka wielka chwała strącić dziewczęce głowy? One nawet nie mają mieczy. A potem jeszcze będziecie musieli pokonać naszych wojowników. Zostanie was może połowa, a i to nie wiadomo, kto kogo zwycięży. Gdy napada się na karawanę, jeśli jeden na dziesięciu zginie, już napad jest do niczego. A z was wróci do domu mniej niż połowa. Następna karawana – i w ogóle nikt nie pozostanie przy życiu. Tak się nie robi. Lepiej pohandlujmy.

 Po krótkiej naradzie wojownicy zgodzili się z Dorą i karawana wjechała do fortu. Cały dzień i całą noc huczało święto. Do rana dwie dziewczyny z karawany dostały obroże, a na ich miejsce kepten wziął niewolnice z baraków.

 A w trzy dni później keptena już nie było. Umarł w siodle i spadł z konaka na ziemię.

 – Dora, patrol – przemówił medalion na piersi głosem Miriam.

 Dziewczyna ocknęła się z zamyślenia i podniosła głowę. Patrol był jeszcze daleko.

 – Nie wystraszcie ich – zwróciła się do pozostałych. – Oni mi są potrzebni.

 – Dora, tylko bez kryminału – uprzedził ją Kris.

 Nie zrozumiała, ale skinęła głową. Najważniejsze, żeby jej nie przeszkodził.

 Patrolujący ich rozpoznali, ustąpili im miejsca i zatrzymali się piętnaście metrów od drogi. Nikt nawet nie sięgnął ku broni. To był dobry znak. Nie zatrzymując się, Dora władczym gestem wezwała ich do siebie. Dowódca wydał rozkaz i jeden z wojowników podjechał do niej.

 – Pędź do Wszechmogącego i przekaż mu, że jedziemy do niego z wizytą. – Odprawiła wojownika gestem ręki i cała dziesiątka po minucie była daleko przed nimi. Uprzedziła jeszcze raz: – Greb, kiedy zacznę rozmowę z Wszechmogącym, nie mieszaj się, póki nie dam znaku.

 Na skraju hordy oczekiwał ich jeździec o twarzy jeszcze bardziej ponurej niż Dora.

 – Kazano mi odprowadzić was do Wszechmogącego – powiedział i wysunął się na czoło.

 Wzdłuż drogi, jak wczoraj, ustawili się wojownicy i niewolnice. Dora witała ich podniesioną pięścią w czarnej rękawiczce. Bała się obnażyć miecz: mogli to opacznie zrozumieć.

 Przewodnik zatrzymał konaka przed dużym namiotem i trzykrotnie zaklaskał. Z namiotu wyszedł niemłody człowiek w skórzanej zbroi z naszytymi metalowymi płytkami.

 – Długo czekałem na was. Wejdźcie do namiotu i czujcie się jak w domu – powitał zastęp.

 Dora zeskoczyła z konaka i rzuciła cugle nadbiegającemu. Tak samo postąpili pozostali.

 – Nazywam się Dora. To kepten Greb i jego żona Miriam. To Kris, mój właściciel. A to Ray, mój przyjaciel – przedstawiła po kolei wszystkich członków zastępu.

 – Wszechmogący – przedstawił się skromnie rozmówca. – Wejdźcie, odpocznijcie z drogi.

 – Wybacz, szacowny, ale już od dawna chciałem zapytać, czy Wszechmogący to imię, tytuł, czy rzemiosło? – Nie wytrzymał Kris.

 Dora odwróciła się i rzuciła mu lodowate spojrzenie, które nie pozostało niezauważone i bez odpowiedzi. Kris odwrócił się i pocałował ją w czoło. Też wybrał czas!

 – Wszystko razem, a także mój największy brak – uśmiechnął się Wszechmogący.

 Pośrodku namiotu na dywanie stał niski stolik na grubych nóżkach, zastawiony kielichami, słodyczami i lekkimi zakąskami. Wszyscy rozsiedli się, Wszechmogący klasnął i zza zasłony wyszła niewolnica z dzbanem wina, którym zaczęła napełniać kielichy. Skórę na czole miała czerwoną i spuchniętą od świeżego tatuażu.

 – Mudra!... – jęknęła Dora.

 – Tak, to ona. Bardzo dużo dowiedziałem się od niej o was. O tobie, mądra kepten i groźna wojowniczko Doro. O tobie, złotoręka uzdrowicielko i wesoła wojowniczko Miriam. O tobie, surowy keptenie Greb, którego słowa są prawem nawet dla Dory, a miecz napełnia lękiem wszystkie konaki w okolicy. Dla ciebie, Ray, mam przygotowane najczulsze niewolnice pościeli. I tylko o tobie, Kris, nie wiem prawie nic.

 Miriam pierwsza podniosła kielich, posmakowała.

 – Znakomite wino.

 Była to umowna fraza, oznaczająca „wino niezatrute”. Dora wypiła duszkiem swój kielich. Wino było cierpkie, dla smakoszy. Mudra od razu ponownie napełniła jej kielich i zrobiła znak karawaniarzy: „nie wierz”. Wszechmogący powiedział z uśmiechem:

 – Teraz ta niewolnica próbuje przekonać was, żebyście mi nie wierzyli. A przecież prawie wszystkiego, co wiem o was, dowiedziałem się od niej i drugiej znanej wam niewolnicy. Niwa, chodź tutaj! – Zza kotary wyszła dziewczyna, której Greb obciął ręce. – Jestem wdzięczny wam za to, że naprawiliście moją pomyłkę, nie dając jej umrzeć. Jej miłość była krótka i zdradliwa. Ale nienawiść! O, nienawiść jest mocna i zachwycająca! Niwa co noc daruje mi dużo więcej rozkoszy niż wcześniej. Ale całkiem was zagadałem. Tak ciężko bez rozmówcy. Jaki jest sens rozmowy z człowiekiem, jeśli jego myśli stają się twoimi zanim je wypowie?

 – Jesteś telepatą! – Kris wycelował w niego palec. – Greb, jesteś mi winien dwie złote!

 – Co to jest telepata? – zapytał Wszechmogący.

 – Człowiek, czytający myśli innych. – odrzekł Kris. Wszechmogący uśmiechnął się:

 – Więc to tak się nazywa. Ja nazywałem to po prostu darem. Tak, jestem telepatą.

 – Zwykłym czy projekcyjnym? Projekcyjny to znaczy przesyłający swoje myśli i życzenia do głów innych ludzi.

 – Powtórz to słowo. Pro-jek-cyj-ny. Trzeba zapisać. Tak, jestem telepatą projekcyjnym. Patrzcie, zaraz niewolnica obetnie sobie pierś.

 Mudra wzięła ze stołu nóż, odeszła do ściany namiotu, zrzuciła ubranie.

 – Dosyć! – ryknęła Dora. – Zdjąłeś z niej obrożę, którą na nią własnoręcznie włożyłam, a teraz chcesz jeszcze zepsuć jej ciało! Szukasz śmierci?

 Mudra wypuściła nóż, upadła na kolana, ukryła twarz w dłoniach.

 – Myślałem, że to będzie dla was ciekawe. – Wszechmogący wzruszył ramionami.

 – Byłoby ciekawe, gdybyś kazał jej na przykład wylać na siebie dzban wina…

 – Rozumiem. Krążyliście dookoła cały miesiąc, na pewno nie bez powodu. Kazałem patrolom nie ruszać was, gdy upewniłem się, że nie szkodzicie moim ludziom, a w fortach robicie porządek. Więc po co chcieliście mnie zobaczyć?

 – Jeszcze nie zrozumiałeś? – Dora wypiła drugi kielich wina. – Jesteśmy braćmi w sile. Oni – wskazała swoich towarzyszy – szukali twoich dzieci. Chcą, żebyś miał jak najwięcej dzieci, które połączyłyby ich siłę z twoją. Ale żadna kobieta nie zaszła z tobą w ciążę. No i Miriam postanowiła sama mieć z tobą dzieci. Dzisiaj ma taki dzień, że na pewno zajdzie w ciążę, z kimkolwiek by się nie położyła. – Wypiła trzeci kielich. Wino uderzyło jej do głowy. – Chce, żeby twoi potomkowie byli liczni jak ziarnka piasku na brzegu. Żeby za tysiąc lat wszyscy ludzie do ostatniego śmieciarza włącznie umieli posługiwać się twoim darem.

 – A ty, mądra Doro, nie chcesz?

 – Nie! Ale oni mi pomogli i mam obowiązek im pomagać. Mówiłam im, że jesteś zły, ale oni nie słyszą. Myślą wyłącznie o twoim darze w dzieciach.

 – Połączyć w dzieciach swoją siłę z moją… A nie boicie się umrzeć z rąk własnych dzieci?

 – Ty nie masz się czego bać. – Dorę poniosło. – Dzieci najpierw muszą dorosnąć, a to trwa dwadzieścia pięć lat. Ty do tego czasu umrzesz. Jak chcesz, to podam ci rok twojej śmierci. Nie wiem, od czego umrzesz, ale rok jest tutaj! – Klepnęła się dłonią po głowie. – Pamiętam!

 – Znasz rok mojej śmierci?

 – Nie wierzysz mi, córce smoka? Wątpisz w moją siłę? – Dora sięgnęła po kielich, ale Kris go jej odebrał, a w palce włożył znajomą żółtą kulkę. Wrzuciła ją do ust, pożuła i skrzywiła się. Kulka była strasznie gorzka. To nie od gazu sennego, to coś innego – domyśliła się Dora.

 – Jeśli znasz rok mojej śmierci, to trzymaj go w tajemnicy przede mną – zadecydował Wszechmogący.

 – Mądra decyzja – pochwalił go Greb. – Dora, a czemu by nie pokazać Wszechmogącemu twojej rodziny? Nic na tym nie stracimy.

 – Zaraz przyniosę – powiedziała Miriam, wyskoczyła z namiotu i pobiegła do koni.

 Niedługo powróciła z piękną miniaturą na arkuszu papieru. Trzy dorosłe smoki i dwa małe. Dora nawet nie zastanawiała się, skąd ona wzięła tą miniaturę. Może narysowała? Jeśli kwaśne ciasto na placki ryżowe robiła w minutę, to po niej można spodziewać się wszystkiego.

 – Ten w środku to Mrok. Mój przybrany ojciec – wyjaśniała Wszechmogącemu. – Koło niego żony: Catherine i Lobasti. A to ich dzieci: Artiom i Szalla. Jeszcze małe, ale już wyższe ode mnie.

 – Artiom uczył mnie walczyć dwoma mieczami – wtrąciła Miriam.

 – Nigdy nie wierzyłem w bajki o smokach – powiedział oszołomiony Wszechmogący.

 – I słusznie! – zgodził się Kris. – Jakie tylko brednie o nich nie opowiadają! Że oddychają ogniem, że konaka z jeźdźcem mogą połknąć, że zabijają spojrzeniem.

 – …Że żyją tysiąc lat – kontynuował Wszechmogący.

 – A to akurat jest prawdą – zaprzeczył Greb. – Ta z prawej na zdjęciu to Catherine. Ma około trzystu lat. Według ich pojęcia nie dziewczynka, ale i nie staruszka.

 Dora błyskawicznie trzeźwiała. Opary wina rozwiały się, nastąpił niezwykły stan. Jakby patrzyła na wszystko z góry. Widziała najdrobniejsze nieświadome gesty ludzi, czytała z nich ich myśli i zamiary. Dwa drapieżniki oswajają się wzajemnie ze swoim widokiem i zapachem, denerwują się, chodzą dookoła siebie i oba udają koty domowe. I oba są sobą nawzajem bardzo zainteresowane. Jak samiec i samica, tylko który jest kim? Zaraz zaczną się przechwałki, jeden drugiego będzie starał się porazić swoją potęgą. A potem Miriam położy się z Wszechmogącym. Ale po co jej to? Przecież ona nie może mieć dzieci. Czyli wejdzie zimnymi łopateczkami we własne łono, tak, jak to robiła z tamtymi kobietami.

 Od tej myśli Dora poczuła ponurą przyjemność. Ale trzeba coś zrobić. Sami mężczyźni nie dogadają się ze sobą nawet za sto lat. A trzeba, żeby jeden drugiemu uwierzył, żeby przestali bać się noża w plecach, żeby Greb zrobił swoje i jak najszybciej odleciał do swojego smoka. Wtedy… Nie, ona, Dora, nie stanie na jego drodze, pomoże mu. Greb zapłacił za nią dwadzieścia pięć złotych monet i jako jedyny był z nią zawsze szczery, nikogo nie udawał. Miriam udaje dobrą, ale przed Grebem gotowa jest chodzić na kolanach i lizać ziemię. A Kris niech się troszczy o swoją Tavi, pieszczoszkę i nierozumne dziecko. Coś podobnego, utopić się dlatego, że mąż jest wojownikiem! Nie, Dora nie stanie między nimi. Dora pomoże Grebowi, a potem zrobi to, co będzie potrzeba.

 – Greb, opowiedz o nas Wszechmogącemu. On boi się ciebie, ty boisz się jego. A ty nie nasz się czego bać. Jutro odjedziesz do swojej ojczyzny i nigdy więcej się nie zobaczycie.

 – Masz absolutną rację, Dora. Jeśli Wszechmogący ma się kogoś bać, to tylko ciebie. Myślę, że zrobimy tak: Ty, Wszechmogący, opowiesz, co o nas wiesz, a my to uzupełnimy i odpowiemy na twoje pytania.

 – Bardzo mądra myśl. Tym bardziej, że pytań mam całe mnóstwo. Choćby o te medaliony, które wszyscy macie na piersiach. Niewolnica słyszała kątem ucha o ich czarodziejskiej sile.

 – O, jak ja się od razu nie domyśliłam! – Miriam zdjęła swój medalion i z ukłonem przekazała Wszechmogącemu. – Przyjmij ten skromny dar, wyprodukowany w mojej ojczyźnie. Uważa się, że wzmacnia wolę, zabezpiecza od uroku i ma mnóstwo cudownych właściwości.

 Wszechmogący z ciekawością obejrzał dar, wezwał Mudrę, kazał jej włożyć medalion i podejść do ścianki namiotu. Dopiero po tym wezwał ja gestem i włożył medalion na siebie.

 – Dziwne. Byłem pewny, że właśnie ta rzecz nie daje mi przeczytać waszych myśli. Ale ty, Miriam, zdjęłaś go i nic się nie zmieniło. Może masz inny talizman przy sobie?

 – Dzisiaj w nocy się dowiesz. – Uśmiechnęła się Miriam. – Ale dlaczego tak pomyślałeś?

 – Kiedy patrzę na was oczami, widzę ludzi. Kiedy kieruję na was swój dar, widzę was jakby przez gęstą mgłę. Nie mogę nawet z całą pewnością powiedzieć, czy jesteście ludźmi, czy kamieniami. Wasze cienie zasłaniają przede mną innych ludzi. Są jak mgliste kule.

 – Tak właśnie ma być – odezwał się Greb. – To nasza siła, odmienna niż u ciebie. Nie możemy słyszeć myśli innych ludzi, ale możemy rozmawiać ze sobą na odległość. Zaraz to zademonstrujemy. Miri stanie koło ciebie, a ja pojadę na szczyt najbliższego wzgórza. Nie odmawiaj, proponuję to rozmyślnie. Mam nadzieję, że potem ty pokażesz nam swoją siłę.

 Wszyscy wyszli z namiotu. Jeden z wojowników pod bacznym spojrzeniem Wszechmogącego przyprowadził konaka Greba, potrzymał strzemię, póki ten wsiadał, wskoczył na swojego i pojechał w ślad za nim. Po trzystu metrach Greb zatrzymał się.

 – Zapytaj, jak nazywa się konak wojownika – zwrócił się Wszechmogący do Miriam.

 – Greb, zapytaj wojownika, jak się nazywa jego konak – retransmitowała pytanie Miriam. – Kto idiota? Oniemiał? Niech napisze. Pisać nie umie? Wyjaśnij po literach.

 – Wystarczy. – Zatrzymał Miriam Wszechmogący. – Niech wraca.

 – Greb, wracaj. Zaczyna się na „Bał”? Zrozumiałam. Bałwan? Kto? A, konak… – Miriam roześmiała się. – Konak – Bałwan. Ale Greb mówi, że jeździec także.

 Greb podjechał. Za nim – blady, wystraszony wojownik.

 – Znakomicie! Jestem pod wrażeniem. – Wszechmogący był pełen uznania. – Zamknąłem usta wojownikowi, a ty zdołałeś go przesłuchać! Nad tym trzeba pomyśleć.

 – Słyszałem kobiecy głos – odezwał się wojownik. – Rozkazywał mi, zadawał pytania, ale koło mnie nie było żadnej kobiety.

 – Słyszał głos Miriam, gdyż stał koło mnie – wyjaśnił Greb. Zaczęła się swobodna rozmowa. Dora słuchała jej jednym uchem. – Ale jak ci się udało zamienić wojownika w niemego?

 – Myślałem o jego gardle. A jak ty rozmawiałeś z Miriam?

 – Mój przypadek jest prostszy. Wysyłałem jej głos przez eter – odrzekł ze śmiechem Greb.

Dora też się roześmiała. Obaj przywódcy byli tak zadowoleni z siebie, ze swoich drobnych chytrości i zwycięstw, że nie wytrzymała. Jak dzieci. Wszechmogący ją poprosił:

 – Keptenie Doro, niewolnica Mudra twierdzi, że jako wojowniczka nie masz sobie równej. Nawet Miriam ci nie dorównuje. Pokaż mi i moim wojownikom swoją sztukę.

 – Nie – odrzeka Dora – Nie mogę. Dałam Grebowi słowo, że dziś nie obnażę miecza. Poza tym nie umiem tak bawić się mieczem jak Miriam. Nikt mnie nie uczył zatrzymywać ciosu, tylko zabijać. – Jeszcze nie skończywszy wypowiedzi pojęła, że mówi szczerą prawdę. Z Miriam zawsze walczyła na całego. – Jak chcesz, to poproś Miriam. W niczym ci nie odmówi.

 – Jak walczy Miriam, widziałem. W ciągu minuty straciłem trzech wojowników.

 – Ale…

 – Tam byli moi wojownicy, to mi wystarczy.

 Wrócili do namiotu.Zaczęła się swobodna rozmowa. Dora słuchała jej jednym uchem. Postanowiła się upić. Mudra i jeszcze jedna niewolnica bez przerwy dolewały jej i innym członkom zastępu Greba. Wszyscy pili, ale nie upijali się. Nie, nie wszyscy. Wszechmogący tylko sączył małymi łyczkami. Kris sam zjadł żółtą kulkę i kazał ją zjeść Dorze. Głowa znowu natychmiast się przejaśniła. Mówiła akurat Miriam:

 – … i mówi do mnie: „Jak chcesz, to zaraz pobiegnę, przyniosę ci śpiącego Wszechmogącego i na całą noc będzie twój. A raniutko odniosę z powrotem. On będzie myślał, że mu się to przyśniło, a pozostali nic nie zauważą”. – Wszyscy się roześmieli.

 – Nie śmiej się po próżnicy. – Rzuciła gniewnie Wszechmogącemu Dora. – Kris naprawdę mógłby to zrobić. Przejść niezauważalnie przez całą twoją armię – to dla niego równie proste, jak dla Greba obciąć konakowi jednym cięciem łeb.

 Wszechmogący z niedowierzaniem odwrócił się w jej kierunku.

 – Dora ma na ciebie zagięty pazur – wyjaśnił mu Greb. – Za rok przygnieciesz jej ślubny odcisk. Dlatego tak się dąsa.

 – Gdybym wypił choć jeden łyk mniej, zdziwiłbym się. – zakomunikował Wszechmogący. – Czym ja ciebie tak obrażę, moja piękna?

 – Napadniesz na Set! Zburzysz najlepsze miasto wszechświata! Ono nigdy już nie będzie takie samo, zabijesz jego duszę! Ja wiem! Chodziłam po jego ulicach!

 Wszechmogący spojrzał pytająco na Greba. Ten potwierdził, że Dora mówi prawdę.

 – Podbiję Set… A co zrobię przed tym? Aachen padnie?

 – Padnie, padnie, a gdzie ma się podziać?... – odrzekł za Dorę Kris. – Tylko, Wszechmogący, nie radzę ci zadawać takich pytań. Przypuśćmy, że Dora odpowie, że miasto padnie, ty rozluźnisz się, przestaniesz uważać, i zastrzeli cię z łuku jakiś chłopczyk. Do wojny trzeba podchodzić bardzo poważnie. I każda odpowiedź Dory może zmienić twój los tak, że przepowiednia się nie sprawdzi, rozumiesz?

 – Nad tym także pomyślę.

 Zza ścianki z tkaniny dochodziły śmiechy i popiskiwania dwóch niewolnic pościeli. Ray bawił się na całego. Dora zmarszczyła czoło. Czym ona tak wpadła w oko temu kobieciarzowi?

 – Dziękuję ci, Dora. Swoim grubiańskim prostactwem bardzo nam pomogłaś.

 – Jesteś zadowolony? - zapytała. Greb postukał palcem w metalową bransoletę.

 – Na razie – nie.

 – Po co smoki mieszają się do spraw ludzi?

 – Zapomniałaś, od kogo pochodzą smoki? Zwłaszcza najstarsze wciąż uważają się za ludzi.

 – Mimo wszystko nie rozumiem.

 – O to właśnie chodzi. Problem należy rozpatrywać kompleksowo. Krótko mówiąc, mamy następującą sytuację: ludzkość zatrzymała się w rozwoju. Rozchodzi się po galaktyce zaledwie kilka razy wolniej niż światło, ale ludzie pozostają ciągle tacy sami. Zabijają, oszukują, rwą się do władzy. Smoki uważają, że wyjście w daleki kosmos było przedwczesne, że ludzkość nie dojrzała do gwiazd. Zatrzymały postęp i zajęły pozycję wyczekującą. Ale minęło pięćset lat i nic się nie zmieniło, a nawet te sprzeczności się zaostrzyły. Jest takie prawo natury: system albo się rozwija, albo degraduje, nie może zastygnąć na zawsze w gotowej formie. Zatrzymanie rozwoju to początek degradacji. Do spotkania z łacinnikami był to problem czysto akademicki, ale teraz przeszedł już do zakresy praktyki. Smoki się zaniepokoiły. Twój ojczulek Mrok chce przyśpieszyć rozwój rasy ludzkiej i uczynić wszystkich telepatami. Liczy, że to uwolni ludzkość od kłamstwa, ze ludzie osiągną wzajemne zrozumienie i zamienią się w rycerzy bez trwogi i skazy.

 – Czy może być świat bez kłamstwa?

 – Nie wiem. Być może smoki wiedzą. Widzisz, Mrok dobrze zna Wielkiego Smoka i jeszcze lepiej swoją żonę Catherine. A te dwa smoki mają osobliwą cechę: nie da się ich oszukać. Tak zwane smocze spojrzenie.

 – Nie chcę, by wszyscy znali moje myśli. To moja głowa i innym tam nie wolno!

 Greb postukał palcem w medalion na piersi.

 – Na każdą chorobę jest lekarstwo. A medal ma dwie strony.

 – My mówimy: miecz ma dwa ostrza. Zwierzątka leśne! Jak tak można? Co myślę, to moje!

 – Po prostu tak przywykłaś od dziecka. Gdybyś urodziła się wśród telepatów, nie widziałabyś w tym nic szczególnego… Ale nie przejmuj się – Greb przerwał sam sobie. – Wątpliwe, czy nawet smoki zorientują się, gdzie w kodzie genetycznym zaszyta jest telepatia. Wszechmogący to niezupełnie to, czego im potrzeba. On nie tylko czyta cudze myśli, ale i kieruje ludźmi na odległość, podporządkowuje ich swojej woli, rozumiesz. A to zamach na naszą największą świętość: swobodę działania, wolność osobowości. Na to smoki nigdy nie pójdą.

 – To znaczy, że wszystko daremne? Że Miriam na próżno położyła się z Wszechmogącym?

 – Jakby to powiedzieć… Może smoki rozdzielą zdolności czytania i władzy, wyprodukują swój skaczący gen i wszystkie dzieci zaczną się rodzić telepatami? Ale nie bierz do swojej czarującej główki wszystkich kosmicznych smutków. Żyj sobie z Krisem, rodź mu dzieci i bądź szczęśliwa.

 – Dziękuję ci, Greb.

 Całą noc Dora zajmowała się miłością z Krisem. Namiętnie, zaciekle, z krzykami i jękami. Zamęczyła go kompletnie, sama też zupełnie opadła z sił i zasnęła cała we łzach na jego piersi. Oboje obudzili się późno, gdy pozostali już dawno wstali. Greb i Wszechmogący gorąco o czymś dyskutowali. Greb rysował jakieś machiny, najpierw w całości, potem oddzielne części. Podłoga koło nich była zawalona mnóstwem rysunków.

 – Co to jest? – Dora podniosła jeden z rysunków.

 – Maszyna do przebijania murów. Technika oblężnicza.

 – A-a.

 Machina do przebijania murów nie mogła Setowi zaszkodzić, gdyż Set murów nie miał. Dora położyła arkusz z powrotem i poszła do Miriam.

 – No i jak?

 – Wszystko w porządku. Wzorce już w biostatach. Jeszcze tylko wymiana podarunków i program będzie wykonany. Omal mi nie odgryzł sutka – nieoczekiwanie pożaliła się Miriam.

Zjawiły się niewolnice, które szybko i sprawnie nakryły do stołu. Wszyscy zajęli swoje miejsca. Dookoła Raya krążyły dwie młódki, Dorę obsługiwała Mudra. Greb i Wszechmogący, wzajemnie z siebie bardzo zadowoleni, z gorącymi oczami prześcigali się w krasomówstwie. Wszechmogący prosił Greba i jego towarzyszy o pozostanie i podzielenie z nim brzemienia władzy, a Greb uprzejmie odmawiał.

 – Patrz i zapamiętuj – szepnął Dorze na ucho Kris. – Dwóch tyranów znalazło wspólny język. Niesłychanie rzadki przypadek w historii.

 Gdy na stole zostały już tylko wino i zakąski, Greb wstał i wygłosił mowę. Dora znów przesadziła z winem i z trudem orientowała się w sensie kwiecistych fraz. Sedno sprowadzało się do tego, że teraz Wszechmogący nie jest dla nich obcym, ale członkiem rodziny. Miriam zawiezie w sobie jego dar i urodzi wielkiego niezwyciężonego wojownika, wodza wodzów, założyciela największego rodu, i dlatego on, Greb, chce połączyć węzły krwi według starego zwyczaju jego narodu. Miriam udała, że się przeraziła, Kris zaczął mu to odradzać. Dora szybko włożyła do ust żółtą pigułkę. Greb poprosił Krisa o przyniesienie wszystkiego, co niezbędne, a sam tymczasem wmawiał Wszechmogącemu, że ten wcale nie musi iść za jego przykładem. To jest dobrowolne i nikt się na niego nie obrazi. Miriam ze łzami w oczach prosiła Greba, żeby tego nie robił.

 – Zrozum, kobieto, odjeżdżamy stąd na zawsze, więc rodowe obowiązki stają się czczą formalnością – przekonywał ją Greb. – Pozostaje tylko należny szacunek.

 Kris wrócił z mieczem Greba, bandoletem, jakimiś szklanymi słoiczkami i kawałkiem białego materiału. Greb oderwał pasek materiału, mocno przewiązał nim mały palec lewej ręki, położył go na krawędzi stołu i, sycząc z bólu, odciął ostatni człon. Miriam skrzywiła się i zagryzła wargę do krwi, jakby to jej obcięto palec. A Greb włożył obcięty kawałek palca do słoiczka, wypełnionego przeźroczystą cieczą, zamknął wieczko i postawił przed Wszechmogącym, po czym przesunął w jego kierunku bandolet z mieczem w pochwie i kindżałem.

 – Mój miecz to twój miecz. Moja krew to twoja krew. Moje życie to twoje życie.

 – Kompletnie zwariował. Ten miecz otrzymał w spadku po pradziadku. Co przekażesz synowi? – lamentowała Miriam, wycierając krew z podbródka.

 – Co ja mam zrobić? – zapytał Krisa Wszechmogący.

 – Przyjąć podarki, założyć bandolet i nosić do zachodu słońca. Niektórzy robią podarunek zwrotny, ale nie polecam. Duże ryzyko. Chociaż dzisiaj odjeżdżamy… Nie, i tak nie radzę.

 – Jakie ryzyko?

 – Jeśli jeden z was zginie, drugi będzie musiał się zabić, co prawda tylko w przypadku, jeśli zobaczy na własne oczy ciało drugiego.

 – Przynieście moją broń – zakomenderował Wszechmogący.

 Opatrująca palec Greba Miriam znów zaczęła lamentować, nazywając mężczyzn upartymi szaleńcami i przekonując Wszechmogącego. Powtórzyła się ceremonia: odcięcie palca, napuszone słowa, przekazanie broni. Miriam, pochlipując i klnąc mężczyzn, zajęła się palcem Wszechmogącego, a Greb starannie schował słoiczek z członem palca.

 – Cudownie! Już zupełnie nie boli! – Zachwycił się Wszechmogący.

 – W tej tubce jest maść. Nie żałuj jej, a za dwa-trzy dni się zagoi. – instruowała go Miriam.

 – Kris, a ty dla mnie mógłbyś obciąć sobie palec? – zapytała Dora.

 – Nie jestem samurajem, Dora. Potem ci wszystko wyjaśnię. – Pokręcił przecząco głową.

 – A ja dla ciebie dałabym sobie obciąć prawą rękę aż po łokieć.

 Nadszedł czas odjazdu. Wszechmogący wyszedł ich odprowadzić.

 – Znajdź słabe miejsce. Rozprowadź jedną czwartą wojska wzdłuż murów, niech obrońcy także się rozciągną. I wtedy – nagły atak wszystkimi siłami na słabe miejsce. Nagłość to podstawa. W przeciwnym razie zdążą podciągnąć rezerwy. Jeśli nie uda ci się szybki atak, lepiej się wycofaj. – Greb wciąż jeszcze wprowadzał Wszechmogącego w arkana sztuki wojennej.

 Dora była zła. Musiała choć na dwie minuty zostać z Wszechmogącym sam na sam.

 – Wycofywać się nie będę. Patrz. – Wszechmogący podniósł z ziemi czarny kamyk. – Tego także nauczyłem się od was. Oto patrol. Wy zbliżacie się do wojowników, rzucacie im coś pod nogi – rzucił kamyk – i wszyscy zasypiają

 Wojownicy zwalili się na ziemię. Miriam podbiegła do nich, uklękła, złapała jednego za rękę, podniosła powiekę, położyła dłoń na piersi.

 – Śpi! Greb, Kris, on śpi! Niech pójdę w zero, śpi!

 – Tak. I będzie spał całą godzinę! – odpowiedział dumnie Wszechmogący. – Będę ukrywał dar, tak, jak mi radziliście. Każę łucznikom wypuszczać strzały, okręcone sennym mchem. Wtedy nikt się nie zdziwi, że wojownicy na murach zasnęli.

 – Ja to wiedziałam, a nie mówiłam, że to nie strzały! Mówiłam ci, Greb! – Miriam roześmiała się z ulgą i cieszyła jak niewolnica, która znalazła złotą monetę.

 – Wygląda na to, że wiecie o mnie dużo więcej, niż ja sam. – Zdumiał się Wszechmogący.

 – Czytaliśmy książki o tobie, napisane tysiąc lat później, ale tam tak trudno odróżnić prawdę od wymysłu… No, ale czas już na nas. Żegnaj, Wszechmogący! Życzę ci powodzenia! – Greb mocno uścisnął mu rękę i wskoczył na konaka, ale przy tym zapomniał o rannym palcu, zasyczał z bólu i zatrzepotał lewą ręką.

 Dora wskoczyła w siodło i z przyzwyczajenia usadowiła się na czele oddziałku.

 – Stójcie! – krzyknęła nagle. – Poczekajcie!

 Zeskoczyła z konaka i pobiegła w kierunku Wszechmogącego. Za jej plecami zaklął Greb.

 – Ani mi się waż! Wszystko będzie dobrze – szepnęła mu Miriam.

 Dora zatrzymała się trzy kroki przed Wszechmogącym.

 – Nie burz Setu. Proszę cię!

 – Obiecuję, że go nie tknę, jeśli mi się podda bez walki.

 – Nie podda się…Nie waż się napadać na Set! On jest mój! Słyszysz?!

 – Doro… Keptenie Doro… Wybierz jakiekolwiek inne miasto, a będzie twoje. Ale z Setu przegoniono mnie kamieniami tylko za to, że objawiłem tam swój dar, rozdzielając pijaków, bijących się w karawanseraju. I tego im nie zapomnę.

 – Słuchaj mnie, Wszechmogący. Moi towarzysze odjeżdżają, a ja zostaję. Przez ciebie muszę opuścić męża. Jeśli zaatakujesz Set, zabiję ciebie. Przysięgnij, że nie tkniesz Setu, a zostanę twoją niewolnicą. Powiedziałam. Wybieraj.

 Zbliżył się do niej, czule pogładził palcami jej policzek. Zamarła.

 – Przysiągłem, że wrócę do Setu jako władca. Zostań ze mną, karawaniarko. Podaruję ci pół świata, a ty urodzisz mi syna.

 – Ty służysz Czarnemu Ptakowi! – wykrzyknęła Dora i rzuciła się do swego konaka.

 Wskoczyła w siodło i galopem, nie wybierając kierunku, pomknęła przed siebie. Opamiętała się dopiero przed lasem. Zatrzymała konaka, poczekała na pozostałych. Wkótce przyjechali, radośni, pobudzeni. Greb cieszył się słoiczkiem z palcem Wszechmogącego, patrzył przez niego na świat, jakby to był brylant. Przed Rayem siedziała na konaku młoda dziewczyna. Jej czarująca twarzyczka była zapłakana, a ręce związane za plecami. Na czole i na ramieniu miała tatuaż, ale na szyi – skórzaną obrożę.

 – Dobra – pochwalił się Ray.

 – Wypuściłbyś ją. – powiedziała Miriam.

 – Ze mną będzie jej lepiej niż tam – odrzekł Ray, ale ręce rozwiązał.

 – Po coś ty mu pomagał?! – Dora rzuciła się na Greba. – On będzie zabijał ludzi.

 – Zapomnij o tym. To bez znaczenia. Brał miasta z marszu, a machiny oblężnicze wymagają czasu. Wiadomo z historii, że z nich nie korzystał. Tylko z tymi sennymi mchami niedobrze wyszło. Jak myślisz, Kris, czy on sam mógłby do tego dojść?

 – Mógł, czy nie… Miriam mówi, że to już nieważne.

 – Gdzie jedziemy? – zapytała Dora.

 – Gdziekolwiek, byle tylko ludzi w pobliżu nie było. Dziś wieczorem odlatujemy. Niedługo zobaczysz swoją smoczą rodzinkę.

**ODLOT**

 Kapsuła lądownika spuściła się, gdy tylko na ziemi legła mgła. Była czarna, więc praktycznie niedostrzegalna na tle nieba, tylko gwiazdy gasły, zasłonięte jej korpusem. Przerażona dziewczyna przylgnęła do ramienia Raya. Jego też się bała, ale nie tak bardzo. Greb otworzył drzwi zwane lukiem. Dora pomogła przetaszczyć do środka leżące oddzielnie toboły. Miriam wyniosła na zewnątrz dwa niezbyt duże, ale ciężkie worki.

 – Oho! – Ray spróbował podnieść jeden z nich.

 – Chyba koniec… – Greb oświetlił latarką polanę – Ray, my odlatujemy. Konaki i wszystko, co tu zostało – twoje. I lepiej o nas nie opowiadaj. Nie uwierzą, będą się śmiać.

 – Grebie, Krisie, ja zostaję – powiedziała nagle Dora.

 – Nie możesz zostać! Jesteś żoną Krisa! – krzyknął Greb.

 – Obiecaliście, że mnie puścicie. Daliście słowo.

 – Nie o to chodzi. Jesteś wolnym człowiekiem, sama decydujesz. Ale dlaczego?

 – Tavi. I Set. Muszę ocalić Set. Dawno zadecydowałam. A wy obiecaliście mnie puścić.

 Pomogli jej obładować konaki.Dora nie chciała nocować w tym miejscu.

 – Tu jest złoto – szepnęła Miriam, wskazując ciężkie woreczki. – Przyda ci się. A w małych woreczkach – diamenty.

 Kris wyglądał jakby dostał pałką po łbie. Chodził za nią, wciąż próbował coś jej wyjaśnić.

 – Milcz. Proszę cię, milcz. Tak mi boleśnie – powiedziała mu.

 Pożegnała się ciepło z Grebem, z Miriam, podeszła do męża. Tak chciała, żeby ją złapał za włosy, rzucił na ziemię, wykręcił ręce za plecami, przerzucił przez ramię i zaniósł do swojego świata. Poddałaby mu się, nie sprzeciwiałaby się. Ale Kris nie zrozumiał prośby jej oczu.

 Dora wskoczyła na konaka i ścisnęła jego boki piętami. Obejrzała się na swoją karawanę. Siedem konaków, troje ludzi. Kepten, wojownik i nieprzyuczona dziewka. Do Setu daleko, trzeba będzie kupić doświadczoną niewolnicę karawany. Gniady konak nie umie kłaść się na komendę, a przed nimi step. Trzeba go będzie wymienić na innego. I podkowy rano sprawdzić. Karemu kiwa się lewa tylna. Krisie, dlaczego mnie nie zrozumiałeś?…

 Ostatni konak zniknął za zakrętem ścieżki.

 – Do diabła, ależ ona po prostu zwariowała… – Zmieszany Kris obejrzał się na Greba i Miriam. – Ona… Ja… Ja ją wezmę siłą. Ona jest wytrącona z równowagi, nie rozumie, co robi.

 Kris rzucił się za Dorą, ale Miriam w dwa skoki dogoniła go, zbiła z nóg, przewróciła piersią w drogowe błoto i przycisnęła do ziemi. Lewą rękę wsunęła mu pod lewy łokieć i chwyciła jego prawy nadgarstek, a prawą zatkała mu usta.

 – Kris, proszę cię, nie rzucaj się, wiesz przecież, że jestem silniejsza. Wysłuchaj mnie. Dora musi zostać, jest częścią tutejszej historii. Znalazłam szczątki kroniki, w których jest mowa o niej. Rozumiesz, my odlecieliśmy, a ona została. To fakt historyczny. – Odsłoniła mu usta, ale mocno trzymała ciało.

 – Puść mnie, ty kanalio!

 – Wiem, że jestem kanalią i nie proszę o wybaczenie, tego nie można wybaczyć. Kiedy wrócimy, rób ze mną, co chcesz. Zdejmij ze mnie ciało, rozbierz na części zapasowe, ale Dora musi tutaj zostać. Jeśli ją weźmiesz, przerwiesz pierścień przyczynowości. I nie bój się o nią, nie zginie i urodzi syna.

 – Ty kupo żelaznego gówna, ty smocze nasienie, dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej?!!

 Miriam nieoczekiwanie puściła go i usiadła obok.

 – Masz rację, Kris. Jestem kupą żelaznego gówna. Dlaczego kupę żelaznego gówna ma boleć dusza za los świata? Biegnij, dogoń swoją Dorę. Kim jest Miriam, żeby powstrzymywać Człowieka? Kawałkiem żelaza, cyberem, mniej niż niewolnikiem.

**BAZA**

 – Coś ty wygrzebała?

 Wszyscy troje siedzieli w sali ekranowej centrali informacyjnej w bazie pod domem Mroka. Źli i brudni z Sekondu.

 – Człowiek mówi, cyber musi się podporządkować.

 – Przestań się wygłupiać albo naprawdę cię zabiję!

 – Adaptacja zakończyła się pomyślnie. Teraz jesteś gotów wypełnić każde zadanie na powierzchni Sekondu.

 – Miriam, twoje zachowanie jest naprawdę głupie. Co chcesz osiągnąć? – Włączył się Greb.

 – Śmierć. Ja, kupa żelaznego gówna, smocze nasienie, ja chcę umrzeć.

 – Nie trzeba, Miri. Nie jesteś niczemu winna. Kris po prostu jest wytrącony z równowagi. Niech ci będzie, że jesteś smocze nasienie, ale jesteś czyściejsza i lepsza od nas obu.

 – Ona wiedziała! Wiedziała! – wykrzyknął Kris – Zapytaj jej, co było w tych woreczkach!

 – Zatkaj się! – ryknął Greb.

 – Sam przecież mówiłeś, że musimy być o tacy! – Kris podniósł zaciśniętą pięść. – A jej nie można wierzyć nic a nic! Ona mówi prawdę tylko tobie!

 – A Tavi zawsze mówiłeś prawdę?

 – Ale ja naprawdę jestem kupą żelaznego gówna! – Rozpłakała się Miriam. – Dora to zrozumiała od razu pierwszego dnia. Greb, kochany, jak ja mam dalej żyć?

 – Jak to, jak? Zaciśnij zęby i pamiętaj, że jesteś mi potrzebna. Niech ci będzie, że jesteś nasienie, że jesteś kupą tego czy tamtego, wiedz, że ja tą kupę kocham. A na Krisa nie zwracaj uwagi, to zwykły słabeusz. Boli go, więc chce, żeby wszystkich naokoło także bolało. Dotąd nie zrozumiał, że powinien ci dziękować. Inaczej zatrułby życie dziewczynce aż do ostatnich dni.

 – O Boże! Ja nie jestem słabeuszem, tylko durniem! Przecież jest maszyna czasu! Mogę po nią wrócić! Jak nie w ten dzień, to za rok czy dwa…

 – O wiele później.

 – Ale mogę wrócić! Miri, wybacz mi te grubiaństwa i opowiedz o Dorze. Proszę cię. Jeśli chcesz, mogę przed tobą uklęknąć.

 Miriam wyjęła dłoń z rąk Krisa, głęboko westchnęła, uspokajając się, i zaczęła

 – Z nią wyszło to samo, co z mchem usypiającym. Nasza ingerencja zrodziła małą lawinkę. Dora zmieniła imię i zorganizowała obronę Setu. A może kopiści przekręcili jej imię, nieważne. Sedno polega na tym, że Set spalono właśnie z jej powodu. Zebrała armię, cały rok przygotowywała się do bitwy. Zwycięstwo nad tym miastem kosztowało Wszechmogącego bardzo drogo, stąd niesłychane okrucieństwo zwycięzców. Sama Dora nie miała obrony przed darem Wszechmogącego, ale znalazła słabe miejsca jego armii: odległość i nagłość. Setu broniono za pomocą pułapek, zasadzek i specjalnych daleko bijących kusz, strzelających długimi bełtami na odległość półtora kilometra. Dokładne strzelanie z takiej kuszy jest niemożliwe, ale jeśli tysiące kuszników strzela do wielkiego zgrupowania ludzi, broń staje się efektywna. Cel Dory był prosty: nie dopuścić Wszechmogącego blisko. Z kusz strzelano głównie do wodzów i zwartych grup ludzi. Poza tym na nadciągającą armię już daleko na podejściu do Setu czekały dziesiątki tysięcy pułapek, samostrzałów, zasadzek, przegród z zaostrzonych pali, oraz, oczywiście, „latające” oddziały konnych łuczników. Wszechmogący nieprędko domyślił się, że trzeba zmienić taktykę. W pierwszych dniach stracił chyba z ćwierć armii i sam był ranny. Dalsze ćwierć armii Dora zniszczyła, spuszczając z gór lawinę błotną. Ale Wszechmogący mimo wszystko zbliżył się do miasta, zdekoncentrował wojska, przebrał się za prostego żołnierza i poszedł do ataku razem ze wszystkimi. I Set padł. Gdy może z jedną trzecią początkowego stanu armii zbliżył się, obrońcy zaczęli zabijać siebie nawzajem.

 – Dora zginęła?

 – Nie, trafiła do niewoli. Wszechmogący obchodził się z nią z szacunkiem i honorami. Potem wsadził ją na statek i gdzieś wyprawił. Więcej informacji o niej nie mamy. Ale po trzydziestu latach na drugim kontynencie objawił się karawaniarz Ray Wnuk Smoka. Niezwyciężony w pojedynkach, walczący dwoma mieczami kepten karawany. Poza walecznością zapisał się w historii tylko tym, że wszystkie kobiety karawany nosiły jego żelazne obroże, a gdy kupował niewolnicę, zaraz i jej zakładał obrożę. Miejscowy wariant poligamisty. W kronikach figuruje właśnie jako przykład rozpusty i lekceważącego traktowania praw przodków.

 – Wiesz na pewno, że to syn Dory?

 – Dowodów brak, ale silne poszlaki. Po pierwsze imię Ray. Po drugie Wnuk Smoka. Wnuk, a nie syn. Dora córka, on wnuk. Smoków i Synów Smoka w kronikach jest wielu, ale Wnuk tylko jeden. I po trzecie, czas. Wszystko się zgadza. Władania dwoma mieczami nauczył się pewnie od Dory. Czyli ona żyła jeszcze długo, co najmniej piętnaście-dwadzieścia lat.

 Do sali energicznym, sprężystym krokiem wszedł smok.

 – Zaznajomiłem się z waszym sprawozdaniem. Zadanie wykonane, choć niezbyt czysto. Wasza wizyta kosztowała Sekond dwadzieścia spalonych miast. Ale to i tak była tkanka historii planety, więc jesteście de iure i de facto niewinni. Naukowy program ekspedycji został wykonany znakomicie. Osiem rejestratorów daje znakomity trójwymiarowy obraz jego bio-promieniowania. A propos, jak wam się udało umocować na jego ciele tyle czujników?

 – Podarunki – odrzekł Greb. – Po jednym rejestratorze w medalionie, rękojeściach miecza i noża i pięć w postaci metalowych blaszek na skórzanym pasie.

 – Nieźle pomyślane. Laboratoria już są zajęte deszyfracją zapisów bio-promieniowania i analizą materiału genetycznego. Kultura żywej tkanki jest po prostu znakomita! Nikt nawet nie miał nadziei na tak wspaniały wzorzec. Czyli pierwszy, najprostszy etap zakończony. Zaczyna się poważna praca! Coście tacy ponurzy? Życie idzie dalej!

**Koniec tomu dziewiątego**

SPIS TREŚCI

Rynek ................................................. 2

Dom ................................................... 8

Karawana ......................................... 16

Bunt .................................................. 26

Noc ................................................... 31

Przewodnik ....................................... 36

Ray ................................................... 39

Dziwna karawana ............................. 44

Fort ................................................... 48

Patrol ................................................ 55

Niewolnica Wszechmogącego .......... 58

Córka Smoka .................................... 64

Wszechmogący ................................. 70

Odlot ................................................. 80

Baza .................................................. 81

1. Włodzimierz Wysocki: Liryczna. [↑](#footnote-ref-2)
2. Po rosyjsku gra słów: nie durdom, a dom dur. [↑](#footnote-ref-3)